

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY

# ŚLĄSK

Nr 4 (269). Rok XXIV. KWIECIEŃ 2018 r.

[www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktora

MARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ  
Literatura

LAURA RYNDAK  
Korekta

Stali współpracownicy:  
EWA BARTOS,  
MAGDALENA DZIADEK,  
RYSZARD JASNORZEWSKI,  
WIESŁAWA KONOPELSKA,  
WOJCIECH ŁUKA,  
HENRYK MARZEC,  
JAN MIODEK,  
KATARZYNA NIESPOREK,  
JERZY PASZEK,  
HENRYK SZCZEPAŃSKI,  
JOANNA WAROŃSKA,  
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIK

ADRES REDAKCJI:  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
e-mail: [redakcjask@onet.pl](mailto:redakcjask@onet.pl)

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: [korgraf@korgraf.com.pl](mailto:korgraf@korgraf.com.pl)

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek  
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku  
oraz skracanie korespondencji.

Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłat należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGŻ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
[www.ruch.com.pl](http://www.ruch.com.pl)

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

### PUBLICYSTYKA

2. *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4. *Krzysztof Węgrzynek* ŚLĄSCY BOGOWIE
8. *Adam Wierciński, Michał Lis, Harry Duda* JAN GOCZOŁ (1934-2018) IN MEMORIAM
11. *Bohdan Łukaszewicz* „KLIMCZOK” PIELEGNUJE TOŻSAMOŚĆ
12. *Stanisław Gębala* ROZJĄTRZANIE PAMIĘCI
16. *Maria Korusiewicz* TOŻSAMOŚĆ I NAŚLADOWNICTWO W TEORII KULTURY RENÉ GIRARDA
20. *Justyna Kijonka* KONFRONTACJE TOŻSAMOŚCIOWE GÓRNOŚLĄZAKÓW
26. *Henryk Szczepański* KARTKI Z DZIEJÓW SZAROGRODU CZ. II
31. *Andrzej Jarczewski* TOŻSAMOŚĆ ATRAKTYWNA I REPULSYWNA
34. *Tomasz Bierek* PRZESZŁOŚĆ PATRZY ZE ŚCIAN
40. *Marian Kisiel* PORTRETY MISTRZÓW: PROFESOR EWA JASKÓŁOWA
44. *Marian Grzegorz Gerlich Lilianna Moll-Gerlich* SZALONEK – WOLNY NAJMITA SZTUKI
50. *Wiesława Konopelska* ROMEO I JULIA SPEKTAKLEM 2017 ROKU
52. *Julia Montowska* ŚLĄSKIE TAJEMNICE: PAŁAC NA WODZIE
55. *Henryk Szczepański* KRAKOWSKA PATRYCJUSZKA NA MYSŁOWICKICH WŁOŚCIACH
56. *Jola Trela* ŚMIERĆ KANTA, ESEJ O MELANCHOLII
60. *BLASK ARCYDZIEŁ Jerzy Paszek* BLASK KWIATÓW POLSKICH
66. *Joanna Warońska* CZECHÓWEM O TEATRZE
73. *Wiesława Konopelska* KS. DR JOHANNES CHRZĄSZCZ – GÓRNOŚLĄSKI KAPŁAN I HIŚTORYK
74. *Jan Malicki* ŚREDNIOWIECZNY PODRĘCZNIK ALCHEMICZNEGO WTajemniczenia

### PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

32. *Maria Korusiewicz* BOGDAN TOPOR: WSZYSTKO TO WĘGIEL – CARBON IS ALL
68. *Klaudia Lata* ADRIAN ZERT
69. GALERIA: ADRIAN ZERT – MALARSTWO
88. *Katarzyna Popczyk* FOTOGRAFIA

### POEZJA I PROZA

3. *WIERSZ NA OTWARCIE Jerzy Suchanek* MÓJ WIERSZ
14. *Jerzy Suchanek* WIERSZE
42. *Konrad Zielonka* CZŁOWIEK Z MGIEL
48. *Kinga Kościak* WIERSZE

### FELIETONY

37. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* SPOZIERAJĄCA SZWARNA DZIOLCHA!
38. MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek*. KONKURS PATRI PATRIAE – ROZSTRZYGNIĘTY. HEROINY!
39. ROK OLIMPIJSKI. *Ryszard Jasnorzewski* DOGRYWKA LIRYCZNA

### KSIĄŻKI

62. *Jan Miodek* OD WILIMOWSKIEGO DO KUKUCZKI
63. *Paweł Majerski* PORTRET WIELOSTRONNY
64. *Miroslawa Michalska-Suchanek* NOWE KINO ROSYJSKIE
65. *Andrzej Juchniewicz* WSZYSTKIE ZNAKI SPEŁNIAJĄ SIĘ W SMUDZE

### Z ŻYCIA BIBLIOTEK

82. *Marta Kasprowska-Jarczyk* PROPOZYCJE EDUKACYJNE BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ

### NOTATNIK KULTURALNY

81. ZAPROSILI NAS
84. KRONIKA BIELSKO-BIAŁA. CZĘSTOCHOWA. KATOWICE. OPOLE.

WEWNĄTRZ NUMERU TAKŻE: Joanna Ambroz, Bogna Skwara, Bogdan Topor, Maria Korusiewicz

Na okładce: Anna Lorenc „W stronę centrum”, fotografia

<p>Pismo wspierane finansowo przez:</p>	<p>Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE</p>  <p>KATOWICE <small>dla odmiany</small></p>	<p>Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.</p>	 <p>Śląskie.</p>
---	--	---	---

## Od Redaktora!

Wielu z nas żyjących we współczesnym zglobalizowanym świecie, w towarzystwie wszechobecnego Internetu, głodnych wrażeń wiecznych turystów swobodnie podróżujących między różnymi kulturami mogłoby zapewne za: Diogenesem, Sokratesem, Seneką i innymi starożytnymi myślicielami szczerze powiedzieć: **Cały ten świat jest moją ojczyzną**. I tacy także będą wśród nas, którzy bez zakłopotania powtórzą frazę z *Tuskulanek* Cyceirona: **Ubi bene, ibi patria**. Dlatego pytanie o współczesną tożsamość kulturową może zabrzmieć jako archaiczna lub wręcz nieistotna kwestia, niegodna głębszej refleksji. Ale zjednoczona Europa targana jest wieloma jawnymi lub skrytymi niebezpiecznymi dla niej kolizjami kulturowymi, których skrajnym przejawem są m.in. głoszone hasła autonomii, regionalizacji lub wręcz budowy nowych państw narodowych (Katalonia?). Konflikty między tendencjami globalizacyjnymi i glocalizacyjnymi nie ominęły i Śląska. Z jednej strony chcemy być społeczeństwem nowoczesnego regionu zjednoczonej Europy, z drugiej – kiedy budujemy zaledwie namiastkę regionalnej integracji czyli Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolię budzą się nie tylko tradycyjne już spory (kompleksy?) znad obydwu stron Brynicy, lecz w jej tle rodzą się nowe kolizje między np. tzw. subregionami naszego województwa. Jaka jest więc owa współczesna tożsamość kulturowa Górnego Śląska lub społeczeństwa zamieszkującego twór administracyjny zwany województwem śląskim. Teoretycy polityki kulturalnej (np. prof. D. Ilczuk) stawiają przed jej realizatorami zada-

nie zachowania tożsamości kulturowej społeczeństwa. Ale co dziś stanowi istotę tożsamości kulturowej Górnoślążaków, wszystkich mieszkańców województwa śląskiego? Politycy różnych opcji z łatwością uruchamiają silne emocje społeczne wskazując na – realne lub domniemane – ekonomiczne upośledzenie różnych grup i konieczność prowadzenia sprawiedliwej polityki kulturalnej oraz społecznej. Czy zatem żądanie spełnienia uzasadnionych postulatów zadośćuczynienia za doznane w historii krzywdy ma stanowić czynnik integrujący naszą tożsamość regionalną? Czy może walka o język regionalny – przez jednego z autorów wywiedziony z języka neandertalczyków (B. Paździor, sic!) – skutecznie zintegruje rozproszone tendencje integracyjne? A może jednoznacznie wrogi stosunek do *nie swoich*, stworzy podstawę do zintegrowania rozproszonej tożsamości regionu? Tylko co wówczas zrobić z takimi postaciami jak m.in.: Kilar, Hadyna, Z. Pyzik, Buszko i wielu innych „obcych” mocno zakorzenionych i bezwzględnie obecnych we współczesnej historii Śląska? A może sama polityka zintegruje społeczeństwo? Katastrofa kiedyś silnego i niemalże wszechmocnego w województwie Związku Górnośląskiego, obecna marginalizacja RAŚ-u, rachityczny wzrost popularności nowej Partii Górnośląskiej nie uzasadnia optymistycznych sądów i o tej tendencji.

Tożsamość kulturowa jakiegokolwiek regionu w tym i Śląska – nie jest konstrukcją złożoną ze stałych, bezwzględnie trwałych, lecz wyłącznie historycznych elementów. Ona podlega i ulega zmianom wywołanym ewolucją m.in. procesów: cywilizacyjnych, demograficznych, urbanistycznych, komunikacyjnych, technologicznych, migracyjnych a w naszych czasach przede wszystkim na skutek powszechnej cyfryzacji i zglobalizowanej komunikacji. Uzasadnione jest więc usilne, konsekwentne szukanie źródeł tożsamości w: historii, logosie i mitologii regionu, w folklorze i tradycji, literaturze i sztuce. Edukacja, ochrona i popularyzacja tradycji, finansowanie przedsięwzięć dokumentujących struktury tożsamości kulturowej (wbrew pozorom, w naszym województwie te ostatnie czynniki

traktowane są bardzo marginalnie, często instrumentalnie – na pokaz) jest fundamentalnym zadaniem każdej społeczności i jej reprezentantów.

*Nie jest uzasadnionym* natomiast kreowanie współczesnej tożsamości kulturowej w oparciu wyłącznie o zjawiska historyczne, które stały się już tylko elementami spornych fabuł historycznych. Taka redukcja wepchnie nieuchronnie każde społeczeństwo poddane temu procesowi w archaiczną, skostniałą, bezbronną i bezradną wobec wyzwań współczesności strukturę skansenową kultury, folklorystyczną tożsamość kulturową. Czyż nie jest dowodem tej smutnej tendencji – mimo ogromnych wysiłków władz samorządowych i uczelni wyższych – depopulacja województwa śląskiego i ościennego opolskiego? Kiedyś byliśmy regionem atrakcyjnym dla naszych rodaków z różnych regionów Polski, a procesy ich akulturacji – szczególnie ludzi młodych i twórców, artystów – były naturalnym zjawiskiem na Śląsku. Dziś zachodzi dokładnie odwrotny proces, młodzi ludzie, twórcy wyjeżdżają ze Śląska – nie tylko za granicę, ale i do innych regionów Polski: Wrocławia, Krakowa, Łodzi, Warszawy itp. Dlaczego? Czyżby wyłącznie „za chlebem”?

Oferta kulturowa budowana na współczesnych, atrakcyjnych, wartościowych ekspresjach artystycznych (pozytywnie wyróżnia się w tej kwestii Miasto Katowice), przyszłościowej, perspektywicznej koncepcji społeczeństwa, gwarancjach wolności twórczej i równowagi społecznej, zrównoważonego, ustabilizowanego rozwoju, humanistycznej wizji roli obywatela, te czynniki kreować będą swoistą, odmienną od innych, opartą na szacunku i znajomości bogatej tradycji regionu atrakcyjną, nowoczesną, tożsamość regionalną Śląska. Miejmy taką nadzieję.

W numerze kwietniowym „Śląska” zadajemy pytanie o współczesne konfrontacje i dialog różnych odmian tożsamości regionalnej, o przyszłą jej treść i funkcję na niezwykle zróżnicowanym obszarze województwa śląskiego.

## JERZY SUCHANEK

---

### MÓJ WIERSZ

Położyłem przed sobą wiersz, wcześniej  
 zmiotłem ze stołu brokat okruszków,  
 skorupkę, soli i pieprzu, zatrzymałem  
 w ściereczce kręcące się kółka kawy  
 herbaty, piwa i wina. Nie ma przeciągu  
 i kota, który się zaszył w poszwie ciszy.  
 Wyprują go dopiero rybiki, klóćące się  
 w łazience. Butelka po wódce, która  
 przestała potulnie przy nodze, przestała,  
 ledwie upadła, toczyć po podłodze spór  
 pusty o denko i dno, nakrętkę i dywan.  
 Było tak, jakby wstrzymało oddech.  
 Usłyszeliśmy szum morza, wiersz zdjął  
 sandały i grzęznąc w białym piasku zszedł.  
 Rozebrał się, ale nie mógł odwrócić się  
 do mnie plecami. Mimo to nie wiem,  
 czy był kobietą, czy mężczyzną. Nie  
 widziałem jeszcze nagiego wiersza. Czekał  
 na mnie, jak każdy wiersz. Kogokolwiek.  
 Byłem nim dla niego, ale możliwe, że nią.  
 Daleko przepływał statek wycieczkowy.  
 – Dlaczego tak głęboko we mnie zaglądasz?  
 Wiersz zapytał, a właściwie kropnął kroplą  
 kropki, niepotrzebnie gdzieś postawionej.  
 – Czy to ty mnie napisałeś? – To możliwe,  
 odparłem parasolem parcie paradoksu,  
 parsknięcie paraleli i opar partykularyzmu.  
 – Niektóre wyrażenia nie pasują we mnie.  
 Wiersz strzelił z łuku biodra wykrzyknikiem  
 celnie w mój język. Kopnęło mnie i kapnęło  
 na kapę, którą przykryłem kanapę półki  
 z książkami. Przepaliło ją na wylot słowików  
 i słowników. Zapytałem, czy chce kanapkę.  
 Miałem u nosa kapkę i papkę w głowie.  
 On puszczał zajączki i kaczki oraz wznosił  
 nad sobą winogrona mydlanych baniek.  
 – Skoro mnie napisałeś, czego ode mnie chcesz?  
 Idź sobie, ustalaj się z innymi na tym stole,  
 a najlepiej stale staraj się upust pustki ust  
 tłumić zawiasami zawijasów, rybikami uników,  
 bo tłumy tłumaczy stłumią i wytłoczą nas.  
 Od słońca kartka wiersza zbrązowiła, zastygła  
 jak brąz w formie. Usłyszeliśmy dzwon na zgon.  
 Daleko przepływał okręt pod obcą banderą.  
 Objęliśmy się jak kobieta i mężczyzna, nadzy  
 na brzegu wszystkiego co, łącząc, rozdziela  
 i rozdziela. Dotknąłem językiem języka wiersza.  
 Wiersz zaśpiewał, a ja kaszlałem. Potem  
 napiliśmy się wódki i wiersz kaszlał, a ja  
 płakałem. Płatki róż płatały słowa, ciała i figle.  
 Ocknąłem się z białym piaskiem w ustach  
 i stadem kłótliwych rybików w pułapce ucha.  
 Na kanapie rozkładały swoje kartki wiersze,  
 których nie napisałem, ale które mnie chciały.  
 – Nie wszystkie to dziwki. Opinała mnie  
 opinia wiersza, który już mnie nie potrzebował.  
 O tak! Nie udawały. Kochały się ze mną. Ale...



Ilustracja z okładki książki Krystiana Węgrzyńka „Języki mitu, historii, religii w literaturze na Górnym Śląsku. Analiza wybranych dzieł XX wieku regionu pogranicza”, Wydawnictwo Naukowe Śląsk, 2018

# Śląscy bogowie

KRYSTIAN WĘGRZYNEK

*My dwa fantomy z Horni Suche ňespimy  
A we dñe a w nocy po Ślónsku bludzimy.*

Óndra Łysohorsky

## Praca nad śląskim mitem

Przekonanie, iż opowieść mityczna jest podstawą życia danej społeczności podawane jest nierzadko w wątpliwość, która z kolei przeradza się w podejrzenie, iż mit wykorzystuje się do uprawomocnienia doktryny. Trudno jednakże obyć się bez tej kategorii w opisie jakiegokolwiek społeczności, a szczególnie tej poddawanej procesom ideologicznego zawłaszczenia. Szczególnie cenne i pomocne są także dla mnie uwagi Hansa Blumenberga na temat procesualności, dynamiki mitu, i „pracy”, która dokonuje się za jego sprawą w danym etnosie. W zanotowanych przez antropologów ustnych podaniach zauważyć można próbę „przewyciężenia trwogi praczasów” poprzez powtarzane przez kilkaset lat mity o Skarbniku, Morze czy Utopcu; z kolei w tekstach literackich, przetwarzających te wątki (mitologemy), praca nad mitem zmierza w kierunku, który pozwala „wniknąć w totalność pewnego życia, dostarczyć mu podstaw zrozumienia siebie, opisu, a nawet kształtowania samego siebie – życia otwartego i dostępnego nam, bez owych litościwych kryjówek, do których wszyscy rościmy sobie prawo”.

Dlatego nasza próba odczytania pierwotnych przekazów, szczególnie poprzez mitologizację literackie, skupiona będzie na aspekcie antropologicznym. Będzie próbą odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób nasz śląski przodek odnajdywał się w nieokiełzanym świecie przyrody, świecie, w którym „mówiliśmy prostym językiem żywiołów [gdzie] Woda była wodą, skała skałą, ogień ogniem”. Dzisiaj, kiedy „zwierciadło słów zostało rozbite”, ta próba rekonstrukcji mogłaby się wydawać naiwnością, gdyby nie to, że powstaje nowe lustro śląskiej literatury i nie jest to li tylko „sowie zdradło”. Przyjrzyjmy się wnikliwiej podstawom tej konstrukcji.

## Rozmowa z żywiołem przyrody

Śląski mit ludowy to język religii naturalnej, to rozmowa człowieka z żywiołem przyrody; jej antropomorfizacja (Skarbnik, Utopiec) jest ogniwem pośrednim pomiędzy nią samą a człowiekiem. Literatura to z kolei miejsce intertekstualnej rozprawy z mitem: demitologizacji połączonej z autorską mitologizacją, splotu prastarych wyobrażeń z późniejszymi antycznymi i chrześcijańskimi, obrony „arche” wobec naporu języka historii – i tej militarnej, i tej przemysłowej.

Dzieło literackie jest „przekładem”, „transformacją treści pierwotnych w jakieś treści wtórne”, co oznacza, przynajmniej potencjalnie, istnienie jakiegoś oryginału; utwór napisany staje się więc dla nas swoistym palimpsestem, z którego być może nie da się już odczytać tekstu pierwotnego, ale opis jego wielowarstwowej struktury niepozabawiony będzie – moim zdaniem – walorów poznawczych.

Taki charakter ma początkowy fragment powieści Hansa Nowaka i Georga Ziviera *Zink wird Gold*:

W niejednej górniczej izbie wisi nad łóżkiem obraz gwarków w czarnych strojach galowych, ojca albo syna, dla których podziemny chodnik stał się miejscem śmierci. „Niech ludzie przebywają na powierzchni ziemi, gdzie Boże słońce świeci” – mruczy zmarszczona staruszka – „dół jest dla zmarłych”. Od stu lat lud (*das Volk*) ten zjeżdża do kopalń i staje przy hutniczych piecach, poznaje tajemnicę dźwigni włączającej i koła napędowego, a jednak – jak przodkowie – jest związany z ziemią: mimo iż porzuca pracę na roli na rzecz górniczego trudu, chce po fajrancie zajmować się uprawą kartofli, naprawiać drzwi chlewika czy pielęgnować owocowe drzewa. Rolnicze zmysły podatne są zarówno na wpływ diabła i jego świty, jak i Boga oraz jego świętych. W stawach i pod mostami mieszka Utopiec (*Utopletz*), duch wodny, zwodzący młode służące, wracające do domu z potańcówki i prowadzący je do swych ziejących chłodem komór. Z kolei pod podziemnymi sklepieniami mieszka Skarbnik, który ostrzegał już niejednego uczciwego gospodarza przed złą pogodą lub spadającą skałą, poklepując go po policzku lub szturchając pod żebro – „górnikowi nie wolno gwizdać lub szpetnie przeklinać, gdy idzie kopalnianym korytarzem, w przeciwnym razie Skarbnik staje się złośliwy.

Pierwsze zdanie jest przywołaniem tradycji rodzinnej i bezpośrednim zderzeniem czytelnika z istotą śląskiego losu – docelowe miejsce złożenia ciała po śmierci jest jednocześnie miejscem ich pracy – nie-Boski dół jest sceną tej nie-Boskiej tragedii. Fotografia wisząca nad łóżkiem jest niejako prefiguracją złożenia w kamiennej trumnie. Ten epitafijny obrazek jest jednak tylko wstępem do charakterystyki Ślązaków, znienucka przerzuconych ze świata bukolicznej sielanki do industrialnego odmetu. Owo przetrucenie ma jednak tylko charakter mechaniczny – Ślązak nie przestając być tradycyjnym rolnikiem (kartofle, chle-

wik, drzewka), nie tylko staje się wykwalifikowanym robotnikiem (koło napędowe, dźwignia włączająca), ale również zachowuje tradycyjne wierzenia, obok katolickich („Bóg i jego święci”). Owe osobowo-przestrzenne fantazmaty dotyczą zarówno kobiet, jak i mężczyzn:

– one z przestrzeni wiejskiej tancbudy mogą zawędrować do wilgotnych komór Utopca,

– oni ze swoich górniczo-chłopskich zagród trafiają do podziemnych labiryntów Skarbnika.

Pozorna niespójność stylistyczna fragmentu – terminologia techniczna przeplata się z określeniami metaforycznymi – jest tak naprawdę komplementarna wobec założonej tezy: zmieniający się śląski makrokosmos znajduje swoje odzwierciedlenie w jednostkowym mikrokosmosie.

Tak jak głęboko zakorzenione nawyki rolnicze nie ustępują miejsca nowym – robotniczym, tak samo przekonania pogańskie nie wypierają chrześcijańskich: „Gdzieniegdzie przeziera przez różne struktury Śląsk pogański, ze strzygami i utopcami poślizliwie traktowany przez Śląsk chrześcijański, który rozwija się, nie poddając się propozycjom kulturowym Śląska narodowego”.

Mityczną przestrzeń, w jakiej toczy się wieczny czas zdarzeń, daje się oglądać z kilku stron. Wydawałoby się, iż są to miejsca ostatecznie przeklęte, kojarzące się z miejscem wiecznego spoczynku („dół jest dla zmarłych”) lub z czeluścią *Inferno*, tymczasem rodzą się w nich również szlachetne postawy: nieugięta nieustępliwość, międzyludzka solidarność i wzorcowa pracowitość.

### Skarbnik w tekstach dawnych

W tym kontekście trudno tu oficjalnie nie przywołać protoplasty literackiej wersji śląskiej mitologii. Odwołuje się on, w duchu renesansowej poetyki, do panteonu bogów antycznych. Rodowód swojej grupy zawodowej wywodzi od „Wulkanu Lemneńskiego”, greckiego „Hefestusa”, jak i „od potomków Noego, zwłaszcza od Tubala”, a swojemu środowisku przypisuje pradawną niezależność:

Bo jeszcze od Cyklopów począwszy w niewoli

U żadnego tyranna nigdyśmy nie byli.

Zarówno bowiem w świecie górnośląskich kuźnic, jak i w świecie Blake’owskiej imaginacji „prawdziwa praca jest twórczym aktem wolnego

człowieka, gdziekolwiek przebiega, uczłowiecza społeczeństwo i naturę”. Człowiek, czyniąc sobie nie wyłącznie ziemię poddaną, ale i jej podziemie, staje się już nie tylko gospodarzem świata, ale i jego absolutnym władcą: „Jak kowal obrabia przedmioty, tak on poddaje obróbce cały świat”.

Do tego świata utkanego z języka mitologicznych aluzji i technologicznych uwag na temat produkcji żelaza z całą bezceremonialnością przywołany zostaje (z Walonii?) strażnik podziemi:

Wielkie szczęście przy kruszczach przez długi czas mieli,

Poki gory z niejakim Szarlejem dzierżeli,

Lecz gdy go być skarbnika a ducha ziemnego

Poznali, wzbrzydździł się towarzystwem jego.

Więc by go jakokolwiek od siebie zagnali,

Rozmaite mu przykrości zawždy wyrządali;

Karaktery pisali, krzyżki do tego Czynili, a to kładli więc na kruszce jego.

„Śmiałowie łód Prometeja”, którzy wzbogacili się na wydobywaniu bogactw naturalnych, dzięki – rzecz jasna – „Bogu wszechmocnemu”, korzystali z pomocy istot z innego systemu religijnego. Choć może niezupełnie. Jak przypuszcza Józef Piernikarczyk, określenie Szarlej (Charl, Charles) może odnosić się do przybyszów z Flandrii lub Walonii, którzy osiedlili się w tych okolicach w XIII wieku (Bytom był lokowany na 140 łanach flamandzkich).

Był ów Szarlej zapewne fachowcem w dziedzinie poszukiwania kopalni i omijania żył wodnych (oznaczanych znakami – „karaktery”, „krzyżki”), który zawarł z mieszczanami grodu nad Koczawą umowę dla obu stron, do czasu, korzystną. Po wyczerpaniu rud srebra i zubożeniu gwarków, nieprzeprowadzających odwodnienia wyrobiska, doszło do kryzysu w formie mitycznej opisanego przez historyków, m.in. Jana Długosza i Mikołaja Liebentala. Poznanie „owego ducha” (poznanie się na nim, rozszyfrowanie jego charakteru) musiało być więc próbą zerwania kontraktu, odebrania jego udziałów („krzyżki do tego/ Czynili, a to kładli więc na kruszce jego”) czy wręcz wygnania przybysza z miasta. Rożdzieński sympatyzuje z Szarlejem („Rozmaite mu przykrości zawždy wyrządali”), a kara, jaka spotkała chciwych mieszczan (zatopienie kopalni), wydała mu się sprawiedliwa.



O popularności mitu Skarbnika na Górnym Śląsku świadczy także uroczą, niewielkich rozmiarów figurka, która wzbudza zaciekawienie przechodniów na katowickim rynku.

Roman Adler zestawia te wydarzenia z faktami opisanymi w kronice klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu autorstwa Mikołaja Liebentala, który przebywał w Bytomiu jako prepozyt kościoła świętej Małgorzaty w latach 1506–1509. Spór Piastów Śląskich: Przemysława toszeckiego i Konrada oleśnickiego doprowadził do starcia ich zwolenników, w wyniku którego doszło do utopienia dwóch księży, zwolenników tego pierwszego. Liebental opowiada przy tej okazji mistyczną historię wzajemnych stosunków księży kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i bytomskich mieszczan. Opis symbiozy Dziewicy i Szarlana (kopalnie zostały zalane za jej zgodą) ma charakter niezwyklej hybrydy apokaliptyczno-handlowej: wizji wojny i pokoju Niewiasty i Demona (wzorowanej po trosze na Ob-

jawieniu św. Jana, po trosze na Księdze Hioba) z opisem systemu podatkowego, obowiązującego w XIV-wiecznym Bytomiu. Fatum wiszące nad tym starym grodem trwa – zdaniem niektórych – do dziś, co ma tłumaczyć stopniowe zapadanie się miasta i niszczenie jego zabudowy.

#### „Skarbnik” w powieści S. Twardocha

Bardziej manichejskie zabarwienie ma literackie opracowanie podziemnego mitu przez Szczepana Twardocha w powieści *Epifania wikarego Trzaski*. Jego Skarbnik działa w świecie Historii. Poznajemy go początkowo z perspektywy chorego psychicznie Teofila Kocika. Wydaje się jeśli nie postacią całkowicie fantastyczną, to już na pewno projekcją jego chorych urojeń.

Nawet wytłumaczenie, które słyszymy z ust Józefa Lompy-Poniedziałka, brzmi jak łagodna perswazja kierowana do ciężko chorego: „I zapytałeś pana Lompy, który siedział przy twoim łóżku, gdzie był, a on powiedział, że „buu żeś pod zymnjum, na grubje, i tam će Skarbek wyliczył” (s. 24).

Całej prawdy o postaci dowiadujemy się dopiero wówczas, gdy główny bohater, dokonujący cudów po przeżyciu – jak się potem okaże – rzekomej epifanii, trafia do kopalni, gdzie ma również zostać uleczonej. W ukrytej niszy niezycznego chodnika spotyka się z domniemanym Skarbnikiem. Okazuje się nim górnik – niemiecki jeńiec, skazany w 1945 roku na przymusową pracę w śląskiej kopalni. Bogislav Freiherr von Tschowitz, pomorski szlachcic, oficer i luteranin, obarczony 14 godzinami pracy na dobę i poniewierany przez esbeckich urzędników, postanawia wykorzystać awarię w kopalni i zaszyć się w jednym z zakamarków na zawsze. Ta decyzja nie wynika jednak z chęci unikania pracy. Chce on stać się – pod wpływem rozmów z innym skazanym, księdzem Smollką – górnym eremitą, który będzie mógł oddać się pokucie, pracy (cały czas wykuwa kilofem węgiel, by odpłacić się skrycie dokarmiającym go górnikiem) i medytacji. „Sześćdziesiąt lat rekluzji, sześćdziesiąt lat życia spędzonego w ciemnościach, na modlitwie i pracy, na żebraczym chlebie. Sześćdziesiąt takich lat przybliży człowieka do Boga tak blisko, jak tylko można zbliżyć się za życia”. Ta bliskość sprawia, że Bogislav staje się osobowością obdarzoną niezwykle mocą – uzdrawia Kocika czy raczej uśmierza jego ból. Doznający rzekomego objawienia Trzaska w obliczu Bogislava przeżywa epifanię właściwą:

Ksiądz Janeczek zobaczył człowieka. Tym razem jednak to nie on widział na wskroś – jego nadprzyrodzone spojrzenie nie przenikało przez pokrytą węglem skórę. Podziemny człowiek sam ukazał się w głowie księdza. Wizja nie była aktem przenikliwości, lecz głębokiego intymnego otwarcia (115).

Dla wtajemniczonych zjeżdżających na dół staje się duchowym „fatem”, niewtajemniczonym zaś łatwo wmówić, że długowłose, kompletnie szczerzyły od węgla starzec, to „Skarbnik, strażnik podziemi” (126).

#### *Berggeist* w *Wenn es Tag wird* G. Ziviera i H. Nowaka

Jeszcze inaczej przedstawiony zostaje Skarbnik w powieści Georga Ziviera



ra i Hansa Nowaka *Wenn es Tag wird*, a w zasadzie w jej fragmencie – historii Felixa. Nie jest to tym razem Morcinkowy anachoreta ani Anioł Stróż, ale postać bardziej wieloznaczna. Skarbnik, oprócz słowiańskiego miana, nosi jeszcze tytuł *der Berggeist* (Duch kopalni) i wydaje się dobrym kompanem młodego adepta sztuki górniczej. Główny bohater tej historii jest 16-letnim katolikiem, tak jak protagonistą całego tekstu Franz Winckler, i staje się dlań wzorem do naśladowania. Historia Felixa jest bardzo krótka. Zgłasza chęć pracy u sztygara, ten wysłał go na przodek, „gdzie dalej iść się już nie da” (*wo's nicht mehr weitergeht*). Tam ma miejsce spotkanie ze Skarbnikiem, który wcześniej pojawia się pod postacią myszy, szczura i psa; dzięki temu, iż dzieli się z nim (-i) swoim śniadaniem, otrzymuje od niego kilka wskazówek, jak umocować ładunki w węglowej skale, by ją skruszyć. Kiedy górnicy przychodzą na kolejną zmianę, są zdumieni efektem pracy młodzieńca: „takiej wielkiej ściany jak Felix nikt jeszcze nie wysadził”. Młody górnik poniósł jednak śmierć na miejscu, co upamiętnia pomnik w Bytomiu z inskrypcją „Tu leży dzielny Felix. Umarł z powodu dobrej intuicji. Szczęść Boże! (*Hier ruht der brave Felix [...] er starb an der guten Gesinnung – Glück auf!*). Przedostatnie słowo – kluczowe w tej historii – można tłumaczyć jako usposobienie, światopogląd, dobre nastawienie. W tekście jednak przeciwstawione zostaje górnicznemu doświadczeniu (*Bergbafahren*) i wiedzy (*Kenntnisse*), której przecież Felix nie posiada. Skarbnik śmieje się z wątpliwości 16-latkę, który nie tylko nie pracował na przodku, ale – co wynika z tekstu całej historii – w ogóle nie pracował na kopalni. Zdumiewający jest śmiech Pana Podziemi: „Wiedza? – śmieje się Skarbnik, przecież masz dobrą intuicję!” (*Kenntnisse!, lacht der Berggeist, du hast doch die gute Gesinnung!*). Podobnie reagują górnicy przysłuchujący się opowieści starego górnika Vossa. Duch kopalni, solidnie nakarmiony przez Felixa – scena jako żywo przypomina obraz Pawła Wróbla *Śniadanie ze Skarbnikiem* – pomaga mu wprawdzie zrealizować zadanie, ale jednocześnie przyczynia się do jego śmierci. Wydaje się, jakby Skarbnik współpracował ze sztygarem – obaj chcą wykorzystać ową *Gesinnung* Felixa, by dokonać tego, czego doświadczeni górnicy do tej pory nie podjęli. Obaj, stojący po stronie *ratio*, oczekują na jakiegoś podziemnego jurodiwego, który „skruszy zimny głaz”.

Dlatego (nie) szczęśny Felix zostaje pod powierzchnią – to on jest ceną, jaką trzeba zapłacić Bóstwu Podziemi, to on jest haraczem splecanym Wydrążonej Ziemi, to on jest symboliczną ofiarą, której co jakiś czas żąda rozdrażniony Żywiół. Zaś jego pomnik jest hołdem złożonym wszystkim dzielnym, którzy odważyli się skruszyć skałę, wstrząsnąć opoką, otworzyć przestrzeń, za którą już nic nie miało być.

Mitologiczna kreacja kopalnianego ducha wyrasta zatem z dwóch dyskusów: historycznego (wypadki bytomskie, margrabia brandenburski, Franz Winckler, oficer Wehrmachtu) i metafizycznego (dobry i zły duch kopalni, obecność Maryi), a zarazem próbuje w podziemnej przestrzeni zdefiniować miejsce człowieka.

B. Malinowski: *Mit, magia i religia*. Tłum. B. Leś, D. Praszalowicz. Warszawa 1990; E. Casirrer: *Esej o człowieku. Wstęp do filozofii kultury*. Tłum. A. Staniewska. Warszawa 1998; M. Eliade: *Traktat o historii religii*. Tłum. J. Wierusz-Kowski. Łódź 1993; E. Mielecinski: *Poetyka mitu*. Tłum. J. Dancygier. Warszawa 1981; R. Marszałek: *Mythos Redivivus*. Warszawa 2010.

R. Barthes: *Mitologie*. Tłum. A. Dziadek. Warszawa 2000; J. Derrida: *Struktura, znak i gra w dyskursie nauk humanistycznych*. W: tegoż: *Pismo i różnica*. Tłum. K. Kłosiński. Warszawa 2004, s. 483-504.

L. Kołakowski: *Obecność mitu*. Warszawa 2003; W. J. Burszta: *Czytanie kultury. Pięć szkiców*. Łódź 1996.

H. Blumenberg: *Praca nad mitem*. Tłum. K. Najdek, M. Herer, Z. Zwoliński. Warszawa 2009.

Zob. np. D. Simonides, J. Ligęza: *Gadka za gadką. 300 podań, bajek, i anegdot z Górnego Śląska*. Katowice 2009; M. Gerlich: *Strachy w kręgu dawnych śląskich wierzeń*. Katowice 1989.

H. Blumenberg: dz. cyt., s. 15.

Tamże, s. 375.

Z. Herbert: *Martwa natura z wędzidłem*. Wrocław 1993, s. 110.

J. M. Coetzee: *Elisabeth Costello*. Tłum. Z. Batko. Kraków 2006, s. 28.

Zob. np. Dante i inksi. *Poezjyż w tłumaczeniach Mirosława Syniawy*. Kotórz Mały 2014; M. Kik: *Filozofjo po ślōnsku*. Kotórz Mały 2014; Ajschylos: *Prōmytojs przibity*. Tłum. Z. Kadłubek. Kotórz Mały 2013.

R. Sulima: *Dokument i literatura*. Warszawa 1980, s. 10.

H. Nowak, G. Zivier: *Zink wird Gold. Ein Roman des wirklichen Lebens*. Berlin 1937, s. 6. [Tłum. KW].

B. Linek, J. Haubold-Stolle: *Wprowadzenie*. W: *Górny Śląsk wyobrażony. Wokół mitów, symboli i bohaterów dyskursów narodowych*. Red. J. Haubold-Stolle, B. Linek. Opole-Marburg 2005, s. 9. Tę odrębność wobec „propozycji kulturowych Śląska narodowego” widać na przykład w poemacie *Officina ferraria* pozbawionym chociażby narodowych antagonizmów. Zob. także:

Z. Zielonka: *Śląsk – ogniu tradycji: rozważania o historii i kulturze*. Katowice 1981.

Przykładowy topos kopalni-piekła: „Można by przypuszczać, że Dante zszedł do tych głębin i zobaczył tutaj piekło w całej beznadziejnej udrewe w całej grozie”. Zob. E. T. A. Hoffmann: *Kopalnie w Falun*. W: *Dawna nowela niemieckojęzyczna*. Oprac. G. Koziłek. Warszawa 1979, t. 1, s. 302. Zob. np. M. Janion: *Kuźnia Natury*. W: tejsze: *Gorączka romantyczna*. Warszawa 1975, s. 246-287; I. Kaczmarzyk: *Góry, kuźnice, kopalnie. Literacki obraz śląskiego górnictwa*. W: *Śląsk – śmietnik kultury*. Zabrze 2001, s. 31-46.

Por. R. Ociecek: *Główne kierunki recepcji „Officina ferraria” Walentego Rożdzieńskiego*. Katowice 1965, s. 65-66. W swoim czasie doczekał się także Rożdzieński miana „pierwszego polskiego pisarza proletariackiego”. Por. G. Morcinek: *Górny Śląsk*. Warszawa 1950, s. 7.

W. Rożdzieński: *Officina ferraria...*, s. 37.

Tamże, s. 45.

Tamże, s. 61.

Tamże, s. 181.

N. Frye: *Blake i archetypy*. W: *Mistyczny świat...*, s. 148.

G. Bachelard: *Wyobrażenia poetycka. Wybór pism*. Tłum. H. Chudak, A. Tatarkiewicz. Warszawa 1975, s. 262.

W. Rożdzieński: dz. cyt., s. 126.

Por. S. Ligoń: *Bery i bojki śląskie*. Katowice 1980, s. 29.

W. Rożdzieński: dz. cyt., s. 97.

Za: G. Chmarzyński, M. Gładysz, S. Ziembka: *Region bytomsko-katowicki*. W: *Górny Śląsk*. Red. K. Popiołek, M. Suchocki, S. Wysłouch, S. Zajchowska. Poznań 1959, s. 83.

Tamże.

R. Adler: *Szarley czyli duch buntu śląskich górników*. <http://romaquil.blog.onet.pl> [dostęp 3 lutego 2015].

Zob. np. *Odczyniacze klątwy*. <http://2012.zyciebytomskie.pl/artykul.php?id=370&glowny=0> [dostęp 3 lutego 2015].

S. Twardoch: *Epifania wikarego Trzaski*. Wrocław 2007. Numery cytowanych stron podaje w tekście głównym.

H. Nowak, G. Zivier: *Wenn es Tag wird. Roman*. Hamburg-Berlin 1950, s. 59-61.

Zob. G. Morcinek: *Podanie o Skarbniku*. W: tegoż: *Miód w sercu i inne nowele*. Katowice 1966, s. 238; H. Goszyc: *Skarbnik – dobry duch kopalni jako parafraza Anioła Stróża w pisarstwie Gustawa Morcinka*. W: *Gustaw Morcinek – w 120-lecie urodzin*. Red. K. Heska-Kwaśniewicz, J. Lyszczyna. Katowice 2012, s. 64-73.

Taki antropozoomorficzny kształt często pojawia się w podaniach górnicych. Zob. M. Gerlich: dz. cyt., s. 54-61.

W tym znaczeniu jako „usposobienie” u Blumenberga, s. 607.

**Fragment książki pióra dr. Krystiana Węgrzynka zatytułowanej: Języki mitu, historii, religii w literaturze na Górnym Śląsku. Analiza wybranych dzieł XX wieku regionu pogranicza. Postowie Zbigniew Kadłubek. Katowice 2018. Thesaurus Silesiae Skarb Śląski we współpracy z Wydawnictwem Naukowym „Śląsk”. s. 378.**



# Jan Goczoł

## (1934-2018)

# In memoriam

### PRÓBA PORTRETU

Jan Goczoł – wiadomo, poeta przede wszystkim publicyista, autor tytu felietonów podszytych poezją, układanych w cykle (późny wnuk wyda je w kilku tomach), redaktor, działacz społeczny, ludoznawca, trybun ludu milczącego i orator. Zainteresowania językoznawcze i etnograficzne. Tłumacz poezji o wyjątkowym słuchu językowym, słyszy dobrze języki słowiańskie (od rosyjskiego po macedoński) i germańskie. Nie mówi za głośno i za często o pomostach i zbliżeniach, o wielokulturowości i wielojęzyczności, ale stara się – jak umie, jak serce podpowiada – oswajać i poznawać to, co pozornie dalekie i obce, a czasem okazuje się, że tylko trochę inne.

Z Rozmierzy pod Strzelcami Opolskimi ród swój wiedzie. Goczołowie w Rozmierzy byli, zdaje się od zawsze. Pamięć długa, przekazywana przez po-

kolenia. Z tej Rozmierzy, w której urodził się sławny Piotr Gaszowiec (Petrus de Silesia, Petrus Strzelec), astronom, medyk i utalentowany mówca z XV wieku. Był lekarzem nadwornym króla Kazimierza Jagiellończyka, kilka razy dziekanem, a nawet i rektorem przesławnej Akademii Krakowskiej; wtedy to jeszcze było blisko znad Odry do Krakowa. Ze znakomitym krajanem łączy Goczoła zamiłowanie do podróży (obydwaj odwiedzali południe Europy i Kolonię, chodzili prawie tymi samymi drogami) czasem talent oratorski i zainteresowania astrologiczne. *Genius loci* nie opuszcza tego zakątka.

Przywiązanie serdeczne do Śląska, do ludzi tutejszych i spraw Śląska dotyczących, właściwie opętanie Śląskiem, szlachetna choroba, ciągle ponawiane próby zrozumienia istoty śląskości, śląskości jako przekleństwa i błogosławieństwa, miłość dwuskrzydłata, o której dawno temu pisał Cyprian Norwid. Stary Ślązak, postać

literacka, złożona z okrucichów rzeczywistości, czasem więcej rozumie i czuje niż autorzy spisujący grube księgi historyczne, socjologiczne i ludoznawcze. Mówi inaczej. Rozumie, czuje, kocha, nienawidzi, dziwi się, złości, z czasem traci cierpliwość, cedzi przez zęby, przychodzi z zaświatów nawet, żeby się upomnieć o swoją prawdę, mówi szeptem, a czasem już tylko szepcze do siebie. Gdyby tak ktoś wysłuchał do końca Starego Ślązaka z wierszy Goczoła (kto jeszcze pamięta, co mówił Jarosław Iwaszkiewicz o poetach, przypominał, że czują oni więcej i przeczują niż wiedzą mądrzy). Albo zastanowił się dłużej nad jego mówiącym milczeniem. Pomyślał, co znaczy ta gorycz:

*Już za niego dawno inni wszystko mówią*

*Sam by nie pomyślał, że tak trzeba mówić.*

*Już mu do milczenia nie zostało długo.*

W wierszach ciągle (ale nie tylko) o Śląsku, o ludziach i sprawach, prawie jak w pisarstwie Erwina Kruka, który też mówi za innych, trudną prawdę mazurską próbuje uchwycić. Dopelnieniem wierszy Goczoła cykle gorzkich, ale jakże przenikliwych felietonów: *Dukty śląskie* i stylizowane listy do Janiny Ptak. Zwroty liryczne do św. Jana Nepomucena. Jan Nepomucen, tak się przynajmniej zdaje, pomaga imiennikowi, jak może. Mitologizacja domowej ojczyzny, kiedy indziej – dla równowagi – demitologizacja. Sercem gryzę – mógłby powtórzyć za mędrkami. Pamięć dobra o ludziach bliskich, których już nie ma wśród żywych (Krzysztof Bucki, Marek Jodłowski), długa pamięć o powinowatych z wyboru (o Rafał Urbanie, wielkim oryginale z Głogówka, pisarzu i ogrodniku, którego Stachura nazwał ojcem, o Janie Edmundzie Osmańczyku, który tak dobrze rozumiał sprawy śląskie i myślał o nich wszędzie, nad Wisłą i za Wielką Wodą).

Spolecznik i *homo politicus*. Sensualista i myśliciel. Czują na uruki życia i ciągle poszukujący prawdy. W ławach poselskich układał czasem wiersze i marzył o miedzy zielonej, na której mógłby się wyciągnąć i patrzeć między dwiema ścianami zboża („rozmaitego” co oczywiste) w niebo wysokie, chmury przesuwające się powoli śle dzić, czuć to wszystko, co łączy z ziemią. Wiersze o miłości, wiersze intymne, wiersze zadumane, wiersze o zbiorowości. I ciągle pamięć o kulturze i naturze, o rozdwójeniu w sobie, jak pisał kiedyś sławny poeta. Pamięć



ciągła. O niegdysiejszych kompromisach też. I o cenie kompromisu. Pamięć bez skreśleń i łatwych usprawiedliwień. Raczej bez ucieczek. Potrzeba ciągłego sprawdzania, ciągłego dotykania skórą. Wszędzie próbuje przenościć z czasu w czas przeżycia, miłości, fascynacje. Powroty i próba znoszenia granic. Niechęć do świata bez pamięci; nawet odrobinę wsi udało mu się przenieść na bruk miejski. Przyznawał się kiedyś:

*Ta krowa niewidzialna, którą trzymam u siebie,*

*Na trzecim piętrze, ulica Dzierżonia,  
przyszła za mną  
po dwunastu latach rozłąki.*

ADAM WIERCIŃSKI

## PIEWCA ŚLĄSKA – ZIEMI I LUDZI

W 84. roku życia zmarł w Opolu 22 lutego Jan Goczoł. Piewca Śląska – ziemi i ludzi. Poeta, felietonista, redaktor, tłumacz. Poseł na Sejm w latach 1985–1991. W atmosferze jubileuszu Stowarzyszenia Instytut Śląski, w 1994 roku wybrany prezesem Kuratorium.

Urodził się 13 maja 1934 r. w Rozmierzy pod Strzelcami Opolskimi (wówczas Rosmiers, a od 1936 r. – Angerbach) w pruskiej prowincji górnośląskiej. Goczołowie, jak pisze dr Adam Wierciński, „w Rozmierzy byli, zdaje się, od zawsze”. Pewnie nie tylko Rozmierzy, bo nazwisko znaleźć można w pobliskim Grodzisku, z którego np. w 1888 roku gospodarz Jozef Goczoł skarżył się, iż został obrażony przez Jana Ciomperlika, ale przed sądem rozjemczym pogodził się z sąsiadem...

Jan Goczoł rozpoczął edukację w szkole niemieckiej. Kontynuował ją, gdy przez prawobrzeżną część Opolszczyzny zimą początków 1945 roku przeszedł front i wkrótce została przyłączona do państwa polskiego. Etnicznie i kulturowo rodzinna wieś Goczoła była polska, w 1910 roku na 641 mieszkańców – 625 mówiących językiem polsku, 15 niemieckim i 1 obydwojoma językami. W plebiscycie 20 marca 1921 r. 193 dorosłych (58% uprawnionych przy 98,5% frekwencji) głosowało za przyłączeniem Górnego Śląska do Polski. Za pozostaniem w Niemczech – 139 (42%).

Podkreślał Jan Goczoł, iż był pierwszym po wojnie mieszkańcem, który zdobył maturę (w 1953 w strzeleckim Liceum Administracyjno-Handlo-

wym), następnie studia wyższe. Do historii Polski wieś wpisana została już w XV wieku, bowiem, jak przypomniał Wierciński, w Rozmierzy urodził się Piotr Gaszowiec (ok. 1430–1474), słynny uczony – stronom i medyk (nadmowny lekarz Kazimierza Jagiellończyka), profesor i rektor Akademii Krakowskiej.

Po maturze – nie mogąc rozpocząć studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim, bo jako „kułackie” dziecko nie otrzymał miejsca w akademiku ani stypendium, podjął pracę – kolejno w PGR, fabryce obuwia, zarządzie powiatowym ZMP. Odbył też obowiązkową służbę wojskową. Studia rozpoczął ostatecznie w 1960 roku w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, wybierając – jak mu doradzali pisarze, z którymi się zetknął – polonistykę. Tłumaczył to później następująco: „Pradzieje mojej literackiej świadomości zaczynają się w styczniu 1945 roku. Kiedy z niedzieli na niedzielę w spontanicznych modlitwach i śpiewach kościelnych pojawił się – tak wyraźnie i niespodziewanie jakby nagle rzeka spod ziemi wystąpiła – zupełnie inny język. Język polski. To było wstrząsające oszołomienie. Znałe mi dotychczas jedynie z domowych przyciszonych szmerów i szumów słowa gwarowe rezonowały teraz tekstami modlitw i psalmów o przemożnej, pulsującej energii; byłem w tym czasie ministrantem – dzień w dzień napromieniowała ta, przejmująca nieznanym dreszczem energia”.

Dodajmy w tym miejscu, iż w *Real-Handbuch des Bistums Breslau* z 1929 roku w parafii Rosmiers w kościele język polski – podobnie jak 11 innych należących do dekanatu strzeleckiego – był wymieniony jako pierwszy, po nim niemiecki. Tylko w 2 parafiach strzeleckich było odwrotnie. I na koniec – wśród haseł Leksykonu Polactwa w Niemczech, których w 1939 roku w opolskich „Nowinach Codziennych” nie zdążono wydrukować, znalazła się Rozmierz, o treści (m.in): „W kościele parafialnym 3 nab. polskie w mies., jeden raz w kościele filialnym. Maj./owe/i róż./ańcowe/ 4 razy w tyg. nieszpory i droga krzyżowa po polsku, Dzieci przygotowuje się do sakr./amentów/ św. po polsku”. Przypomnijmy – gdy Leksykon drukowano już tak nie było, bowiem w przededniu napaści na Polskę, kardynał Adolf Bertram zawiesił polskie nabożeństwa, wcześniej – w czerwcu 1939 r. niemieckie nabożeństwa w diecezji katowickiej zawiesił bp. Stanisław Adamski.

W opolskiej uczelni czas jego studiów (1960–1965) to także spotkania z kształcącymi się – zapowiadającymi

się już poetami – Wiesławem Kazanecim, Ireną Wyczółkowską, Bogusławem Żurakowskim czy świeżymi absolwentami – Stanisławem Srokowskim, i Zbigniewem Żakiewiczem, wówczas wykładowcą. Już podczas studiów Goczoł został członkiem Związku Literatów Polskich (1963), od 1971 – prezesem Oddziału Opolskiego, bo jako poeta zadebiutował w 1957 roku, opolskim „Almanachu artystycznym”, a następnie swoje wiersze, fragmenty prozy recenzje literackie i tłumaczenia wierszy z literatur obcych publikował m.in. w „Odrze” (1958–1959), „Trybunie Opolskiej” (od 1958), „Kalendarzu Opolskim” (od 1962).

Po studiach – jako publicysta – związał się z redakcją katowickich „Poglądów”, a swoje utwory publikował też w „Tygodniku Kulturalnym”, „Życiu Literackim”, „Miesięczniku Literackim” i „Faktach i Myślach”. W 1970 roku rozpoczął pracę w miesięczniku „Opole”, w którym był kolejno sekretarzem, zastępcą redaktora naczelnego i od 1975 roku redaktorem naczelnym. Od 1986 roku był prezesem Oddziału Opolskiego ZLP, a w 1989 został członkiem Zarządu Głównego ZLP. Był prezesem Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego od 1995 roku do jego rozwiązania.

Podczas prezesowania w Instytucie Śląskim włączył się do badań nad miejscem literatury śląskiej w relacjach polsko-niemieckich.

Swoją twórczością poetycką, eselistyczną, felietonową dokumentował czasy, w których żył – ukazując najistotniejsze problemy tej części Górnego Śląska, która po ostatniej wojnie włączona została do Polski. Więc problemy, które zmiana granic i ustroju przyniosła – takie jak – tragedie rodzin które utraciły ojców – jego ojca pojmali czerwonarmiejcy i wywieźli w głąb ZSRR, gdzie zmarł na tyfus, co odzwierciedlało się szczególnie miejscem matki w poezji, niezrozumienie żyjących tu ludzi (wiersze o Starym Ślązaku), migracje do miast (felietony poetyckie „Na brzożowej korze”), w cotygodniowych felietonach...

W życzeniach z okazji 70-lecia, w imieniu społeczności Instytutowej pisałem: „Dla nas – chlubiących się dowodami Twojej życzliwości i przyjaźni – jesteś nie tylko PIEWCĄ, SUMIENIEM, ALE I SĘDZIĄ. Jesteś SOLĄ ŚLĄSKIEJ ZIEMI, jej najznakomitszym reprezentantem i dokumentalistą czasu XX i – oby jak najdłużej – XXI wieku. Jako intelektualista jesteś także strażnikiem śląskich wartości, które manifestujesz i których bronisz – zarówno wtedy, gdy piszesz ale także – gdy milczysz”...

Portretując Goczoła – jako jednego z tych, którzy za życia przekroczyli tzw. próg przeciętności i zapisali się już pięknie w kulturze, dr Wierciński pisał – „Społecznik i *homo politicus*. Sensualista i myśliciel. Czujący na uroki życia i ciągle poszukujący prawdy”. Takim Go zapamiętamy.

\*

Z Jankiem zetknąłem się podczas studiów, gdy organizowałem m.in. spotkania z członkami studenckiej grupy poetyckiej – Ireną Wyczółkowską, Wiesławem Kazaneckim, Bogusławem Żurakowskim, czy zaproszonym z Legnicy, gdzie uczył w technikum – Stanisławem Srokowskim. Od tego czasu obdarowywany byłem Jego przyjaźnią. Utrwałała to aktywność w OTK-O, „WDJ”, „Kalendarzu Opolskim” i różnych inicjatywach kulturalnych. W bliższych kontaktach charakteryzował się z jednej strony zagadkowym optymizmem katastroficznym, z drugiej pogodną (czasem melancholijną) otwartością na ludzi. Stawał się duszą spotkań towarzyskich – wyróżniał się bogactwem zapamiętanych pieśni i piosenek oraz dowcipów (także sytuacyjnych). Jako erudytę cechowała Go refleksyjność, cenna zwłaszcza podczas luźnych spotkań przy okazji kontaktów oficjalnych np. z grupami zagranicznymi. Sprzyjało to zbliżaniu ludzi i pogłębianiu współpracy. Często wiele lat trwających przyjaźni. Mimo kłopotów zdrowotnych w ostatnich latach miał wiele planów twórczych. Niestety nie wszystkie zdążył zrealizować.

MICHAŁ LIS

## GLORIA ARTIS

Gdy o Poezie mowa, poecie, który właśnie odszedł, właściwie tylko wiersz dostatecznie unieść może przesłanie jego życia i opowieść o nim. Nic tu nie wskóra suchy życiorys, choćby nawet pękający od faktów. Litera bowiem albo pozostaje martwa (zwłaszcza w obliczu śmierci), albo żywa, gdy człowiek pozostaje żywy w tym, co czynił i co pisał. A nade wszystko poetą był Jan Goczoł, choć nieraz w społecznej służbie i w wymiarze obecności pośród innych ludzi. Te ślady Jego życia są śladami człowieka idącego ku pięknu w słowie, ku miłości do ziemi, która Go wydała, a wobec służby i ludzi – ku temu, co prawi. Za tymi wysoko brzmiącymi strunami, o które tu trącam, albo przy nich – jak przy har-

## HARRY DUDA

### ŚLĄZAK MILCZĄCY

*Pamięci Jana Goczoła*

W ten luty mróz – milczenie, czas jak zasiał makiem:  
tak milczy odchodzący poeta Jan Goczoł;  
z mozołu dni i nocy sam stał się Ślązakiem  
starym. I wiecznym – z wiersza – podmiotem lirycznym.  
Słowa z kory brzoźowej go skryły, nim spoczął  
w pamięci. Stary Ślązak do podziemia schodzi  
jeszcze żyjąc, ilekroć w chwil sporze chronicznym  
nic mu się z jego duszą nie zgadza, więc grodzi

siebie od świata, by śnić. Kochałeś tę ziemię –  
od jej środka w Rozmierzy. Tragedie pomyłek  
Twoją rolę zorały, a z niej polskie plemię  
plon goryczy zbierało. I nad to upartym  
wzwyż idąc słowem, trwałeś, aż wielu prawd schyłek  
jak dnia schyłek przedwczesny nastał. Lecz ocali  
Cię piękno, co ulata nad czasem rozdartym  
jako światła ptak wieczny.

26 lutego 2018

fie – stał wielki talent artysty i stał Jego system wartości, i stały – te po dawnemu ujmowane – cnoty. Wśród tych cnót znajdziemy także wierną pamięć przodków i ich języka, matecznika, z którego wyszedł ku polszczyźnie swej poezji i do języka tej Ojczyzny większej, szerszej niż ukochana Rozmierz i miłowany Śląsk; wierność rodzinie; ciekawość świata i prawdy o nim; wreszcie umiejętność milczenia i powściągliwość w sądach, zwłaszcza o bliźnich. Jako introwertyk, może nawet melancholik, nieraz był bardzo „osobny” w sposobie bycia, a w przypadku cierpień, także cierpień ducha, po męsku „zamknięty” wobec świata. A jednak chował w sobie – jakkolwiek rzadko ujawniane – pokłady ciepła.

A teraz parę słów „telegraficznych” w moim kontekście osobistym. Znalismy się od 1964 r. Pierwsze w życiu spotkanie autorskie odbyłem w Jego towarzystwie, podobnie drugie (również z udziałem śp. śp. Wiesława Kazaneckiego i Wiesława Malickiego) w roku bodaj 1965 lub 1966. Rekomendował mnie na członka ZLP (1976), wielokrotnie jako sekretarz zarządu zastępowałem go w posiedzeniach ZG ZLP, w jednej kadencji byłem Jego wiceprezesem. Współpracowaliśmy na łamach miesięcznika „Opole”, którym współkierowałem, a potem kierowałem. Był mi sojusznikiem tak w twórczości literackiej, jak publicystycznej. Uczył mnie Ślą-

ska – jako jeden z tych wybitnych Ślązaków, których miałem szczęście spotkać. Dzięki niemu poznałem m.in. śp. śp. Bolesława Lubosza, Edmunda Osmańczyka, Wilhelma Szewczyka. Niedługo – w towarzystwie śp. Zbigniewa Żakiewicza – miałem zaszczyt poznać Jego Panią Matkę. Z podróży na Syberię i do Ałtaju przywiózł mi kamień z jeziora Bajkał (który w 1974 r. opisałem w wierszu) i paradny różek ałtajski do wina. Dwukrotnie razem odwiedziliśmy w składzie delegacji oświatowej kraj Schleswig-Holstein (RFN). Z tych podróży nie tylko znakomicie przetłumaczył na niemiecki mój wiersz *Dzwony w Lubece*, lecz także w roku 2005 zechciał go odczytać politykom niemieckim w ratuszu w Lubece. Jako jeden z pierwszych przekraczaliśmy razem granicę z Polską 1 maja 2004 r. już bez kontroli, bo był to dzień przyjęcia Polski do Unii Europejskiej.

Opole i Opolszczyzna pożegnały poetę skromnie, zbyt skromnie. Nawet nie spoczął w Alei Zasłużonych (może nie chciał, może nie chcieli Bliscy). Takie czasy. Jednak czasy zmienne są, a piękno i dobro trwają. Maksymę *Gloria Artis* nosił także w przyznanym Mu medalu, a nadto, przecież – i na szczęście: *Ars longa, vita brevis...*

Żegnaj, Janku! Albo: do widzenia...

HARRY DUDA



Czytanie książek to dziś zajęcie elitarne. Nie oceniam zjawiska. Stwierdzam fakt. W tym kontekście – bywając ostatnio w wielu miastach województwa śląskiego – postanowiłem sprawdzić, jak na ten fakt reagują nasze księgarnie. Ogólna odpowiedź brzmi banalnie: księgarnie są zwykłymi sklepami, w których sprzedaje się towar, a im więcej się sprzeda, tym lepiej. Kto nie sprosta konkurencji, wypada z rynku. Trudno się więc dziwić, że na wystawach królują pozycje, o których wolałbym nie wspominać.

Zainteresowałem się jednak dostępnością pozycji naprawdę elitarnych, takich które promują wiedzę o regionie. Sprawdziłem również ofertę literatury lokalnej: katowickiej w Katowicach, gliwickiej w Gliwicach, sosnowieckiej w Sosnowcu itd. Poza nielicznymi wyjątkami nie są to książki, zapewniające duży obrót. W supermarketach nie znajdziesz ich wcale, a w zwykłych księgarniach albo są pochowane gdzieś na niedostępnych półkach, albo – i to jest normą – trzeba je zamawiać (muszę jednak odnotować, że terminy realizacji są zadziwiająco krótkie; książkę zamówioną rano można gdzieś odebrać tego samego dnia po południu).

Odwiedziłem też kilka bibliotek miejskich, które w swoich statutach powinny mieć promowanie wiedzy o własnym mieście i o własnych twórcach. Niestety – biblioteki zwykle nie wyodrębniają regałów z takimi publikacjami. A już bibliotek i księgarni, zapewniających dostęp do pełniejszej panoramy twórczości regionu bez przedzierania się przez katalogi, nie spotkałem wcale. Oczywiście – w Bibliotece Śląskiej jest wszystko, a uczelnie i większe muzea prowadzą własne sklepiki firmowe, ale znów: w żadnym muzeum nie kupisz książek wydawanych na uniwersytecie, czy choćby w innym muzeum. I nigdzie nie natknąłem się na placówkę, która by promowała się pod hasłem: „u nas znajdziesz wszystko, co opublikowano o naszym mieście”.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy w końcu taką księgarnię znalazłem w Bielsku-Białej. Już sama nazwa „Klimczok” niejako sugeruje, że mogą tam być promowani autorzy z Podbeskidzia. I tak właśnie jest! W łatwo dostępnych miejscach umieszczono gabloty z twórczością na temat szeroko rozumianego regionu beskidzkiego. Dotyczy to zarówno witryny wystawowej, jak też kilku specjalnie wydzielonych miejsc wewnątrz księgarni. Na uwagę zasługuje podział tematyczny wyeksponowanych wydawnictw. Z jednej strony są to publikacje typowo historyczno-regionalne i turystyczne, z drugiej – poezja, proza i dzieła naukowe samych bielszczan.

Takie doświadczenia w zakresie upowszechniania czytelnictwa zasługują na popularyzację w całym województwie śląskim. Okazuje się, że można tworzyć punkty promocji zarówno dla autorów lokalnych, jak i dla twórców wywodzących się z szerszego regionu. Szczegół-



## „Klimczok” kształtuje tożsamość

BOHDAN ŁUKASZEWICZ

nym zainteresowaniem i pietyzmem (czyli promocją) powinna być także otoczona twórcza młodzież, stawiająca pierwsze kroki na niwie literatury – przyszli śląscy prozaicy i poeci. Należałoby też zwrócić uwagę na dorobek literacki autorów spoza Śląska i z zagranicy, o ile przedmiotem zainteresowań jest oczywiście nasz region.

Jest to niesłychanie ważne zwłaszcza w okresie, gdy Śląsk konfrontuje swoją aktualną tożsamość historyczną i kulturową z przeszłością, intensywnie poszukując najwłaściwszych dla siebie, optymalnych dróg rozwoju nie tylko w zakresie gospodarki, lecz także kultury w różnych jej przejawach. Przemyslenia i doświadczenia zapisane w tomikach poetyckich, beletrystyce i rozprawach naukowych powinny stanowić priorytetową i ofensywną ofertę, z której korzyść mógłby każdy mieszkaniec zainteresowany kulturą swojego regionu. Poza tym – warunkiem ożywienia życia literackiego jest to, by lokalni pisarze mieli w miarę pełny przegląd twórczości swoich kolegów po piórze. Jestem zdania, że personel księgarni „Klimczok” w Bielsku-Białej doskonale to zrozumiał i w miarę swoich skromnych możliwości podjął zadania, które *de facto* należą do innych.

Przy okazji odnotuję też inicjatywę Kolei Śląskich, które na dworcach, np. w Tychach, prowadzą wypożyczalnie książek dla podróżnych, oczekujących

na połączenia. Wartościowe inicjatywy pojawiają się w różnych miejscach. Nie tworzy to jeszcze żadnego systemu, ale już powinno być inspiracją dla władz samorządowych. Co z tego, że dominuje dziś kultura smartfonowa. Prawdziwa kultura wymaga książki. Tam się zaczyna i tam nas przetrwa.

**Po otrzymaniu artykułu od dra B. Łukaszewicza, nawiązaliśmy kontakt z kierowniczką księgarni „Klimczok” w Bielsku-Białej. Oto fragment maila z dodatkowymi informacjami:**

*Dzień dobry. Z przyjemnością informujemy redakcję „Śląska”, iż księgarnia „Klimczok” współpracuje od dawna z regionalnymi wydawnictwami oraz wspiera lokalnych twórców, zwłaszcza historyków, zajmujących się tematyką regionalną, oraz autorów powieści, których akcja rozgrywa się w Bielsku-Białej i okolicach. Utrzymujemy stały kontakt z Muzeum Historycznym w Bielsku-Białej, Wydziałem Kultury Urzędu Miasta, Książnicą Beskidzką, Akademią Techniczno-Humanistyczną i innymi instytucjami w regionie. Zaopatrujemy również Muzeum Śląskie i Muzeum Cieszyńskie oraz inne placówki na terenie Polski. Zawsze aktywnie zabiegamy o najnowsze publikacje i mamy nadzieję, że jesteśmy najlepiej zaopatrzoną księgarnią pod tym względem w Bielsku-Białej.*

*Beata Tomasik, ksiegarniaklimczok.pl*

# Rozjątrżanie pamięci

STANISŁAW GĘBALA

Co się dzieje z naszą zbiorową pamięcią? Kto i co w niej zapisuje, a co z niej wymazuje? I czy pamięć indywidualna jest zupełnie bezbronna wobec instytucjonalnej manipulacji i presji?

Dość... Przecież te i tym podobne pytania zadawałem (sobie i innym) przez całe życie zawodowe nauczyciela-polonisty, więc może wreszcie dać spokój – pod koniec ósmego roku emerytury? Rzecz w tym, iż owe pytania dotyczą ciągle toczącego się procesu a nie statycznej sytuacji – zatem odpowiedzi, nawet najtrafniejsze w danym momencie (historycznym), wymagają nieustannej aktualizacji.

Jak się ona dokonuje? Rozmaicie: raz szybciej, raz wolniej, rzetelniej lub mniej rzetelnie – w zależności od dynamiki czasu, w którym przyszło nam żyć. Moje pokolenie akurat może narzekać, że było nudno, gdyż kilkadziesiąt lat upłynęło nam w szarzyźnie PRL-u. „Czarna 45-letnia dziura i tyle” – jak sarkastycznie podsumował tę „aktualizację”, dokonaną na początku lat 90. ubiegłego wieku, Tadeusz Różewicz w *Kartotece rozrzuconej*.

Pamiętam swój dość gwałtowny odruch sprzeciwu, kiedy zamiast oczekiwanych prób rzetelnego opisu tej – niejednolitej przecież – „szarzyzny”, usłyszałem formułkę, która po prostu przekreślała zawartość mojej pamięci: „45 lat komunistycznego terroru”. No cóż, nie wszyscy oczekiwali rzetelności, a bardzo liczni w ogóle nie dopuszczali możliwości jakiegokolwiek oczekiwania, żądając natychmiast formułek krótkich i łatwo zapadających w pamięć – a przede wszystkim skutecznych politycznie, tzn. najdotkliwiej uderzających w przeciwnika.

A moja pamięć uparcie podsuwała jako replikę powiedzonko, które objażyło mi się o uszy przynajmniej od okresu studiów w pierwszej połowie lat 60.: „najweselszy barak w obozie”. Mogło się ono pojawić w obiegu, rzecz jasna, dopiero po październiku '56 – wcześniej w żadnym obozowym baraku nie mogło być wesoło.

Koncept opiera się na migotliwości znaczeniowej pojęcia „obóz”, które przede wszystkim wiązało się z polityczną nowomową tamtego czasu, dzielącą świat na dwa obozy – socjalistyczny oraz imperialistyczny. Towarzyszące mu słowo „barak” narzucało natomiast najbardziej zło-

wrogie skojarzenie obozu socjalistycznego z koncentracyjnym. Tłem dla tej gry wieloznacznością były reportaże prasowe i filmowe z obozów harcerskich i innych młodzieżowych, rozbrzmiewających wesołym śpiewem i śmiechem.

Oczywiście, wszystko to było obficie podlane sosem propagandowym, ale negowanie „odwilży” z połowy lat 50. przy pomocy formuły „45 lat komunistycznego terroru” jest prymitywnym fałszowaniem historii.

Kilka lat temu recenzowałem zbiór szkiców poświęconych twórczości Tadeusza Różewicza. Pewnie od młodej autorki dzieli mnie dystans dwóch pokoleń, dla-

tego nie oburzałem się szczególnie, że w jednym ze szkiców dotyczących października '56 przeczytałem, że jego „scenariusz” napisali funkcjonariusze UB. W recenzji próbowałem przekonywać do bardziej refleksyjnej oceny, uwzględniającej przełomowy – przynajmniej we wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej – charakter tamtych przemian. Darownie. Autorka powołała się na najnowsze publikacje historyków, które – jej zdaniem – rozstrzygają sprawę.

\*

Nie da się zaprzeczyć: przyszedł czas jednoznacznych i definitywnych stwierdzeń – *Roma locuta causa finita*. Aluzyjność, ironia i wieloznaczność, które przez dziesięciolecia podważały jedynie słuszną „ogólną teorię wszystkiego”, znów przegrały z „oczywistą oczywistością” racji władzy. Szkoda tylko, że z „oczywistej oczywistości” nie da się stworzyć nowego Bim-Bomu czy STS-u; na tym fundamentie można zbudować tylko amatorski teatr łopatologiczny i takiż film. Czy również literaturę? Pewnie tak, ale właściwie po co nam literatura – wyścig „paski” w programach informacyjnych (?) telewizji publicznej (???)? Zresztą można zawsze „wygugłować” odpowiedni cytat z wielkiej literatury. Ot choćby taki, jakby wprost wspierający „politykę historyczną” obecnej władzy: „Trzeba rozrywać rany polskie, żeby się nie zablizniły błoną podłości”.

To z dramatu *Sulkowski* Stefana Żeromskiego, ale z tym pisarzem należy postępować szczególnie ostrożnie, gdyż nie był zbyt konsekwentnym chwałcą polskości, którą postrzegał w całym jej społeczno-historycznym skomplikowaniu i na pewno – choćby jako autor *Popiołów* – nie podzielał przekonania, że „rany polskie” świadczą wyłącznie o naszej szlachetności.

A poza tym czy w ogóle da się żyć nieustannie rozrywając rany? Każdy taki bolesny zabieg zakłóca – niezbędny do normalnego życia – ozdrowieńczy proces zapominania. Na szczęście nasze zapewnienia, składane w dobrych czy złych intencjach, że „nigdy nie zapomnimy”, „zawsze będziemy pamiętać” są najczęściej gołosłowne. Wiem, że wdaję się tu w dość ryzykowne dywagacje, powodujące groźne zmarszczenie brwi moralnych fundamentalistów. Słowa „nigdy” i „zawsze” należą do ich ulubionych, ale mnie kojarzą się przede wszystkim ze sceną teatralną (w wąskim, a nie rozszerzonym przez Szekspira na cały świat, rozumieniu).

\*

Rzecz jasna, tę wiarę (że nigdy... i zawsze...) zawdzięczamy głównie romantyzmowi. A była to wiara tak mocna, że – niewzruszona – przetrwała blisko dwa wieki, zanim Wisława Szymborska pod koniec zeszłego stulecia odważyła się ją zakwestionować w zakończeniu tytułowego wiersza tomiku *Koniec i początek*: „Ci, co wiedzieli / o co tutaj szło, / muszą ustąpić miejsca tym, / co wiedzą mało. / I mniej niż mało. / I wreszcie tyle co nic. // W trawie, która porosła / przyczyny i skutki, / musi ktoś



Grafika: Bogna Skwara



sobie leżeć / z kłosem w zębach / i gapić się na chmury”.

Jako nauczyciel miałem możliwość obserwować przez kilka dziesięcioleci ten proces zapominania „o co tutaj szło”, o którym tak celnie i lapidarnie traktuje cytowany fragment. Najdłużej i najpowszechniej przetrwała – dzięki ogromnym wysiłkom wielu ludzi na całym świecie – pamięć o zagładzie Żydów. I to ona właśnie jest nieustannie rozjątrzana różnymi prowokacyjnymi wypowiedziami, godzącymi w ten najboleśniejszy punkt – bądź to poprzez kwestionowanie Holokaustu, bądź przez oskarżanie samych Żydów o współudział w nim.

Jest jeszcze jeden sposób, chyba najpodszy, rozjątrzenia pamięci: to wezwania do dokończenia zagłady, których najbardziej zwięzła forma sprowadza się do trzech słów – „Żydzi do gazu”.

\*

Szczególnie przejmująca dla mnie była niedawno lektura autobiograficznego tekstu dziennikarza Stanisława Skarżyńskiego *Ja, mieszaniec polsko-żydowski*, z podtytułem *Od stycznia 2018 roku nie cały jestem już w Polsce u siebie* („Gazeta Wyborcza” z 17-18 lutego). Czytając go, raz po raz słyszałem jakby echa *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego* Witolda Gombrowicza, z jego debiutanckiego tomu *Bakakaj*, który ukazał się w roku złowrogich zapowiedzi dla Europy i świata – 1933. Bohaterem *Pamiętnika...* był również „mieszaniec polsko-żydowski”, który zresztą określał siebie słowami tworzącymi podobną do tytułu tekstu Skarżyńskiego konstrukcję składniową: „ja, szczer bezbarwny, [...] ani biały ani czarny”. Oba bohaterów zbliżają także doświadczenia szkolne i nieświadomość przyczyn niechęci rówieśników, którą boleśnie odczuwali. Rzecz znamienita: obaj zapamiętali antysemitki wierszyki codziennie recytowane w szkole. Bohater Gombrowicza zapamiętał wyliczankę z zabaw na szkolnym podwórku: „Raz, dwa, trzy, wszystkie Żydy psy, a Polacy złote ptacy, a wychodzisz ty”.

Takie dziecięce rymowanki skutecznie odczłowieczały w wielu młodych umysłach naszych współobywateli Żydów. Jak skutecznie, pokazały lata wojny i pierwsze powojenne.

Stanisław Skarżyński, zupełnie nieświadom w dzieciństwie swego „mieszanego” pochodzenia, do szkoły poszedł już wprawdzie z tą świadomością, ale gruntowną edukację na temat społecznych konsekwencji „bycia Żydem” otrzymał dopiero od szkolnych kolegów, o czym tak pisze: „Z podstawówki kiedyś przystaręgam słowo ‘żydki’, rodzice zmyli mi wtedy głowę. W kolejnej szkole miałem kolegę, który wszędzie upychał sylabę ‘zyd’. Nie tylko pasjami oskarżał wszystkich o ‘zydzenie’ (sam był kutwą), ale jeszcze zamiast widelca był nieodmiennie ‘zydelec’. Widły – ‘zydły’. Rzodkiewka – ‘żydkiewka’. Szyderstwo – ‘zyderstwo’”.

Wspomnienia wart jest także drugi edukator – już z liceum: „Dziecko ze społecz-

negu marginesu, okrutnie pokaleczone przez życie. Fizycznie rozwinięty nad wiek, ale edukacyjnie niewydolny, intelektualnie mierny i psychicznie niestabilny. Dowiedziawszy się o moich żydowskich korzeniach, postanowił śpiewać mi raz za razem piosenkę: ‘Jaki piękny dzień masz / gdy Żyda do pieca pchasz / a z kominu unosi się dym’”.

Z przytoczonych cytatów łatwo można wyciągnąć wniosek, że antysemityzm jest chorobą, na którą zapadają głównie ludzie ze społecznego marginesu, w dodatku wykazujący wyraźne deficyty intelektualne. Oczywiście, autor niczego podobnego nie sugeruje, bo dla czytelnika powinno być rzeczą aż nazbyt jasną, że gdyby tak było, to prawdopodobnie nigdy nie doszłoby do Holokaustu, którego dokonanie wymagało ponadprzeciętnej sprawności

umysłowej, a nawet talentów organizacyjnych. Ta choroba powoduje natomiast głębokie spustoszenia w sferze emocjonalnej, w ludzkiej wrażliwości – mówiąc najprościej. I wiele wskazuje na to, że właśnie znowu przybiera rozmiary epidemii.

Jeszcze jeden fragment z artykułu Skarżyńskiego: „Adam Sandauer wychodzi z programu TVP ‘Studio Polska’, prowadzący nie reagują na antysemitki okrzyki publiczności. Przez prawicowe media przetacza się fala antysemitki publikacji. Pod Pałacem Prezydenckim narodowcy występują z hasłem: ‘Zdejmij jarzmę, podpisz ustawę’, a ich życzenie zostaje szybko spełnione”.

Pięćdziesiąt lat temu...

Nie, tego tematu już nie będę tu podejmował.



Grafika: Bogna Skwara

## JERZY SUCHANEK

### NA ŁAWECZCE

Na ławeczce w parku o poranku przysiadają się do siebie, prawiać sobie grzeczności i poprawiając samopoczucie, dwaj mężczyźni. Jeden drugiego przypomina, co niepokoi każdego nich. Robią więc zdjęcie, by znaleźć różnice, które są widoczne, niewidoczne oraz oczywiste jak oczy i okulary, zęby i uszy. Żeby tylko one! Przed nimi sadza sadzi na splechietku śniegu swoje kwiatuszki i literki, kaczkę z sadzawki kwaczą na taczki, które ogrodnik zaparkował przy brzegu i poszedł, pocziwina, na pocztę. Kim są ci dwaj? W obrazek wbija szpilkę pytania maszyna do szycia, unosząc igłę w oczekiwaniu na lepszy materiał. Nożycy też życzą prawdy, jak w szkolnej czytance. Rzeźnicy i rzecznicy ich nie znają. Nauczycielki oglądają seriale, ser, senniki i dotykają się przed snem. Murarz wierci się u dentysty, aż ten dowierci się węglowodorów. Tapicer i zegarmistrz jękają się, przeżywają się górnik i hutnik, a prawnik i specjalista od sprzedaży pojechali na wakacje. Kto tutaj ma rację? Inne zawody robią zwody, pływacy wyskakują z wody, od odymiania uli więdną ogrody. Czyżby? Nieprawda i prawda wyprawiają się do wprawy w mimetyzmie i w upraniu. Nie zapominać o mężczyznach w parku o poranku uprasza się tak, jak o nie plucie na posadzkę i średnią posadę. Co się tam dzieje? Jakie nadzieje ma, lub już tylko miał ogrodnik na poczcie? Pocziwina stał się poczmistrzów łupem. A jeden z mężczyzn na ławeczce, ten który zbierał znaczki, popija z piersiówki. Drugi je kanapkę z serem i selerem. Z końców ławeczki przysuwają się do środka. Słodka scena a cena tak niska! Między nimi przeciska się wątpliwość. Czy widzą tak samo kobietę kołyszącą wózkami i nieposłusznymi piersiami? Wie pan, mówi ten, który uważa się za pierwszego, jednego i jedyne, zaszczyli mnie zaszczytami, szczególnie. To było jak foliowy worek zamiast kapelusza, dusiłem się. Coś podobnego,

coś podobnego, drugi mężczyzna, nie przestając gryźć i żuć, wyraża niepokój. Mnie pocą się dłonie, dodaje. Lubię jeść bez popijania i bez ograniczeń. Brzuch mam to wkleśły, to wyduły. I co do mnie, to mnie zaszczylili zaszczyciem. Zupełnie najzimniej, bez uczucia. Marzyłem o nienawiści, wstręcie lub chociaż plwocinie. Nic. Ogląda pan telewizję? W prawym dolnym rogu ekranu na większości kanałów pełga szara plamka, ślad po mnie. Ach, pan ogląda od środka, dlatego wydał mi się pan starym znajomym, znaki kiedyś dawał mi pan przez szybę, szybkie jak drgawki anioła, którego powiesili nad panem. Co się stało, że pan tu przysiadł? Bez tej szyby oplutej w mieszkaniach? Jedyny mężczyzna stawia kołnierz i wciska głowę w kapelusz. Dusi się. Drugi mężczyzna brzytwą paznokcia rozcina mu folię między siniejącymi wargami. Wtedy przechodzi przed nimi rzeźnik z tasakiem, z którego kapie. Aż kaczkę podfruwają. Piersi kobiety pchającej kamień wózka uspokajają się jak zamrożone myszy. Szewc klnie w poniedziałek, bo fryzjerka nie chciała się umówić. Młodzież maszeruje z transparentem. Jedyny mężczyzna charczy jak dwusuw. Ich weiss nicht, ja nie ponimaju. Ogrodnik wraca z poczty, poczty sztandarowe czekają na salwę. Straż pożarna pożera mgłę ciszy, snującą się nad naszymi głowami. A mogłem go zabić. Zastrzelić, zadźgać. Kaczki wystawiają kupry do nieba, jak ci co lubią mordować. Drugi mężczyzna przeciska się między ciasnym kolumnami kalumnii i przez czas. Jak mróz maluje kwiaty na szybie, za którą się kotłują. Ogrodnik przysiadł na ławeczce. Między nimi, ale ich już nie ma, choć nie poszli. Kaczki kwaczą. Kobieta wraca się po rękawiczkę przez dziecko wyrzuconą z wózka. Ta leży bezradna bez paluszków. Taki poranek w parku na ławeczce przy stawie.

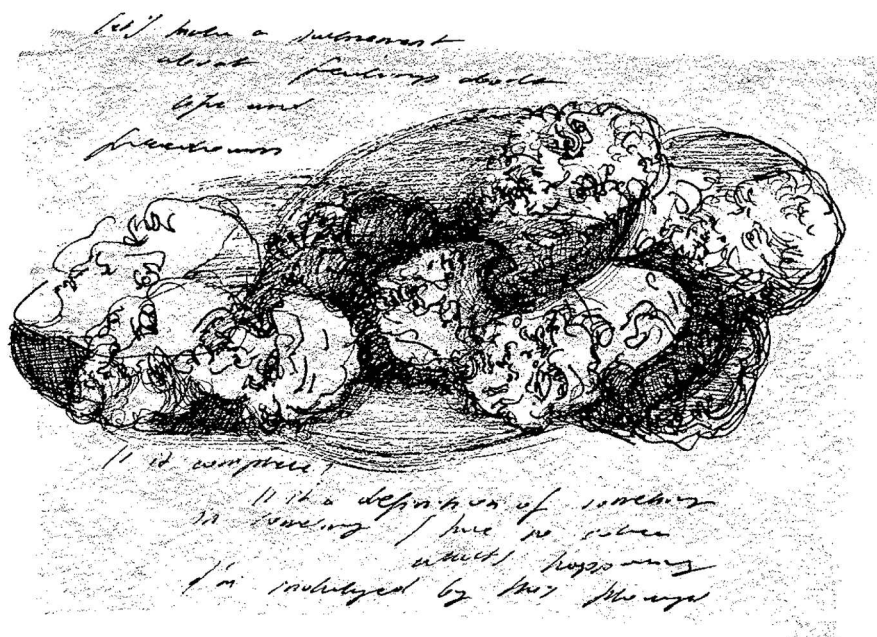
*Mikolów, w nocy z 17 na 18  
i w nocy z 18 na 19 lutego 2018 r.*

## SPACER

Idziemy przez mróz i las. Zwykły dzień, trochę słońca, trochę wiatru wierzbowych różg na policzki. Mało śniegu, w którym splątane bezładnie ślady butów, zwierząt i rowerów. Niedaleko przebiega wiewiórka. Chyba nie istniejemy dla niej, jest przyzwyczajona do chrzęstu śniegu i głośnych oddechów. Robimy zdjęcia drzewom umarłym nad ciepłym i leniwym kanałem. Woda wierci się, bo jest pusta w środku siebie. I kpi z mrozu, jak herbata z termosu. Pijemy ostrożnie, ale też łapczywie. Wracamy i spotykamy kobietę, chyba taką jak my, obrzucamy się nawzajem cichym „dzień dobry”, a dłuższą chwilę później lis i sarna znikają przed nami, jakby nas nie było. Później wyprzedza nas wysoki biegacz. W koronie drzewa w głębi dzieciół też nas nie zauważał. Wszędzie obojętność. Jakbyśmy pukali w lód na kałużach, jakbyśmy nie nieśli woreczka orzechów laskowych dla wiewiórki, kurczaka dla lisa, snopka

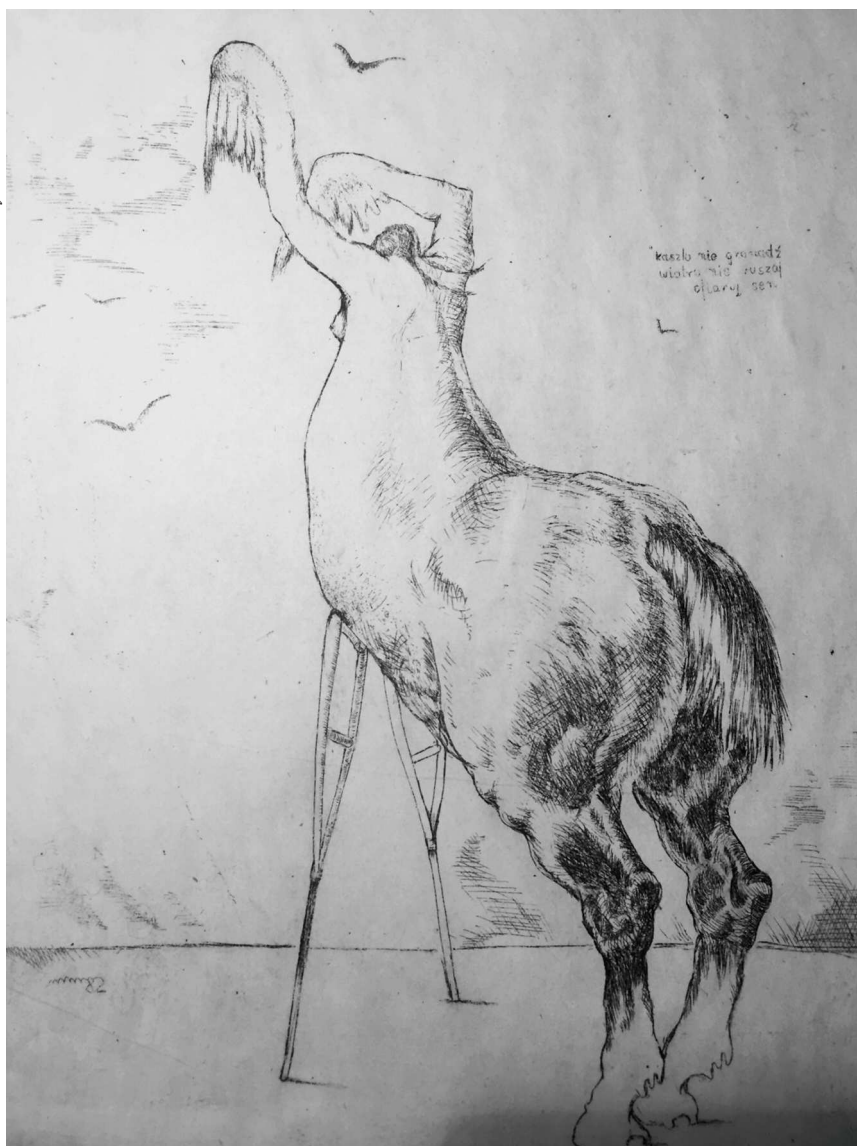
owsa dla sarny, listu dla kobiety i medalu dla biegacza. No tak, nie mieliśmy nic dla dziecięcia, ale on był za wysoko. Nie słyszeliśmy, aby myszy się z nas śmiały. Może dlatego, że myszy nie potrafią się śmiać, albo dlatego, że też ich nie obchodziliśmy. Chcieliśmy się przytulić, chcieliśmy pobyc z prawdziwym życiem. W lesie, w mrozie, w bólu. Wróciliśmy do domu. do gorącego rosołu, do firanek i szklaneczki alkoholu. Dotknęło nas. Jutro pójdziemy na obiad do knajpy i kelner będzie nas widział, w sklepie sprzedawczyni nie schowa się za ladą, a w banku będą wiwatować. Ale przecież my nie chcemy jeść, kupować, liczyć złotych sztabek, my, jeśli tak możemy o sobie mówić, chcemy się przytulić, poczuć się wami, a wy nami, przejść się przez siebie nawzajem na wskroś. No i co? W bławatnym sklepie kobieta z lasu kupuje zasłony zadrukowane Wenecją.

Mikołów, 2 marca 2018, wieczorem



Rys. Bogna Skwara

**Jerzy Suchanek** ur. 1953 r. w Bytomiu – poeta, prozaik i publicysta. Laureat Nagrody Artystycznej Miasta Sosnowca (2007). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał zbiory poetyckie: *Proszę rozejść się do domów* (1974), *49 wierszy* (1981), *Jestem nie tylko słowem* (1983), *Czytaj szeptem* (1991), *Bębny* (2007), *Pusto* (2007), *Widzimi się* (2008), *Ku* (2009), *Jutro przeczytaj jeszcze raz. Wiersze wybrane* (2010), *Folklor polski* (2011), *Fe* (2012) oraz cykl przypowieści *Ośle ziółka* (2008) i powieść *Płakula* (2009). W 2011 r. ukazała się książka *Dlaczego Suchanek? Spojrzenia i interpretacje* pod redakcją Mariana Kisiela (2011).



# Tożsamość i naśladownictwo w teorii kultury René Girarda

MARIA KORUSIEWICZ

*Energia jest przemoc, mechanizmem Sacrum,  
a społeczeństwo to system świętej przemocy.*

Robert Hammerton-Kelly

„PO Girardzie nie można już o cywilizacji zachodniej myśleć tak, jak dotychczas” pisał w roku 1992 Guy Sorman. To dość pompatyczne stwierdzenie niesie jednak z sobą ziarno prawdy. René Girard (1923-2015), francuski uczyony, który swoje prace pisał w zaciszu bogatych amerykańskich uniwersytetów, wprowadził w obręb myśli zachodniej tematy, których istnienie z reguły pomijano milczeniem, traktując je albo jako niezbyt istotne dla współczesnego świata, albo – dawno przebadane i złożone do naukowego lamusa. A jednak na przestrzeni lat, jakie upłynęły od publikacji najgłośniejszej książki Girarda, *Kozła ofiarnego* (1982), jego koncepcje, mimo ich kontrowersyjności i zarzutów redukcjonizmu, zadomowiły się w światowym dorobku humanistyki.

## Człowiek naśladowający

Owe wyznaczające naukową biografię Girarda tematy można ująć w trzech głównych punktach. Pierwszy to tzw. teoria mimetyczna wskazująca na naśladowczą naturę ludzkich pragnień i pożądań. Teza, że w naszych pragnieniach i wynikających z nich działaniach mamy tendencję naśladować pragnienia innych okazała się ostatecznie fundamentalna dla całości dorobku Girarda, dla wszystkich następnych kwestii, które poruszał. Wpisując się w główny nurt myśli zachodniej, w dużym stopniu czerpał inspirację z prac filozoficznych Hegla, z psychoanalizy Freuda, egzystencjalizmu Sartre'a, czy też z niemal zapomnianych przemyśleń Denisa de Roquemonta, poszukującego mimetycznej natury wzorców miłości w kulturze francuskiej i anglojęzycznej.

Zgodnie z teorią mimetyczną, człowiek, z natury swej „próżny” (franc. *vaniteux*), niewypełniony szczelnie swoim „ja”, niepewny go, zawsze otwarty na to, co przychodzi z zewnątrz, zapożycza swoje pragnienia od tych, których on lub jego wspólnota uważa za swoich modeli. Takie zachowania możemy obserwować niemal w każdej dziedzinie życia, dzisiaj chyba najbardziej bezpośrednio użytkuje je reklama, do nich odwołuje się każde kreowanie nowych potrzeb – chcemy tego, co mają inni. Pragnienia mimetyczne kształtują także znacznie poważniejsze sprawy: to one organizują formowanie się wspólnoty i jej kultury, dotykając nawet rzeczy pozornie tak indywidualnych jak miłość. Girard chętnie cytuje tu wielkiego znawcę psychiki ludzkiej, Williama Szekspira. Wystarczy przypomnieć sonet 42 w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego: „Kochasz ją, bo wiem wiesz, że ją miłuję” (ang. *Thou dost love her because thou know'st I love her*). Szekspir mówi tu językiem Girarda, albo raczej Girard uczy – siebie i swoich czytelników – jak mówić językiem Szekspira.

Ogromne znaczenie zachowań mimetycznych poparte zostało dowodami z zakresu biologii odwołującej się do funkcji tak zwanych neuronów lustrzanych, ale także psychologii i socjologii, co bardzo cieszyło francuskiego myśliciela. Materiałem



badawczym Girarda nie była jednak biologia, lecz przede wszystkim teksty kultury, mity pochodzące z różnych tradycji i epok, dzieła literackie, między innymi wielka powieść francuska, twórczość Cervantesa i Szekspira. W ostatnim okresie życia coraz bardziej jednak pochłaniały go mimetyczne aspekty wydarzeń i zjawisk zarówno historycznych, jak i tych, które stanowią palące dylematy współczesności, od niszczącej młodych ludzi anoreksji, po zagrożenia terroryzmu islamskiego i spustoszenie, jakie powoduje on w chrześcijańskich kulturach Zachodu. Ta ostatnia faza rozwoju jego badań, przez wielu krytyków określana jest mianem „apokaliptycznej”.

### Kozioł ofiarny

Punkt drugi to szeroko zakrojona analiza tzw. mechanizmu kozła ofiarnego, która przyniosła jej autorowi ogromną popularność, sięgającą daleko poza bastiony myśli ściśle naukowej. Społeczne zjawisko kozła ofiarnego służy ponownemu skonsolidowaniu członków wspólnoty w jedną całość w sytuacji kryzysu. Służy zahamowaniu społecznego rozprężenia i chaosu oraz przywróceniu spokoju poprzez spolaryzowanie wzajemnej przemocy i skierowanie jej w bezpieczny „nurt” – przeciwko jednej osobie lub grupie osób, widzianej jako zagrażająca wspólnocie Wróg. Jednomyślny akt przemocy jest więc zarazem aktem oczyszczenia. Ofiara, winna rzekomo wszystkich nieszczęść, skazana przez niebo i ziemię, ginie lub odchodzi, a razem z nią kończy się niewiść. Ludzie są w stanie rozpocząć od nowa, wierząc, że „zło” minęło.

Niemalże automatyczne pojawianie się tego typu sekwencji zdarzeń, ich powtarzalność, niezmiennosc głównych założeń potwierdzają, że mamy tu do czynienia ze sprawnym mechanizmem psychologicznym i społecznym, który uruchamiany jest w momentach zachwiania porządku społecznego, w czasach niepokoju, katastrof lub niedostatku. Co więcej, w kolektywnym jednomyślnym akcie, w którym wydają się uczestniczyć siły kosmiczne i który nakazują wyroki boskie, przemoc wchodzi w sferę archaicznego *sacrum*. Staje się świętą przemocą, a prześladowcy zaczynają widzieć siebie jako ramię bóstwa; w konsekwencji przemoc staje się koniecznością, rytuałem, czasem wręcz misją.

### Pismo Święte i archaiczna święta przemoc

Trzecim kluczowym elementem teorii René Girarda jest skonfrontowanie powyższych idei z przesłaniem świętych tekstów chrześcijaństwa, przede wszystkim Ewangelii i Starego Testamentu. Girard, nierzadko narażając się na głosy krytyki ze strony autorytetów Kościoła, w swojej antropologii teologicznej objaśnia nowatorstwo judeochrześcijańskiego monoteizmu w zakresie podejścia do ofiar i rytuałów ofiarniczych wspólnych większości

religii plemiennych. Potężnym środkiem kontrolowania przemocy w społecznościach, które nie rozpoznały mechanizmu kozła ofiarnego, a jednocześnie obcy jest im system prawa, jest właśnie sfera religijna – archaiczne *sacrum*, którego nadludzka moc i tajemnica nadaje przemocy rys obiektywności, cechy rytualne. Natomiast w Pismach Biblii, Bóg oskarżający Kaina o zabójstwo Abla („krew brata twego woła do mnie z ziemi”), Bóg nakazujący przerwanie błędnego koła zemsty przez nakaz przebaczenia, staje się przede wszystkim głosem ofiar. Według Girarda Biblia, nieustannie potwierdzając niewinność zabijanych, niewinność Baranka bez skazy, po raz pierwszy w pełni odsłania działanie mechanizmu kozła ofiarnego. „Lepiej jest dla was, żeby jeden człowiek umarł za lud, niż miałby zginąć cały naród”. Tak Kajfasz przypieczętował śmierć Jezusa w obliczu tłumu wołającego, by Go ukrzyżować.

Ewangelie, ujawniając ukryte tryby mechanizmu kozła ofiarnego, tym samym pozbawiają go mocy jednoczenia wspólnoty poprzez jednomyślną „świętą” przemoc, kończą epokę wiary w jego skuteczność. Z drugiej strony, trzeba tu dodać, że ta wiedza pozostawia człowieka sam na sam z wolnością – wolnością od oczyszczających wspólnotowych rytuałów – i w pewnym sensie wyzwala go również od potrzeby religii. Wszystkie ścieżki są więc otwarte; także te wiodące ku samozniszczeniu, coraz bardziej prawdopodobnemu w obliczu zagrożenia współczesnego świata od kryzysu ekologicznego poczynając, a na terroryzmie kończąc.

### Akceptowana przemoc jako źródło kultury?

Podstawą opisanych powyżej koncepcji – i jest to bezsprzecznie największy wkład Girarda w myśl zeszłego stulecia – jest pojęcie przemocy jako głównej energii napędzającej systemy społeczno-kulturowe niezależnie od ich złożoności, czy też zaawansowania cywilizacyjnego. Dotyczy to więc zarówno niewielkich społeczności plemiennych, jak i wielkich demokracji zachodnich, zarówno nieformalnych i formalnych grup rówieśniczych, które tworzą się chociażby w klasach szkolnych, jak i społeczności firm i instytucji, organizacji partyjnych i wielu innych. Przemoc, jak już pisałam, szczególnie przemoc kolektywną w jej monstrualności i ponadjednostkowym wymiarze, zwykliśmy jednak zawsze łączyć z archaicznym wymiarem religijności; tej wielowymiarowej, otwartej na dobro, ale także na najwyższe zło. To, co w krwawych rytuałach przeszłości przeraża i fascynuje dzisiejszego mieszkańca chrześcijańskich i post-chrześcijańskich krajów Zachodu, to właśnie owa powszechna akceptacja przemocy sakralnej. A przecież jej przerażające echo ciągle jeszcze pobrzmiewa w naszej współczesności, bo prymitywny żywioł przemocy – przypomina Girard – zawsze drzemie w społecznościach ludzkich.

Girard buduje w ten sposób teorię sakralnej przemocy, której podstawą są prawidło-

wości ludzkiej psychologii przejawiające się w formach i praktykach kultury. Można to jednak wyrazić jeszcze prościej. Jeden z krytyków teorii mimetycznej, Andrew McKenna pisze wprost: „*Sacrum* jest niczym innym jak imieniem, które nadajemy ludzkiej przemocy, by ukryć jej ludzką naturę i przesłonić jej działania. Sakralizujemy ją, by wygnać ją spomiędzy nas. Nie rozpoznajemy jej imienia, ponieważ przesłonił ją imionami Boga, natury, historii, prawa lub prawdy”.

Ścieżki owej przemocy, którą autor nazywa kulturotwórczą, są złożone, nieodmiennie jednak wiodą przez samo serce tych relacji międzyludzkich, które naznaczone są pragnieniem mimetycznym. Szczególnie konfliktogenne są przejawy mimetyczności przywłaszczania, czyli – mówiąc językiem Dekalogu – pożądania wszelkiej rzeczy, którą posiada nasz bliźni, nie tylko jego żony, samochodu, domu czy jego pozycji społecznej, ale wręcz tego, kim po prostu jest. Mimo jej powszechności, *mimesis* przywłaszczania pozostaje, jak mówi Girard, pośród „rzeczy ukrytych od założenia świata”, porusza się tuż pod powierzchnią naszej świadomości, nierozpoznawana i tym bardziej niebezpieczna.

### Dobra i „zła” przemoc

Spójrzmy więc na rywalizację mimetyczną w kilku jej podstawowych odsłonach: pozytywną, czyli strukturotwórczą i konfliktogenną, rozwiązywaną albo za pomocą mechanizmu kozła ofiarnego, albo nierozwiązywalną, tworzącą długotrwałe napięcia społeczne.

Rywalizacja mimetyczna z reguły ma pozytywne konsekwencje: wykorzystujemy ją w edukacji, to ona motywuje ambicje zawodowe, zachęcamy do niej także w życiu duchowym mówiąc o *imitatio Christi*, naśladowaniu Chrystusa. Jednak ten pozytywny charakter pragnień mimetycznych wymaga określonego kontekstu, jakim jest stabilny i akceptowany ład społeczny gwarantowany przez dobrze funkcjonujące instytucje, ale także przez zabezpieczenie podstawowych potrzeb członków społeczności. Jeśli któregoś z tych czynników zabraknie, społeczność nieuchronnie wkrocza w stadium kryzysu, który prowadzi do zatarcia różnic, jakie jej członkowie pracowali budując wspólny ład. Dochodzi do podważenia istniejących w społeczeństwie hierarchii, które umożliwiały unikanie otwartych konfliktów między grupami i jednostkami. Można powiedzieć, że chaos, jaki niesie z sobą każdy kryzys staje się punktem wyjściowym dla „nowej normy”, która umożliwia rywalizacji mimetycznej wkroczenie w fazę mniej lub bardziej otwartej przemocy, która nie uznaje już żadnych autorytetów. W tej sytuacji przemoc zrównuje się z władzą, a sama władza staje się, jak zawsze, narzędziem legitymizacji własnej przemocy.

Z drugiej strony, zdegradowanie instytucji i podważenie obiektywności prawd sprzyja spontanicznej symetryzacji przemo-

cy narastającej pomiędzy jednostkami i frakcjami wewnątrz dotkniętej kryzysem społeczności. Kiedy porządek upada, gubią się też reguły działania i pojawia się „zła” wzajemność, która, jak śmiertelna choroba, „zaraża” coraz szersze kręgi osób. To powszechne skłócenie wszystkich ze wszystkimi zagraża bytowi społeczności i takie przypadki odnotowuje zarówno historia jak i socjologia. Eskalacja wzajemnych oskarżeń, pomówień i aktów przemocy – jeśli nie jej nie powstrzyma – prowadzi do „śmierci” wspólnoty jako takiej.

Najprostsze wyjście z tej sytuacji wydaje się paradoksem. Ten postępujący rozpad struktur społecznych – wobec upadku autorytetu prawa – okiełznać może jedynie przemoc i to przemoc ściśle ukierunkowana, która pochłonie nieliczne ofiary, reszcie przywracając szanse na odtworzenie wspólnotowych więzi. I w tym momencie mówimy już o wyciszeniu „złej” wzajemności poprzez zaanonsowany powyżej mechanizm kozła ofiarnego. Ta „szansa” na jednomyślną przemoc skierowaną przeciwko wytypowanej ofierze jest znów wynikiem naśladownictwa postaw, poglądów i działań – jest manifestacją mimetyczności. Dzięki niej możliwe jest przejście od stanu wojny wszystkich ze wszystkimi do stanu „wszyscy przeciwko jednemu”. To ona pozwala się zjednoczyć, a nawet odtworzyć strukturę społeczną dotkniętej kryzysem grupy – poprzez kolektywne akty nienawiści. To scenariusz dobrze wszystkim znany, obecny w każdej epoce i miejscu i najbardziej zrozumiały. Przynależą tu polowania na czarownice, średniowieczne pogromy Żydów odpowiedzialnych, w pojęciu im współczesnych, za epidemie i nieurodzaje, współczesne zbrodnie holokaustu, prześladowania mające miejsce podczas rewolucji i zamieszek, akty gwałtu lub lincze popełnione przez rozwścieżone masy, ale także przemoc symboliczna, którą znamy z języka pogardy, języka odrzucenia, symbolicznego usuwania poza nawias. Najbardziej oczywistym przykładem jest jednak sytuacja, kiedy ludzie poszukując „kozłów ofiarnych” spontanicznie gromadzą się w tłum.

### Psychologia tłumy

Psychologia tłumy różni się od psychologii jednostki, a także od psychologii zorganizowanej, inaczej mówiąc zhierarchizowanej grupy ludzkiej. Tłum, w potocznym rozumieniu odbierany jest jako jeden organizm, ponieważ jednostki, które go tworzą, w sytuacji kryzysowej rezygnują ze swojej indywidualnej samoświadomości, kierując swoją uwagę ku czynnikom zewnętrznym i ulegając ich wpływowi. Pojawia się przemożny pęd do imitowania zachowania grupy „dominującej” w tłumie, która szybko narzuca swój kierunek reszcie. Tożsamość jednostkowa zastaje zastąpiona przez tożsamość grupową. Nie jest to bynajmniej utrata tożsamości, ale jej zmiana, co oznacza, że działania tłumy będą w dalszym ciągu odznaczały się celowością i planowością, mimo iż później, kiedy wytypowane ofia-

ry już spotka ich los, a emocje opadną, poszczególne osoby mogą uznać swoje własne czyny za niezrozumiałe, irracjonalne.

Co jednak stanie się, jeśli to proste rozwiązanie nie jest łatwo dostępne, ponieważ rywalizacja mimetyczna rozgrywa się pomiędzy dwoma większymi grupami, z których żadna nie ma wyraźnej przewagi?

### Pat sił przemocy. Kryzysowa tożsamość grupy społecznej

W poszukiwaniu odpowiedzi warto przyrzeć się kwestiom mniej lub bardziej świadomego konstruowania tożsamości, w tym wypadku tożsamości zbiorowej, adoptowanej na zasadzie mimetyczności przez członków grupy. Kwestia tożsamości, choć nie wspomniana przez Girarda, leży niemal u podstaw mechanizmów społecznych, które opisuje francuski myśliciel. Dotyczy zarówno zachowań naśladowczych, które pozwalają budować zbiorową tożsamość wspólnoty, jak i sposobu funkcjonowania mechanizmu kozła ofiarnego, który jest prostą konsekwencją ustanowienia różnicy pomiędzy wspólnotą, a tymi, których wybierze ona do tej roli. Tak zwane „znaki ofiarne” definiowane przez Girarda jako cechy predestynujące daną osobę lub grupę społeczną do roli ofiary, wynikają przede wszystkim z negatywnej oceny jej tożsamości.

Pojęcie tożsamości zrobiło w ostatnich dekadach ogromną karierę. Mówimy o tożsamościach tradycyjnych, nowoczesnych i ponowoczesnych, szukamy wyznaczników współczesnego nomadyzmu, czy też tożsamości hybrydowych, rozważamy możliwości tożsamości globalnej, otwartej szeroko na świat. Mimo to, w sytuacjach kryzysu politycznego lub społecznego, w sytuacjach opisywanej powyżej nierozwiązywalnej rywalizacji mimetycznej ludzie zwracają się ku wyrazistej wizji tożsamości para-tradycyjnej, utwardzonej, którą kiedyś Zbyszko Melosik i Tomasz Szkuclarek określili mianem „brzytwy”. Jest to tożsamość skonsolidowana, odrzucająca wszelkie miejsca nieodkryte, niedookreślone we własnym obrazie i nastawiona negatywnie do swego wnętrza; w konsekwencji jej podstawowym narzędziem jest przemoc we wszystkich dostępnych w danym czasie formach.

Tego typu tożsamość czasu kryzysu jest zawsze pochodną Różnicy, która pozwala na wyznaczenie trudno przekraczalnych granic pomiędzy nami, a tym, co Inne. To właśnie różnica, wyprowadzana z elementów najprostszych – może to być kolor skóry, religia, preferencje obyczajowe lub polityczne, język, czy nawet miejsce zamieszkania – jest kulturowana, propagowana i utwardzana na wszystkich możliwych frontach. W ten sposób odrębna tożsamość staje się „brocią i orężem” grupy. Służy nie tylko atakom na zewnętrzny świat jej przeciwników, ale także obronie jej interesów, pozwala na szybkie i sprawne identyfikowanie „swoich” i „innych”. Jej konstruktorzy chętnie sięgają do zbiorowej pamięci, uwydatniają lub zawłaszczają tradycje i symbole, wchodzą

w szeroko rozumianą dziedzinę wiary, co pozwala na formułowanie prawd niepodważalnych, do których „inni” nie mają dostępu.

Przykłady, znów, można mnożyć, więc przypomnę przynajmniej jeden. Chyba najdawniejszym, kluczowym dla późniejszej tradycji judeochrześcijańskiej momentem zastosowania obronnych właściwości tego typu tożsamości były reformy żydowskiego kapłana i uczonego w Piśmie, Ezdrasza, okres niewoli babilońskiej po 586 p.n.e. Nauczyciel wygananego narodu musiał mieć świadomość faktu, iż historia nie odnotowuje przypadków przetrwania jakiegokolwiek grupy mniejszościowej niewyodrębnionej terytorialnie lub niechronionej przez żarliwą wiarę, kreującą odrębny sposób życia i doskonale zauważalną, odrębną tożsamość jej członków. Mimo zadziwiającej skuteczności takiego „ognistego muru”, który potrafił chronić określoną tożsamość – jak w przypadku narodu żydowskiego – przez tysiąclecia, koszty takiego samonaznaczenia innością były i nadal są wysokie i to najczęściej po obu stronach ustanawiającej Różnicy.

### Wyścig przemocy w społecznościach koalicyjnych

Wróćmy jednak do opisywanej powyżej sytuacji nierozwiązywalnej rywalizacji mimetycznej. Skonfliktowane grupy wyposażone w symetryczne, choć odrębne, „twarde” tożsamości stają się koalicjami, na zasadzie lustra imitującymi swoje zachowania, co jeszcze bardziej nasila ich konsolidację. Proces ten opisuje szybko rozwijająca się psychologia koalicji, której czołowym przedstawicielem jest Pascal Boyer. Według niego zachowania koalicyjne, mające na celu wypracowanie mechanizmów wspomagających i organizujących więzi wewnątrz grupy obliczone są także na zwiększenie szans koalicji w rywalizacjach z grupą rywalizującą: może to być partia polityczna, klika w korporacji, gang uliczny, nieformalna grupa przyjaciół, ale także grupa etniczna, wyznaniowa, czy też legitymująca się emblematami nacjonalistycznymi. Pośród tych mechanizmów istotne są zachowania dyskryminujące, przede wszystkim kreowanie i propagowanie negatywnych stereotypów określających przeciwnika, które z reguły są odwróconym obrazem cech przypisywanych własnej koalicji. Ostatecznie, efektem działań konsolidujących staje się wypracowanie własnej mitologii, własnej narracji, która nie tylko legitymizuje tożsamość i wypływające z niej roszczenia, ale także uzasadnia propagowaną nierówność pomiędzy rywalizującymi koalicjami.

W rezultacie, obie strony obwarowują się murem uprzedzeń i wrogości. Po obu stronach mogą się pojawiać tendencje do demonizowania, odczłowieczania przeciwnika, a wewnętrzne lęki rzutowane są na jego obraz. Lęk – o czym mówi istotna dla koalicji teoria wykrywania zagrożeń – wynika także z trudności identyfikowania „swoich” i „obcych”, co wymusza kolejne kroki. Po pierwsze – rozszerzenie



i uściślenie własnej symboliki przynależności, stąd hasła, tatuaże, flagi, obowiązujący wygląd i sposoby działania. Aby poczuć się bezpiecznie musimy być wszyscy „tacy sami”. Po drugie – niesłuchanie ważna jest rytmizacja czasu zrytualizowanego koniecznego do utrwalenia zarówno tożsamości, jak przyjętej mitologii koalicji. Rytm to narzędzie rytualizacji, z powodzeniem zastępuje więc wszelkie inne uzasadnienia. Powtarzalność takich samych wydarzeń, spotkań, manifestacji, a nawet powtarzalność słów i gestów buduje most między pamięcią i przyszłością. Koalicja czuje się silna siłą pokoleń, a proste zasady mimetyzmu zabezpieczają poczucie przynależności u jej członków.

Jednakże, mimo tych wszystkich zabezpieczeń, rywalizacja mimetyczna pomiędzy dwoma dużymi grupami, ze względu na ich wzajemnie blokujące się siły, okazuje się trudna do rozwiązania standardowymi metodami odwołującymi się do otwartej przemocy, czy też mechanizmu kozła ofiarnego. Pozostaje więc napięcie, prowadzące do obniżenia poczucia bezpieczeństwa w obydwóch grupach, pojawia się tak zwany „koalicyjny stres”, wpływając na samopoczucie członków koalicji. W momencie, kiedy niepewność i związany z nią dyskomfort przewyższy pozytywne skutki przynależności do koalicji, ludzie zaczynają podejmować indywidualne decyzje. Jedną z nich jest z reguły porzucenie koalicyjnej tożsamości „brzytwy”, mimo zachowania wielu z jej elementów na użytek prywatny. Inną jest przegrupowanie, wejście w nowe związki, nowe koalicje.

### Systemy polityczne w sytuacji wojny „do końca”

Na zakończenie, warto jeszcze wspomnieć o ponadnarodowym sposobie funkcjonowania rywalizacji mimetycznej. Na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat wypracowaliśmy w ramach kultury chrześcijańskiej sprawne systemy prawne, jednakże ich funkcja kończy się tam, gdzie zaczyna się strefa liminalna – nieskodyfikowana przestrzeń pomiędzy narodami, kulturami, czy wreszcie cywilizacjami. W tej przestrzeni, tam, gdzie polityka bezpośrednio przechodzi w formy wojny, pojawia się realne zagrożenie walki „do końca”. Girard podejmuje ten trudny temat w jednej ze swoich ostatnich prac, zatytułowanej *Achever Clausewitz (Czytając Clausewita)*, której angielski tytuł to właśnie *Battling to the End (Walcząc do końca)*. Odwołanie się do Carla von Clausewita nie jest przypadkowe. Pruski teoretyk wojny i wojskowości, uczestnik bitwy pod Waterloo, dyrektor Akademii Wojskowej w Berlinie, autor traktatu *O wojnie*, przedstawił teorię geometrii wojny, a konkretnie „cudownego” trójkąta, który wojnę organizuje. Jego pierwsze ramię to spontaniczny żywioł przemocy i nienawiści, drugie – to losowa gra możliwości i prawdopodobieństwa, wreszcie trzecie, to ograniczający pierwotną przemoc element subordynacji i posłuszeństwa, instrument



Rys. Maria Korusiewicz

polityczny, który działa wyłącznie w oparciu o logikę i racjonalność.

Gdyby jednak element pierwszy, czyli „prymitywna” przemoc, nie była kontrolowana przez siły i interesy polityki i ekonomii, eskalowałyby do momentu całkowitej destrukcji wszystkich stron konfliktu. Przykłady takiego biegu wydarzeń są liczne, od mało znanych lokalnych waśni wewnątrz plemion dżungli amazońskiej, poprzez sławne zemsty rodowe w amerykańskich Appalachach, ofiarne, niemalże rytualne wyniszczanie wroga podczas I wojny światowej, czy też w trakcie amerykańskiej Wojny Secesyjnej, aż po nie tak dawne konflikty etniczno-religijne w Bośni i Serbii oraz krwawe żniwa w Rwandzie.

### Epoki von Clausewita?

Claus von Clausewitz, obiektywnie i logicznie myślący świadek przełomowego momentu w historii wojskowości, a konkretnie, narodzin nowego typu wojny, którą nazwał wojną absolutną, podpowiada Girardowi to, czego on sam, jako humanista nie byłby w stanie rzeczowo uzasadnić. Jest więc dla niego „świeckim teoretykiem apokalipsy” demistyfikującym zasady wojny nowoczesnej, tej, którą w wielu przejawach obserwujemy w dzi-

szych realiach politycznych. Ta demistyfikacja, zaskakująco zbiedzna z obsesją Girarda na punkcie naśladownictwa, jako punkt wyjściowy wskazuje mimetyczne wahadło przemocy, które wojna – widziana jako „pojedynek” potężnych sił – nieubłaganie puszcza w ruch.

Jeśli spojrzeć całościowo na rozległy dorobek Girarda nie sposób nie dostrzec jego dydaktycznego wydziewięku, głębokiego zatroskania kierunkami rozwoju naszych społeczności. Autor *Walcząc do końca* potrzebę takiego spojrzenia na współczesność motywuje tym, iż ani chrześcijańskie objawienie, ani odsłonięcie mechanizmów przemocy nie zmieniło naszych działań, podobnie jak nie posłuchaliśmy ostrzeżeń historii wieku XX, głosu milionów ofiar, jak nie przeciwdziałamy dewastacji naszej planety. W tym apokaliptycznym kontekście wcześniejsze koncepcje Girarda, mimo ich kontrowersyjnego charakteru, uzyskują dodatkowy wymiar: popartą faktami aktualność.

**Dr hab. Maria Korusiewicz**, Dyrektor Instytutu Neofilologii Akademii Techniczno-Humanistycznej (Bielsko-Biała) jest teoretykiem kultury, literaturoznawcą, poetką, graficzką, anglistką oraz nauczycielem akademickim.

# Konfrontacje tożsamościowe Górnoszlązaków

JUSTYNA KIJONKA

## Tożsamość Górnoszlązaków jako problem (nie tylko) socjologiczny

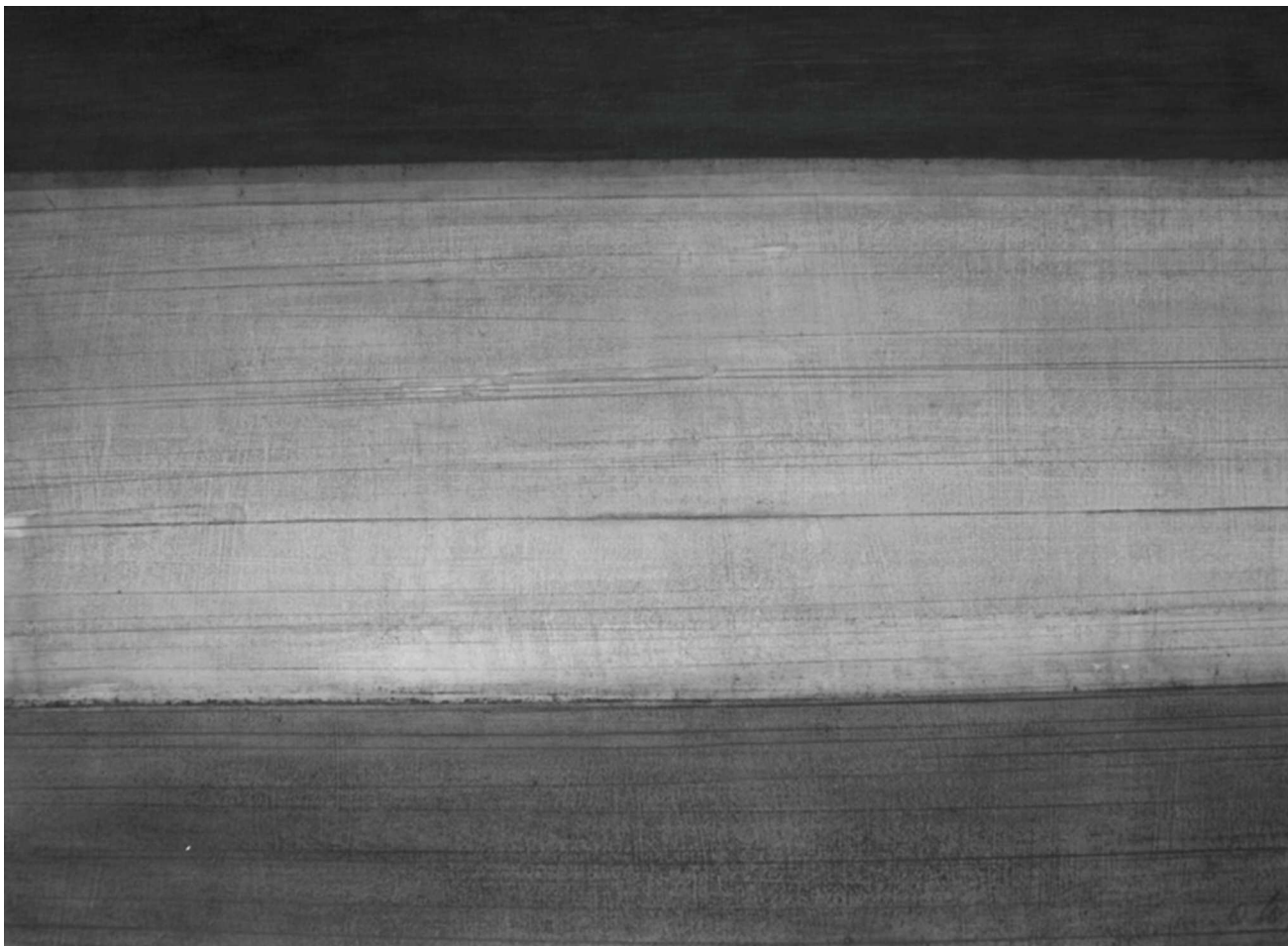
To, co czyni z zagadnień związanych z identyfikacją narodową i etniczną mieszkańców Górnego Śląska temat wciąż żywy, budzący wiele emocji, tym samym inspirujący dla kolejnych pokoleń badaczy zajmujących się tą tematyką wynika przede wszystkim z położenia geograficznego regionu. Teza z pozoru oczywista. Ale ten „narożnikowy” charakter regionu – by odnieść się do klasycznej rozprawy Emila Szramka – sprawia, że konfrontacje tożsamościowe są wręcz nieuniknione. Bowiem jak pisał autor *Śląska jako problemu socjologicznego* owe „geograficzne narożniki” skazane są na to, że się „o nie zawadza i w nie uderza”, co zaś powoduje bądź to zmianę położenia w sensie dosłownym – politycznym i państwowym, bądź wytworzenie energii, czy ruchu mogącego mieć działanie także wewnętrzne i to zarówno budujące jak i destrukcyjne. Konsekwencje tych wielowiekowych uderzeń w Śląski narożnik sprawiają, że region ten jest fascynujący pod względem kulturowym, ale przede wszystkim z powodu zmiennej przynależności państwowej, które widoczne są zwłaszcza w sferze tożsamości Górnoszlązaków. Tym samym podejmując problem współczesnych górnoszląskich tożsamości trzeba przyjąć perspektywę długiego trwania, osadzić te zagadnienia w szerszym kontekście historycznym i społecznym. Nie sposób bowiem mówić o współczesnych konfrontacjach tożsamościowych Górnoszlązaków pomijając w tym przypadku przeszłość, która odegrała istotną rolę w kształtowaniu się identyfikacji narodowej i etnicznej mieszkańców tego regionu. W tym kontekście warto sięgnąć do klasycznych już, so-

cjologicznych studiów choćby z okresu międzywojnia, by zobaczyć jak owe konfrontacje przebiegały w czasie jednych z najbardziej dramatycznych „uderzeń” wielkiej polityki i historii w „górnoszląski narożnik” w minionym wieku. Obraz społeczeństwa, stosunków społecznych, który wylania się z prac, takich jak *Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia” na Górnym Śląsku* Józefa Chałasińskiego czy *O badaniu socjologicznym Śląska* Pawła Rybickiego, a także z komentarza Jana Szczepańskiego do badań nad życiorysami Ślązaków (materiał przesłany na konkurs niestety zaginął w czasie II wojny światowej) pokazuje skomplikowane relacje społeczne i konfrontacje tożsamościowe nakładające się na problemy natury ekonomicznej oraz tej związanej z klasami społecznymi. Dalekie echa tych konfrontacji pobrzmiwają i dzisiaj, choć Górny Śląsk po 1945 roku przeszedł ogromne przeobrażenia społeczne, a liczne grupy uległy marginalizacji lub zniknęły na zawsze z górnoszląskiego pejzażu społecznego.

Kwestie związane z wyborami narodowościowymi mieszkańców Górnego Śląska i ich poczucie przynależności etnicznej nabrały nowego znaczenia po przełomie 1989 roku, który wyznacza czas przemian nie tylko politycznych czy gospodarczych, ale przede wszystkim tych o charakterze tożsamościowym. To także moment powstania organizacji regionalnych – takich jak Związek Górnoszląski, Ruch Autonomii Śląska, organizacji mniejszości niemieckiej, które odegrały niebagatelną rolę w rewitalizacji śląskiej tożsamości. Do tego dochodzi szereg inicjatyw o charakterze kulturalnym i artystycznym mających na celu promocję kultury regionalnej i śląskiej mowy.

To moment przełomowy, moment, w którym dochodzi przede wszystkim do konfrontacji – nieraz bardzo ostrych – różnych stanowisk, odmiennych wizji Górnego Śląska, sposobów odczytywania jego tradycji kulturowej, politycznej, niejednorodnej ocenie wydarzeń i postaci historycznych. Ścierają się także różne wspólnoty pamięci. To również czas, gdy następuje swoisty „wybuch” wszelkich inicjatyw o charakterze tożsamościowej manifestacji, także tych politycznych. Wydarzenia lat 90. ze szczególnym uwzględnieniem starań o rejestrację Związku Ludności Narodowości Śląskiej znajdują swoje odzwierciedlenie w wynikach spisu powszechnego z 2002 roku, kiedy to ponad 173 000 osób zadeklarowało narodowość śląską i w 2011, gdy narodowość śląską zadeklarowało 846 700 w tym jako pierwszą 435 800, jako drugą 411 000 i 375 600 jako jedyną. Wyniki zwłaszcza pierwszego ze spisów spowodowały swoisty „szok” medialny, mimo iż należało się spodziewać znacznej liczby osób deklarujących przede wszystkim „ślaskość”, skoro w badaniach socjologicznych z lat 90. pojawiała się grupa raz większa raz mniejsza określająca się jako „Ślązacy” lub „Ślązacy-Polacy”, czy „Ślązacy-Niemcy”.

W rozważaniach – nie tylko o charakterze naukowym – nad Górnym Śląskiem i jego problemami społecznymi, kwestiami kulturowymi i politycznymi termin tożsamość pojawia się nader często. Obecnie nie wymaga on praktycznie definiowania, bowiem nabrał znamion oczywistości zarówno dla tych, którzy nim się posługują, jak i dla tych, do których dane przekazy są adresowane. Nagromadzony materiał refleksji naukowej i publikacji prasowych poświęconych tożsamości narodowej i etnicznej Górnoszlązaków jest niezwykle interesujący poprzez swą interdyscyplinarność i wielowątkowość. Po latach, wciąż jest to temat żywy, budzący nierzadko ogromne emocje, o czym świadczą prowadzone na łamach prasy regionalnej i na forach internetowych oraz w mediach społecznościowych polemiki, także z literaturą naukową i prowadzonymi badaniami. To prawdziwy fenomen tego właśnie regionu. I mimo upływu lat często w refleksji nad górnoszląskością przywoływanych jest kilka ważnych stwierdzeń, które padły we wspomnianej już rozprawie Emila Szramka, bo choć od wydania tej pracy minęło już ponad osiemdziesiąt lat, użyta przez Szramka metafora opisująca niejednorodną pod względem narodowym i etnicznym śląską tożsamość nadal nie straciła na aktualności, ale – o czym na-



Rys. Bogdan Topor

Landscape

leży pamiętać – nieco zmieniła swój charakter. To metaforyczne przedstawienie przez Szramka oblicza narodowego Górnoszlazaków – jako kamieni granicznych, czy gruszy rosnących przy miedzy i rodzących owoce na obie strony jest wciąż nośne i inspirowane do badań nad problematyką tożsamościową regionu kolejne generacje socjologów, a także przedstawicieli innych nauk. Metafora gruszy jest także szczególnie wyrazista, gdy wziąć pod uwagę Górnoszlazaków mieszkających w swoim macierzystym regionie oraz tych wszystkich, którzy w różnych falach wyjazdów – zwłaszcza po 1945 roku – znaleźli się w Niemczech. Nie można w tym miejscu nie wspomnieć o dramatycznych sytuacjach, gdy podziały narodowościowe zwłaszcza w trakcie plebiscytu w 1920 roku, trwale podzieliły rodziny. Tym samym metafora gruszy użyta przez Emila Szramka staje się jeszcze wyrazistsza pokazująca całą złożoność górnoszlazkiej tożsamości.

### Górnoszlazkie exodusy

**P**ytanie dotyczące własnej tożsamości zadawali i zadają sobie za-

równo ci, którzy pozostali na Śląsku, jak i ci spośród Górnoszlazaków, którzy zdecydowali się na wyjazd do Niemiec. Zmagania z własną tożsamością i pochodzeniem zwłaszcza tej drugiej grupy są szczególnie interesujące dla socjologa. To grupa Górnoszlazaków, która nadal nie doczekała się polskiej monografii. Także samo przeprowadzenie badań nie jest łatwe – nawet mimo dłuższego pobytu na niemieckiej uczelni w ramach grantu – co wiem z własnego doświadczenia. Ale wysiłek rekompensowany jest przez zebrany materiał, bo przecież od roku 1970, a więc po podpisaniu układu normalizacyjnego między PRL a RFN do 1989 roku i tylko do Niemiec na podstawie dokumentów stwierdzających niemieckie pochodzenie wyjechało blisko milion obywateli polskich, głównie z Górnego Śląska. W latach 1970-1979 wyjechało z Polski do Niemiec Zachodnich 202 711 osób, zaś między 1980 a 1989 rokiem 632 800. Rok 1989 był pod tym względem rekordowy – 250 340 osób. W 1990 liczba ta spadła do 133 872 osób. To ogromny odpływ ludności, a przecież należy wziąć pod uwagę inne kierunki emigracji, w tym zamorskie, a także inne sposoby legalizacji

pobytu w Niemczech. Pamiętać należy także o tych wszystkich, którzy znaleźli się w Niemczech między 1945 a 1970 rokiem. W tym samym czasie na te tereny przybyli zarówno repatrianci jak i wielu mieszkańców innych regionów zachęconych możliwością pracy w przemyśle. Te procesy zmieniły oblicze demograficzne i kulturowe Górnego Śląska.

O skali wyjazdów świadczą nie tylko statystyki, bo same liczby, choć wymowne nie oddają w pełni konsekwencji tych fal emigracyjnych dla życia rodzinnego Górnoszlazaków i ich poczucia tożsamości. Badania sprzed prawie dekady w ramach projektu „Śląsk w Europie – ja Ślązak, ja Polak, ja Europejczyk” (w którym wraz z Adamem Bartoszkim i Tomaszem Nawrockim miałam zaszczyt brać udział) na reprezentatywnej próbie młodzieży szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych województwa śląskiego uświadomiły, że 12,8% młodzieży ma w Niemczech członków najbliższej rodziny. Dalszych krewnych – 56,7% badanych. Aż 40,7% badanej młodzieży ma tam znajomych, z którymi utrzymuje kontakty. Spora część z tych osób wyjechała do Niemiec zapewne po 1970 roku wykorzy-

stując odziedziczone po przodkach „niemieckie pochodzenie”. Znamiennym jest, że większość tych odpowiedzi pochodziła ze szkół znajdujących się w powiatach górnośląskich województwa. Ponadto prawie połowa (46,6%) badanych określających się jako „Polacy” ma dalszą rodzinę w Niemczech, natomiast w przypadku deklarujących się jako „Polacy – Ślązacy” jest to już 63,1%, z deklarujących się jako „Ślązacy” ponad 80% ma dalszych krewnych w Niemczech. W przypadku określających się jako „Niemcy – Ślązacy” oraz „Niemcy” jest to już ponad 90%. Te dane mówią same za siebie. A więc konfrontacje tożsamościowe występują i dziś w obrębie rodzin górnośląskich, bowiem młodzi ludzie konfrontują się podczas spotkań rodzinnych ze swoimi rówieśnikami, należącymi do drugiej, a nawet trzeciej generacji migrantów w Niemczech.

W tym kontekście wyjazdy Górnoślązaków do Niemiec, zwłaszcza po 1970 roku są niewątpliwie ważnym i godnym głębszej refleksji zjawiskiem społecznym z wielu powodów. Mieszają się tu bowiem przede wszystkim wątki prawne, historyczne oraz związane ze stosunkami polsko-niemieckimi. Do tego dochodzi masowość samych wyjazdów zwłaszcza w latach 80. i na początku 90. Owa masowość z kolei powodowała kolejne wyjazdy, bowiem jak zauważali moi rozmówcy w owym czasie, a zwłaszcza pod koniec lato 80. panowało przekonanie, że praktycznie wszyscy wyjeżdżają. Także same powody wyjazdów były różne i nie można powiedzieć, że decydował o nich tylko jeden czynnik. To raczej nagromadzenie kilku motywów jednocześnie powodowało, że decydowano się na wyjazd. Ponadto wyjazdy te miały charakter migracji łańcuchowej – kiedy emigracja jednej osoby pociągała za sobą wyjazdy kolejnych osób. Także członkowie rodzin, którzy tuż po wojnie znaleźli się w Niemczech byli swoistym „punktem zaczepienia”.

Wyjazdy na stałe do Niemiec odbywały się zarówno w sposób „legalny” jak i na podstawie wiz turystycznych, tranzytowych, wyjazdów na zaproszenie znajomych i rodziny. Sposób „legalny”, na podstawie wniosku wyjazdowego dawał szansę na wyjazd całej rodzinie. Jednak bardzo często odbywał się on po wieloletnich staraniach. Jak zauważyła jedna z moich rozmówczyń jej dzieciństwo przebiegało pod znakiem dwóch słów – wniosek i odmowa. Inny sposób „nielegalny” odbywał się zwykle w ścisłej tajemni-

cy nawet przed bliskimi. Niósł on ze sobą niemiernie poważne konsekwencje dla życia rodzinnego – często tylko jedna osoba otrzymywała paszport, a druga zostawała w kraju jako swowista kaucja. Zdarzało się też, że wyjeżdżali rodzice, zaś ową „kaucją” były dzieci. Wyjazdy do Niemiec nierzadko obarczone były nadszarpniętym zaufaniem w rodzinie, kłamstwem wobec współmałżonków i dzieci. Ten sposób wyjazdu rozbijał często rodziny, bowiem, gdy współmałżonek pozostały w kraju mógł w końcu dołączyć do osoby, która wyjechała wcześniej okazywało się, że obie strony ułożyły już sobie życie prywatne. Do dramatycznych należą świadectwa, wówczas dzieci, a dziś już osób dorosłych, których rodzice wyjechali i po roku, czy nawet paru latach sprowadzili je do Niemiec. Gdy rozłąka była kilkuletnia – tak jak w przypadku jednej z moich narratorek – wyjazd był wyjazdem do obcych już osób, wyrwaniam z bezpiecznego świata, z domu kochającej babci. Zresztą nawet jeśli dziecko wyjeżdżało z rodzicami zerknięcie się z nową szkołą, kursami integracyjnymi nie należało do doświadczeń łatwych. A to nie pozostawało bez znaczenia dla tożsamości młodego człowieka, bowiem rodzice starając się jak najszybciej wtopić w niemieckie społeczeństwo przechodzili także w domu na język niemiecki, którego uczyli się często dopiero po przyjeździe. Sygnały były sprzeczne – oficjalnie traktowano „wysiedleńców” jako Niemców, w kontaktach prywatnych dawano im do zrozumienia, że nie są Niemcami.

W kontekście zróżnicowanych powodów wyjazdu można analizować zjawisko migracji z Górnego Śląska do Niemiec w kategoriach takich, jak analizował kwestię ról społecznych wybitny socjolog Peter Berger odnosząc się do pojęcia „zła wiara” Jean-Paul’a Sartre’a. Owa „zła wiara” jak pisze Berger „polega na stwarzaniu pozorów, że coś jest konieczne, gdy w rzeczywistości jest dobrowolne”. Można ją odnaleźć w elementach narracji, gdy rozmówca określając swoją ówczesną sytuację stwierdza, że właściwie nie miał wyboru, bądź że wówczas miał poczucie, że w tamtej Polsce nie dało się żyć. Także z tego powodu, że w Polsce uważany był za Niemca. „Zła wiara”, a więc przekonanie, że nie ma się wyboru pojawiało się także w sytuacji bezrobocia lat 90. Polska historyk Krystyna Kersten w odniesieniu do migracji wojennych i powojennych używa sformułowania „przymusu sytuacyjnego”. I z takimi narracjami podczas

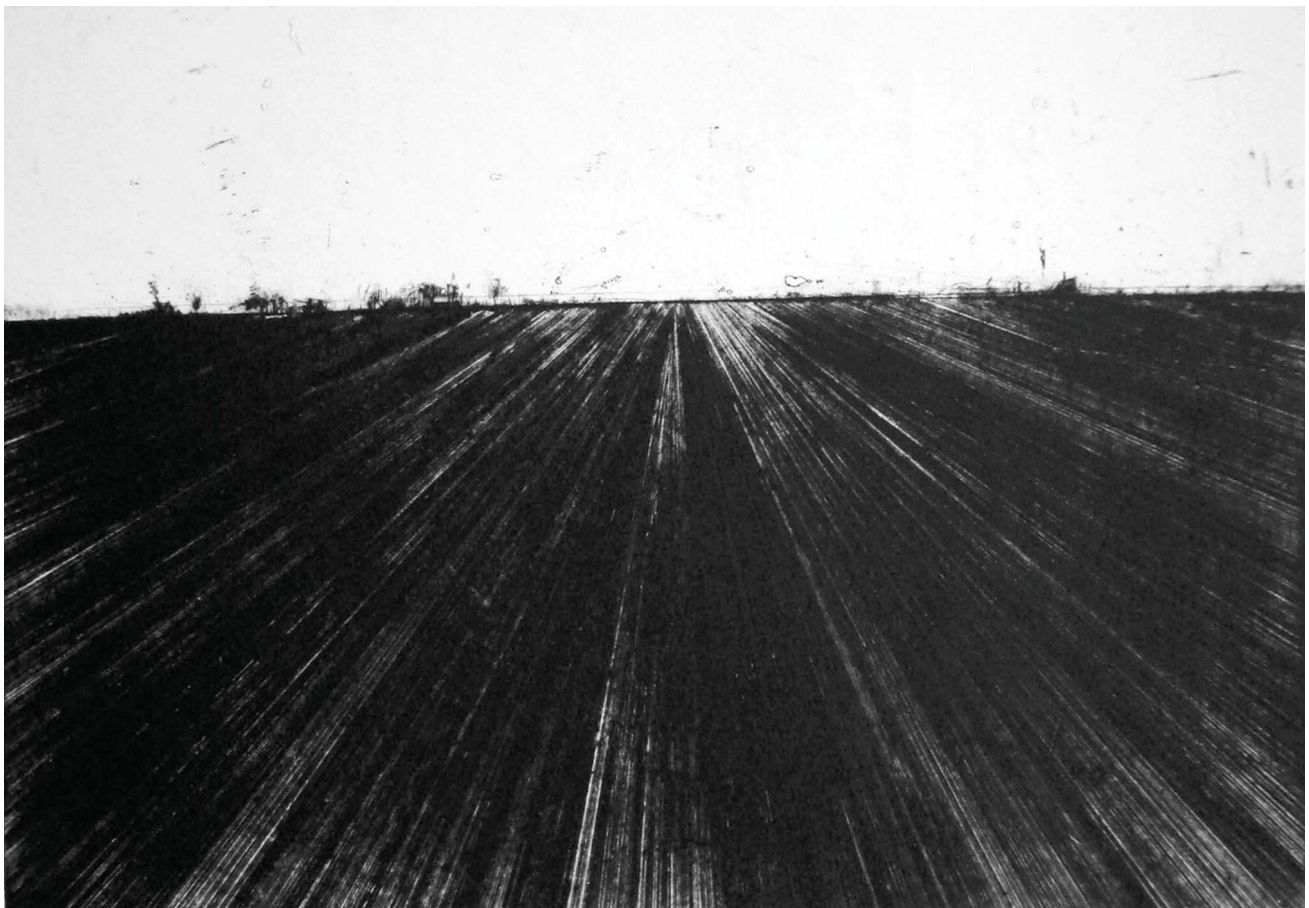
badań także się spotkałam. To sytuacja na przykład swoistego „wypychania” całej rodziny w celu przejęcia dobrze funkcjonującego zakładu. Wszystkie elementy, które decydowały o wyjeździe, takie jak kwestie tożsamościowe, kiedy bliższa była niemiecka kultura i język, poczucie bycia obywatelem drugiej kategorii, trudna sytuacja mieszkaniowa ludności rodzimej, kryzys ekonomiczny, atmosfera polityczna – dawało poczucie, że jedynym sposobem na lepsze życie dla siebie, a zwłaszcza dla dzieci jest wyjazd na Zachód. Tym bardziej że informacja, które docierały od członków rodzin będących już w Niemczech zachęcały do emigracji, a dokumenty, w tym te odziedziczone po przodkach, dawały możliwość wyjazdu i szybkiego zalegalizowania pobytu.

Zagadnieniem niezwykle interesującym, jest fakt tych wyjazdów od strony administracyjno-prawnej. Termin „Aussiedler”, tłumaczony jako „wysiedleńiec” wywodzi się bowiem z ustawodawstwa o wypędzonych. Użyte zostaje po raz pierwszy w 1957 roku na określenie nieco odmienną grupę, która zaczęła się w Niemczech pojawiać, a nie przystawała do dotychczas określanych jako „wypędzeni”. Jak zauważają badacze niemieccy „wysiedleńcy” są od strony prawnej „wypędzonymi”. Jednak we współczesnych opracowaniach zwraca się uwagę, że mimo iż „wysiedleńcy” od strony prawnej byli Niemcami, de facto byli obcokrajowcami. To stwierdzenie pada w monumentalnej monografii poświęconej „wysiedleńcom” z Rumunii. Z kolei niemiecki historyk Peter Oliver Loew pisząc o Polakach w Niemczech wspomina także o „wysiedleńcach”.

Sam sposób wyjazdu budził kontrowersje zarówno w Niemczech jak i w Polsce. Widać to dobitnie w opracowaniach naukowych i publicystyce tamtego okresu. Mimo upływu lat i oficjalnych deklaracji, że obecnie nie ma większego znaczenia jak kto wyjechał, nadal echo dawnych kontrowersji pobrzmiwa na przykład w wywiadach z osobami, które w Niemczech pracowały z „wysiedleńcami” jako pracownicy socjalni albo prowadzący kursy integracyjne. Także urzędnicy niemieccy doskonale zdawali sobie sprawę, że nie wszyscy wyjeżdżający byli Niemcami. Mówią dzisiaj o tym podczas wywiadów.

### Konfrontacje tożsamościowe

Gdy przed laty w swoich badaniach prowadzonych w kilku mia-



Rys. Bogdan Topor

Landscape dry point

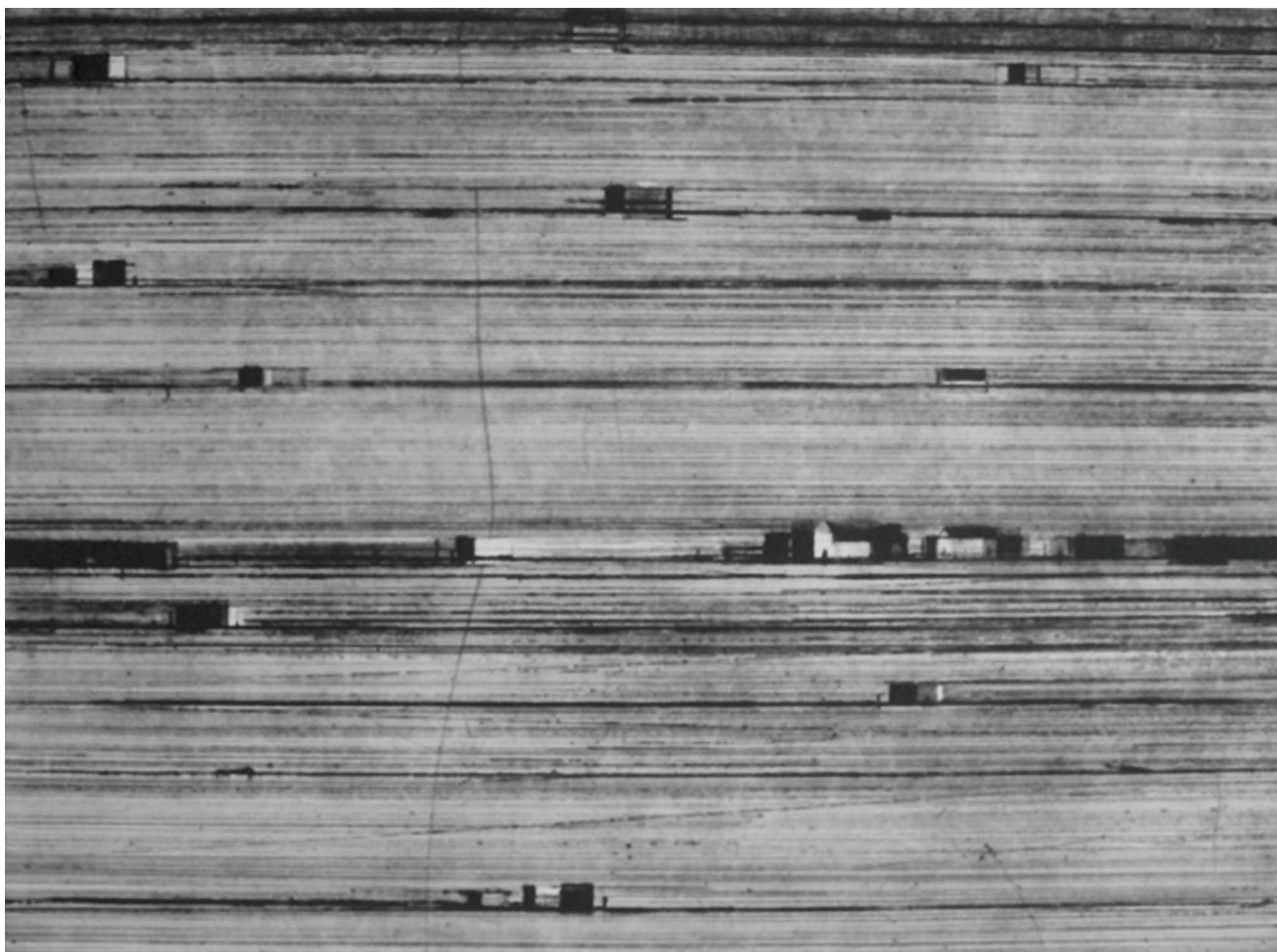
stach Górnego Śląska zadawałam pytanie o motyw deklarowania narodowości śląskiej podczas spisu z 2002 roku, to rozmówcy odpowiadali zwracając uwagę na korzenie rodzinne, na to że jest się Ślązakiem, na to, że Ślązakami byli przodkowie. Z tego punktu widzenia, była to dla nich deklaracja oczywista, wolna od politycznych kontekstów. I nie miało w tych autodefinicjach znaczenia, czy jest się zwolennikiem autonomii, czy narodowości śląskiej. Niejednokrotnie ci sami ludzie, którzy deklarowali narodowość śląską uważali, że takiego narodu nie ma. Rozmówcy wskazywali w tym przypadku po prostu na najważniejszą dla nich kwestię jaką było śląskie pochodzenie. Motywy spisowych deklaracji trafnie zresztą skomentował Marek S. Szczepański podając przyczyny takich wówczas deklaracji. A z kolei Lech Nijakowski słusznie zauważył, że pytanie spisowe zostało zrozumiane i zinterpretowane jako pytanie o tę najważniejszą grupę odniesienia. Jeśli z kolei poruszamy problem więzów rodzinnych, to dotykamy kwestii o niebagatelnym znaczeniu dla tożsamości jaką jest pamięć zbiorowa, a także zapomnienie. Z kolei, jeśli mowa o młodszych generacjach mamy do czynienia raczej z tym, co Marianne Hirsch nazwała

„postpamięcią”, więc pamięcią przekazaną przez starsze roczniki. Jest ona jednak w przypadku Górnego Śląska pełna białych plam i przemilczanych dramatów rodzinnych związanych ściśle z uderzeniami historii w „śląski narożnik”.

Ważną kategorię w rozważaniach o górnośląskiej tożsamości stanowi przeciwstawienie „swoich” „obcym”. Ale i owi „obcy” zaczynają powoli rozmywać się w górnośląskim pejzażu. Bowiem nawet jeśli regionalny rodowód jest nie-śląski, jeśli jest się potomkiem tych, którzy przybyli na Górny Śląsk w latach powojennych można silnie utożsamiać się z tym regionem – i często tak się dzieje. Region ten jest więc od dziesięcioleci miejscem konfrontacji tożsamościowych. Jednak te górnośląskie konfrontacje nie dotyczą tylko Górnoślązaków, którzy stykają się z „innymi”, „przybyszami”. One dotyczą również tych, którzy w falach powojennych wyjazdów znaleźli się w Niemczech. To także Górnoślązacy, ale już nieco inni, czasem nawet trochę obcy, zwłaszcza pod względem kulturowym i obyczajowym. I to pomimo, że odległość między Górnym Śląskiem a Niemcami nie jest duża i sprzyja częstym kontaktom, na co w swoim opracowaniu poświęconym

migracjom wahadłowym zwróciła uwagę socjolog Ewa Palenga-Möllenberg. Dla tych, którzy wyemigrowali Górny Śląsk jest regionem, który przeszedł ogromne przeobrażenia społeczne, ale zmienił się także w warstwie urbanistycznej. To jest już inny region, z którego wyjeżdżali. To górnośląskie konfrontowanie się z szeroko rozumianą tożsamością, odbywa się na kilku płaszczyznach. Jedną z nich jest konfrontacja górnośląskich emigrantów z regionem, z którego bądź to wyjechali, bądź z którego pochodzą ich przodkowie.

Analizując materiał empiryczny zebrany podczas badań w Polsce i w Niemczech, a składający się przede wszystkim z wywiadów swobodnych można zauważyć pewne cechy wspólne Górnoślązaków mieszkających w obu krajach. Można także pokusić się o próbę ich kategoryzacji w kontekście tożsamościowym. I taką wstępną, autorską próbę kategoryzacji chciałabym zaproponować. Odnoszę się – co pragnę zaznaczyć głównie do swoich najnowszych badań poświęconych Górnośląskiem „wysiedleńcom”, które prowadziłam w Niemczech w latach 2014-2015. Wywiady i badania prowadzone w Polsce, są tutaj tłem i wyłącznie punktem odniesienia.



Transgression-3 intaglio

W przypadku tożsamości Górnoślązaków po obu stronach granicy można mówić o swoistym kontinuum tożsamościowym od tożsamości określonej jako **homogeniczna** po kategorii **transnarodowej**. W przypadku konfrontacji tożsamościowych działa prawo tła, o którym wspominał Stanisław Ossowski w odniesieniu do ludności rodzimej Górnego Śląska – stąd kategorii **tożsamości wzmacnianej** i **odwróconej**. Ossowski pisał na podstawie swoich badań prowadzonych tuż po II wojnie światowej o momencie, w którym Niemcy stali się Ślązakom bliżsi kulturowo w przeciwieństwie do repatriantów ze wschodu. Jest również całe spektrum stosunku do Polski i polskości – **od antypolskości do propolskości**. Oczywiście propolskość i antypolskość należy rozumieć metaforycznie.

Jeśli mowa o **homogeniczności**, mam tu na myśli przede wszystkim jasną definicję samego siebie. Mniej problemów będą mieli z samookreśleniem Górnoślązacy mieszkający w Polsce. Oni częściej powiedzą, że są Ślązakami, Polakami, Niemcami. Nawet jeśli będą odwoływać się do kategorii mieszanych – zazwyczaj z dwóch komponentów – narodowego i etniczne-

go/regionalnego, to ta podwójna tożsamość będzie jasno zakreślona. Nie będzie wątpliwości kim się jest. Będzie się po prostu Ślązakami i Polakami lub Ślązakami i Niemcami jednocześnie. Nie będzie w tych autoidentyfikacjach zawahania, wątpliwości, czy konfliktu tożsamości. Oczywiście wybieranie kategorii mieszanych może być powodowane ich rozmyciem – jednak częściej było ono spotykane w Niemczech. To będą kategorie takie, jak polski Niemiec czy niemiecki Polak. Pomagają one wyjść z pewnej tożsamościowej pułapki i wybierane są przez osoby, które na Śląsku urodziły się na przykład w niemieckich rodzinach lub też przez osoby, które w Niemczech czują się Polakami, ale konfrontując się z bliskimi i znajomymi w Polsce widzą pewne różnice, dostrzegają swoją odrębność.

Wybór podwójnych kategorii tożsamościowych podyktowany może być chęcią podkreślenia splątanych korzeni swojej rodziny. Ale i w tym przypadku może występować pewnego rodzaju konflikt, poszukiwanie siebie samego, próba odpowiedzi na pytanie o to kim się jest. Jak zauważono podczas jednego z wywiadów w Niem-

czach – trudno być Niemcem, jeśli połowę życia spędziło się w Polsce. Nie jest się w tym przypadku do końca ani Polakiem, ani Niemcem. Korzenie ma się wprawdzie niemieckie, ale wychowanie, język są polskie. Ciężnie ku regionowi pochodzenia będzie widoczne w biograficznych narracjach. To te wszystkie sytuacje kiedy dla Polaków nie jest się dość polskim, dla Niemców nie dość niemieckim. Po latach spędzonych w Niemczech znikają elementy więzi z krajem pochodzenia. Nie jest się ani tu, ani tam.

Z kolei rozmówcy bez autoidentyfikacji spotykani w Niemczech to osoby o splątanych korzeniach rodzinnych i bolesnej pamięci. Oni często mówią o sobie, że są „Europejczykami”. Tak było w przypadku jednego z rozmówców, który urodził się na niemieckim Górnym Śląsku i jako nastolatek uczył się po wojnie języka polskiego. Przez otoczenie w Polsce uważany był za Niemca. Po wyjeździe do Niemiec odbierany był jako Polak. Jego córka niemieckiego uczyła się dopiero w Niemczech już jako nastolatka i przechodziła podobny proces jak jej ojciec kilkadziesiąt lat wcześniej. Można określić ich mianem **transnarodowych**. Ale transnardo-





wymi są także często przedstawiciele drugiej generacji migrantów, osoby, które swobodnie przeskakują między kodem kulturowym polskim i niemieckim, ale nie tylko. Mogą zaliczać się do tej grupy rozmówcy, którzy mają wprawdzie jasno określoną tożsamość, ale w ich przypadku kraj zamieszkania nie ma większego znaczenia. To, że wyemigrowali do Niemiec jest dziełem przypadku. Ta kategoria częściej spotykana była podczas badań w Niemczech, choć i w Polsce także można znaleźć osoby zaliczające się do jej przedstawicieli. Jednak w ich przypadku ów kosmopolityzm, czy transnarodowość mają nieco inny charakter.

Tu dochodzimy tym samym do tożsamości **wzmacnianej i odwróconej**. To kategorie widoczne w analizie materiału zebranego zarówno w Polsce jak i w Niemczech. Wzmacnianie tożsamości ma miejsce podczas spotkania z „innymi”, które uświadamia jednostce jeszcze silniej swe pochodzenie. W przypadku badań w Polsce rozmówcy opowiadali o spotkaniach – najczęściej w okresie wakacyjnym – z mieszkańcami innych regionów Polski. Dostrzegali oni wtedy jeszcze silniej swą kulturową odrębność. Te spotkania uświadamiały im dobitnie, że są Ślązakami. Miały one różny charakter i przebieg, były spotkaniami miłymi ale także takimi, zwłaszcza w okresie PRL-u, które były przyczyną nieprzyjemności. Wzmacnianie tożsamości śląskiej miało miejsce także w szkole, gdzie obowiązywał zakaz posługiwania się gwarą śląską. Wzmocnienie śląskości następowało również w Niemczech na przykład podczas spotkań z emigrantami z innych regionów Polski w przestrzeni kościoła w Polskiej Misji Katolickiej. Polacy pochodzący z innych regionów często zauważają, że Górnoszlązacy są „trochę inni”, mają swoje zwyczaje, kulturę. Z kolei Ślązacy także widzą swoją odrębność w zetknięciu się z emigrantami z innych części Polski, nawet jeśli wyemigrowali w tym samym czasie. W przypadku Górnoszlazaków w Niemczech wzmacnianie tożsamości zachodziło właśnie, gdy rozmówca uważał się za Polaka lub Górnoszlazaka i poprzez kontakt z Niemcami, a także innymi emigrantami z Górnego Śląska czy z innych części kraju, potwierdzał swą autoidentyfikację. Odbiór jego osoby był zgodny z tym, jak on sam siebie postrzegał.

Inaczej rzecz ma się z emigrantami, którzy mieszkając w Polsce uważali się za Niemców lub niemieckich Ślązaków. Zetknięcie się z państwem nie-

mieckim i samymi Niemcami powodowało, że przedstawiciele starszych generacji czuli się w nowym kraju obco – Niemcy po przemianach 1968 roku były innym krajem niż mieli oni w pamięci. Górnoszlazacy byli do tego bardziej tradycjonalistyczni i konserwatywni, co zauważa w swoich analizach politolog Weronika Grabe. W pewnym sensie nie pasowali do tego nowego niemieckiego społeczeństwa. „Wysiedleńcy” ze starszych roczników, dla których niemiecki był językiem ojczystym mówili nierzadko nieco innym niemieckim, choć w tym przypadku ma to mniejsze znaczenie, bowiem z zasady Niemcy używają dialektów i powszechnie słyszy się różne akcenty. Odwrócenie tożsamości polegało na tym, że w zetknięciu z Niemcami zaczęli odczuwać większą więź z Polską mimo wcześniejszej niemieckiej identyfikacji. Jeden z moich rozmówców, którego rodzice po wyjeździe do Niemiec zakomunikowali mu, że „od dzisiaj są Niemcami” w zetknięciu z rówieśnikami w szkole silniej odczuł swoją nie-niemiecką tożsamość i uznał, że skoro nie jest akceptowany jako Niemiec, to będzie jeszcze bardziej polski.

Odwrócona tożsamość w Polsce z kolei jest widoczna, gdy mowa o Górnoszlazakach w Polsce poszukujących swej tożsamości. Tak było w przypadku młodych Górnoszlazaków, którzy brali udział w spotkaniach organizacji mniejszości niemieckiej. Organizacje te nie dały im tego, czego szukali, nie potwierdziły ich tożsamości i dlatego wybrali Młodzież Górnoszlazką lub RAŚ, gdzie ich śląskości znalazła potwierdzenie.

Istotną rolę odgrywa także kwestia nastawienia do polskości – **propolska** lub **antypolska**. Można więc być „Niemcem z nastawieniem propolskim” wybiórczym, jak to określił jeden z rozmówców, uważany w swoim środowisku powszechnie za Polaka. W przypadku rozmówców po obu stronach granicy antypolskość wynika z rozczarowania państwem polskim, wiąże się z poczuciem krzywdy – także zmitologizowanej śląskiej krzywdy” – za doznaną niesprawiedliwość, bądź poczuciem ponoszenia kary za nie swoje winy – gdy mowa o osobach o silnej niemieckiej tożsamości ze starszych roczników. To zawsze bardzo subiektywne opinie, wiążące się nierzadko z rodzinnymi tragediami. To często postawa osób, które pozostały w Polsce ponieważ czekały na swoich bliskich. Dramatyczna jest opowieść starszego już mężczyzny, którego oj-

ciec został wywieziony w czasie masowych wywózek Ślązaków po wojnie na Wschód. Ostatni raz widzieli się, gdy odprowadzał go na dworzec. Ta antypolskość wynika z niezabliźnionych nigdy ran.

Propolskość z kolei może przejawiać się w działalności w organizacjach polonijnych, w nauczaniu języka polskiego i w walce o jego certyfikację, wreszcie w dążeniu do przyznania Polakom statusu mniejszości. Obie postawy można oczywiście zaobserwować także w Polsce wśród działaczy organizacji regionalnych. Postawę antypolską, rozumianą jako pewnego rodzaju metaforę można również odnaleźć we wszelkiego rodzaju postawach krytycznych wobec polityki państwa polskiego w stosunku do mniejszości etnicznych. Dotyczy to zarówno przeszłości jak i obecnego czasu. Postawa ta daje o sobie znać na poziomie indywidualnym – konkretnych krzywd, które doznała jednostka, lub zbiorowym – traktowaniu Górnoszlazaków przez państwo polskie jako obywateli drugiej kategorii ze wszystkimi tego konsekwencjami dla ludności rodzimej.

Konfrontowanie z własną tożsamością może także wiązać się z unikaniem tej konfrontacji – jedna z rozmówczyń, która wyjechała do Niemiec jako dziecko opowiadała o podróży do Polski, w którą wybrała się razem ze swoim chłopakiem. Była przejazdem w swojej rodzinnej miejscowości i gdy znalazła się w pobliżu swojego dawnego domu, w którym nadal mieszka jej babcia nie odważyła się jej złożyć wizyty. Stała i z oddali wraz ze swoim towarzyszem obserwowali babcię jak krzątała się w ogrodzie. Na moje pytanie, czemu nie odwiedziła Babci, odpowiedziała – te światy do siebie nie pasują. To tak jakby postać z kreskówki znalazła się w animacji 3D.

Tożsamość górnoszlaska jest problemem złożonym, ale właśnie ta złożoność sprawia, że jest to tematyka zarazem ważna i fascynująca. Przede wszystkim dotyczy tego, co osobiste, a więc dotyczy niemalże każdego z górnoszlaskim rodowodem a także tych, którzy określają się Górnoszlazakami z wyboru, bo wiąże się z odpowiedzialnością na pytanie o to kim się jest. A jeśli do tego rodzina podzielona jest między Polskę i Niemcy, to pytanie o własną tożsamość nabiera innego znaczenia i wykracza poza granice regionu i państwa ocierając się tym samym o modne w ostatnich latach między innymi w badaniach nad migracjami i tożsamością koncepcje transnarodowości.



## Kartki z dziejów Szarogrodu



Dymy nad hutą cynku „Fanny”. Fragment litografii E.W. Kmppla

# Kazimierz Skiba i jego rodacy

(cz. 2)

HENRYK SZCZEPAŃSKI

**Po** 10 latach rzekomego cudu gospodarczego Winklera i kolejnych 40 rabunkowej gospodarki jego zięcia sielankowa Rozdzianka została tak zapaskudzona, że w pełni zasłużyła na miano Rawy, co w języku antycznych Sarmatów oznaczało zwykły przydrożny rów. Już po śmierci wielkiego sanitariusza Holtzego okazało się, że w Rawie wszystkie ryby pozdychały i zamiera w niej życie biologiczne. Wokół metalurgiczno-kopalnianie-

go szamba jak wulkany wypiętrzały się żuźlowe wyniszczeliska zwane hałdami. Dawniej zieloną i kwitnącą wioskę przysypywały sadze i popioły. Zamieniała się w przygnębiający fabryczny Szarogród. Nad jego dachami wisiały ołowiane chmury – widma zwiastuny zmierzchu wynaturzonego człowieczeństwa Übermenschów, dekadenceńskiego schyłku stulecia a finalnie – żalosego upadku rzeszy zakończonego haniebną ucieczką Wil-

helma II, psychopatycznego władcy imperium przez ziomków utożsamianego z Kaligulą a przez Francuzów i Anglików z Attylą, wodzem barbarzyńskich Hunów. W podobnym tempie i popłochu potomkowie Winklera sprzedawali katowickie huty, cynkownie i kopalnie, wraz z fortuną chroniąc się w ponurych zamczyskach prastarej Szwabii i Germanii.

Na stanowisku sołtysa Kazimierz Skiba dotrwał do 1856 roku. Pamiędzy nim a sanitarratem Holtze, na każdym zebraniu gminy i zarządu dochodziło do sporów. Butny antagonistą żądał administracyjnego podziału gminy i wyodrębnienia z niej Katowic. Z podobnym dezyderatem w odniesieniu do wspólnoty katolickiej występował Heinrich Knappe, księgowy w zarządzie katowickich dóbr Winklera. Forsował postulat wyłączenia Katowic i Brynowa z parafii Bogucice. Skiba, nie pozbawiony instynktu politycznego, tak jak większość tutejszych włościan, protestował i nie dawał na to przyzwolenia.

W międzyczasie rex Borussorum, z wyrachowaną przebiegłością charakterystyczną dla Hohenzollernów, swoje zapatrywania na kwestie społeczne zmienił o 180 stopni. Skończyły się lata demokratycznej kokieterii a powróciły ponure dni biurokracji i despotyzmu.

Stanowczy ale roztropny Kazimierz nie zwykł ustępować. Tym razem, musiał się jednak ugiąć pod naporem kapitalistycznych i burżuazyjnych ataków pruskiej administracji. Bez osłonek dążyła do skolonizowania i skoszarowania włościan w mniejszych enklawach kontrolowanych przez zaufanych plenipotentów. Chłopot opadały ręce – rzucali łykowe kaptcie i chcąc nie chcąc wchodziłi w drewniane chodaki robotników. Na przełomie wieków, kolejną lekcję nowoczesnej pańszczyzny i bestialskiego ludobójstwa niemieccy konkwistadorzy przećwiczyli na terytoriach anektowanych w Azji i Afryce.

Krowi róg – atrybut przywódcy wiejskiej gromady przeszedł w ręce dworskiego pupila i poplecznika Winklerów, jakim był obrotny i usłużny Louis Troll, który podobno potrafił „sprawnie czytać i pisać” a jeszcze lepiej rachować. Z politycznego punktu widzenia był jednak skutecznym mediatorem pomiędzy gromadą rolników ze Starowiejskiej, a spadkobiercami Winklera i coraz liczniejszą grupą obcokrajowców zatrudnianych na dobrze płatnych posadach. Po 10 latach sołtysowania Troll przekazał insygnia władzy o wiele bieglejszemu rachmistrzowi, jakim był pierwszy

burmistrz Louis Diebel, rekomendowany przez megalomana Holtzego, partyjnego wodza dworskiej kamaryli. Kolejnego pospolitego oszusta nie zadowalały magistrackie gąże. Zagarnął całą miejską kasę z włościańskimi podatkami i uciekł do Ameryki.

W pruskiej kronice miasta szumnie nazywanej „Historią Katowic”, jej autor niejaki dr Hoffmann, wodzirej miejscowych hakatystów – o koźlach ofiarnych drobnomieszczkańskiej konkwesty, wyautowanych poza nawias prowincjonalnego grajdoła, pisze z pyszałkowatym zadęciem godnym hejnalisty ogłaszającego zakończenie wielkich łowów na bezbronne szaraki:

„Jak czerwonoskórzy Ameryki przez białych osadników spychani byli krok po kroku na zachód, broniąc w krwawym rozpaczliwym boju każdego kęsa ziemi, tak górnośląscy czerwonoskórzy opierali się przed naporem świata mieszczańskiego, tracąc po kłęsce swoją starą ojczyznę. Gdzie dawniej stały chaty polskich chłopów, obecnie wznoszą się wielkomijskie kamienice”.

A jak się żyło w murach tych „wielkomijskich kamienic”? Zacytujmy poetę:

„Straszne mieszkania.  
W strasznych mieszkaniach  
Strasznie mieszkają straszni  
mieszczanie.  
Pleśnią i kopciem pełźnie  
po ścianach  
Zgroza zimowa, ciemne konanie”.

Upewnia w tym relacja samego dr Hoffmanna, który nieco dalej w swojej kronice napisanej u schyłku XIX stulecia przyznaje, że Katowice gnębiły: „następujące choroby zakaźne: 1873 rok – cholera, kilkakrotnie tyfus, odra, błonica i szkarlatyna. Epidemia ospy przedostała się z zaboru rosyjskiego w roku 1875, a głównym powodem tyfusu było złe odżywianie i zły stan zaplecza mieszkalnego dla ludności”.

### W latach styczniowej insurekcji

Skibowie oraz ich sąsiedzi swego przywiązania do polskości dowiedli tak w przełomowych latach Wiosny Ludów jak i po kolejnych dwu dziesięcioleciach – czasach powstania styczniowego. Ze Starowiejskiej i okolicy do jego szeregów poszli: katechizant Juliusz Henryk Gärtler z zawodu technik, Józef Grzondziel i Józef Wieczorek dwaj hutnicy z Sz-

pienic, Feliks Kopeć z Dąbrówki Małej. W Katowicach poczucie bezpieczeństwa mogli mieć tylko ci, którzy legitymowali się niemieckim rodowodem, wyrzekali się polskiej narodowości a ponadto posłusznie stawali na baczność przed każdym pruskim urzędnikiem i żandarmem. Ci najbardziej wytresowani w postawie zasadniczej stawali, nawet na widok własnego cienia. Swoich słowiańskich poddanych prusactwo nie rozpieszczało.

Ze Stanisławem Maciejewskim, oficjalnie właścicielem filii wrocławskiego „Składu cygar importowanych oraz kantoru informacyjnego i komisowego – Bronisław Ostrzycki”, a w konspiracji agentem Centralnego Komitetu Narodowego w Warszawie, sympatyzowali katowiccy Niemcy. Dwaj z nich: posadzkarz Carl Lehmann i piekarz Ferdynand Zips, udostępniali swoje adresy dla korespondencji ekspediowanej i odbieranej przez Maciejewskiego. Dostawą broni trudnił się Stremer.

„– Z tego, co ja wiem, co wynika przede wszystkim z notatek Jana Skiby, syna Kazimierza, to Skibowie z Polakami utrzymywali kontakty już w roku 1848 a więc w czasie Wiosny Ludów, a szczególnie w roku poprzednim, 1847, kiedy trwała kłęska głodowa. Jest ślad, że Kazimierz Skiba w czasie powstania styczniowego dotarł aż do Olkusza, skąd przywiózł broń w okolice dzisiejszego Sosnowca. Kiedy powstanie upada, Kazimierz Skiba ukrywa u swojej córki (później żony Lejmanowicza) ranego powstańca” – zapewnia mgr Jan Jacek Schreiber, prawnuk Kazimierza Skiby, wypromowany przez krakowskiego nowożytnika, prof. Jana Pachonńskiego, szanowanego znawcę historii polskich powstań narodowych. Praca magisterska w 1967 roku napisana pod jego kierunkiem nosi tytuł „Kazimierz Skiba i jego rodzina jako działacze polscy na Górnym Śląsku”.

Ze Skibami solidaryzował się wtedy Jan Kucharz, który miał dom i rzeźnię tam gdzie dzisiaj ulica Staromiejska łączy się ze św. Jana. W ratowaniu rodaków z Zagłębia i Małopolski towarzyszył im Wincenty Kucharz, młodszy brat Jana Kucharza, sąsiad Skibów ze Starowiejskiej. W styczniu 1851 roku jako świadek na ślubie Jana Kucharza w drewnianym kościółku „na górce” w Bogucicach wystąpił Michał Skiba (młodszy brat Kazimierza) oraz ich sąsiad Franek Wypiór.

Wanda Malczewska, prekursorka świeckich katechetów, ciotka Jacka

Malczewskiego (artysty malarza) i krewniaczka Siemińskich, wtedy z nadgranicznego Zagórza (obecnie: osiedle Sosnowca), dziś papieskim dekretem o heroiczności cnót zaliczona do grona Czcigodnych Służebnic Bożych kościoła katolickiego, Stanisława Maciejewskiego z Katowic wspierała w przerzutach przez zieloną granicę i organizowała pielgrzymki Zagłębiaków do piekarskiego sanktuarium ks. Alojzego Ficka. Apelowała: „Z serc polskich winniśmy zbudować przez granicę pomost do naszych braci Ślązaków, aby ich serca powiązać z naszymi”. W ostatniej ćwierci XIX wieku, Polacy z trzech zaborów powtarzali słowa jej objawienia jakie miała w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny:

„Uroczystość dzisiejsza niezadługo stanie się świętem narodowym was Polaków, bo w tym dniu odniesiecie świetne zwycięstwo nad wrogiem, dążącym do zagłady waszej. To święto powinniście obchodzić ze szczególną okazałością”.

O żywych więziach Katowiczanki z rodakami zza rozbiorowego kordonu oraz polskojęzyczną książką i gazetą świadczyły księgarskie stragany na targowisku przed karczmą Frölichów. W czasach powstania styczniowego, przy księgarskich ławach katowiczanie rozpytywali o elementarz Daniela Rakowicza, pod tytułem: *Nauka czytania i pisania*, jeden z lepszych, „w setkach tysięcy wydrukowany i polecany przez czcigodnego Ewarysta Estkowskiego oraz Polskie Towarzystwo Pedagogiczne w Poznaniu”. Z Warszawy przywożono drukowany u Gebethnera *Podarek dla ludu wiejskiego czyli wieczorne opowiadanie starego Bartłomieja pióra ks. Józefa Osieckiego, Książeczkę w przykładach naukę moralną zawierającą*.

W sprawie polskiej a jeszcze bardziej w proteście na drakońskie represje władców Europy, coraz szersze kręgi prostych i biednych ludzi łączyła solidarność, zapowiadająca zawiązanie I Międzynarodówki. Szeptali o niej górnicy z Ferdynanda i gisierzy z huty „Jakub”. O powstaniu mówiły doniesienia gazet, ulotki i broszury proletariackich liderów. Karol Marks piętnował „Prusaków-kanalie”, wysługujące się despotom z Petersburga, a w innej wzywał Niemców do składek na rzecz powstania. Życzliwą Polakom odezwę opublikował przy wsparciu Niemieckiego Oświatowego Związku Robotniczego.

W 1865 r., po powrocie z włościańskiego kiermaszu w Katowicach, powszechnie lubiany wydawca



ks Franciszek Skiba z rodzicami i rodzeństwem, 1897 rok

Karol Miarka zanotował: „Niemąło ucieszyłem się, przypatrując się życzliwemu ruchowi około stołów księgarskich, które wieśniacy otaczali. Księgarze mnie witali i dziękowali serdecznie, że im przed dwoma laty pierwsze kalendarze chełmskie [...] przekazałem, [...] a dzisiaj mi oświadczyli, że już każdy po kilkaset sprzedał między wieśniakami. Prosił mnie, abym im poradził o podobnych książkach ludowych”.

Zainteresowanie katowiczian zrywem wolnościowym rodaków zza Brynicy dawało się zauważyć na miejscowym jarmarku. Kramy z książkami oferowały podobizny generała Langiewicza w asyście adiutanta – fascynującej sufrażystki Anny Pustowójtówny. Epatowały broszurami ilustrującymi krwawe szarże polskich kosynierów. Przypominały, że studiował we Wrocławiu a potem był oficerem pruskiej artylerii w Berlinie. Legenda odważnej panny pobudzała wyobraźnię młodzieży. Prasa informowała, że młoda Niemka z Wrocławia porzuciła dom rodzinny a w liście pożegnalnym napisała, że idzie do „polskiego powstania”. Opowiadki należały do sensacyjnych. Przypominały związki Langiewicza z Garibaldim i szkołą polskich spiskowców w Piemontie.

Z wydawania gazety „Zwiastun Górnoszląski” i publikowania druków ulotnych w latach polskiej insurek-

cji 1863 r., zasłynął Teodor Heneczek z Piekar. Współpracował z powstańczym emisariuszem Stanisławem Maciejewskim – oficjalnie właścicielem katowickiej trafiki z cygarami a potajemnie organizatorem przerzutu agentów, materiałów propagandowych a nawet maszyn poligraficznych do Królestwa Polskiego. W rodzinnej legendzie Skibów przetrwały wspomnienia mówiące o wspomaganie polskich powstańców przez Kazimierza Skibę, jego syna, córki i zięciów.

Tymczasem niemiecka prasa lansowała sylwetkę lojalnego Ślązaka – pruskiego nacjonalisty, pod korcem maku ukrywając „niepatriotyczne występki” poddanych Wilhelma I, którzy spiskowali albo zaciągali się w szeregi polskiej insurekcji. Nie rozpowszechniała wieści mogących przynieść ujme państwu Hohenzollernów. Tak dla przykładu, o procesie wytoczonym Ślązacom z Nowego Bierunia, przez długie lata wiedzieli tylko skazani. Na szczęście historyków i na sromotę królewskich instygatorów w archiwach sądu pruskiego ocalały protokoły tej sprawy stanowiące corpus delicti dla nierychliwego ale sprawiedliwego trybunału dziejów. Dzięki nim z pożółkłych kart aktu oskarżenia dowiadujemy się, że dla pechowych miłośników polskiej pieśni prokurator żądał kary więzienia bo podpisywali:

„Matko Boska polska, dopomóż Polakom,

A tych Niemców Szwabów pocie-paj do krzaków”.

Wbrew takim faktom etatowy germanizator Hugo Solger, landrat bytomski, w styczniu 1863 r., nie kryjąc swoich szowinistycznych uprzedzeń, raportował:

„nie ma najmniejszej obawy przed wkroczeniem polskich band – zwłaszcza, że tutejsza ludność robotnicza bardziej byłaby skłonna bandy siłą przepędzić niż udzielić im pomocy”.

Odnosi się wrażenie, że ten pogląd jeszcze dziś pokutuje wśród rewizorów dziejów Miasta nad Rawą, powątpiewających w solidarność mieszkańców Katowic z rodakami zaangażowanymi w powstaniu styczniowym.

### Księża Skiby „grzech wołający o pomstę”

Od 1869 r. ks. Rudolf Lubecki, „boży bojownik” i „prawdziwy Polak”, w szachulcowym kościółku u wylotu obecnej ulicy Sokolskiej, organizował spotkania Kółka Katolickiego, jednego z najstarszych na Śląsku. Uczestniczyły w nich parafianki ze Stowarzyszenia Kobiet i Panien oraz rzemieślnicy z Kółka Czeladniczego, kilka lat wcześniej związanego przez kuratusa ks. Teodora Kremkiego. Wzorowało się na przykościelnym kasynie, zainaugurowanym, w Królewskiej Hucie przez Karola Miarę. Były to najstarsze stowarzyszenia prowadzące działalność na rzecz zachowania polskości.

W kółku katowickim rej wodził czeladnik introligatorski Juliusz Banja. Wspólnie z przyjacielami przygotowywał widowiska teatralne, i występy chóru kościelnego. Dyskutowali nad tekstami publikowanymi na łamach „Katolika”. Po roku 1870, spotkania oświatowe przy tej świątyni organizował starokatolicki proboszcz ks. Paweł Kamiński, wydawca i redaktor pierwszej, polskojęzycznej gazety w Katowicach.

Franciszek Skiba, wnuk i ulubieniec dziadka Kazimierza był pupilem ks. Lubeckiego, wikarego parafii Mariackiej, który mawiał: „Język ojczysty jest złotym kluczem do serca ludu i dlatego trzeba się go dobrze wyuczyć, aby ziarno ewangeliczne podawać ludziom w srebrnych koszykach”. Najpierw zachęcił Franka do podjęcia nauki w katowickim gimnazjum a potem do studiów teologicznych na Uniwersytecie Wrocławskim. Zarówno jako kleryk jak i po wyświę-

eniu, Franciszek zastąpił z pielęgnowania polskiej tradycji a wraz z nimi obrony języka ojczystego w Niemczech i na pruskim Śląsku.

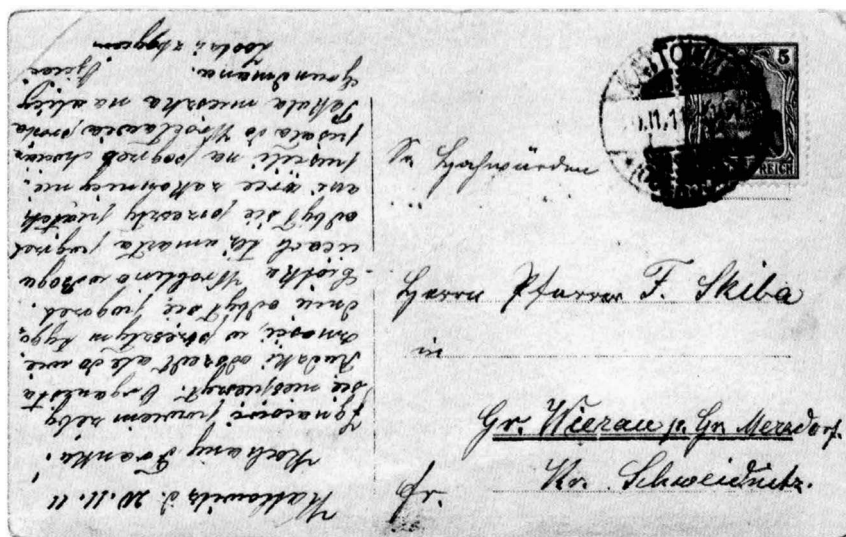
W międzywydziałowym Towarzystwie Akademików Górnoślązaków (TAG) kultywującym tradycje wileńskich filaretów kleryk Skiba pełnił kolejno funkcje bibliotekarza, sekretarza i prezesa. Był jednym z jego założycieli. Polscy korporanci występowali w barwach biało-czerwono-żółtych a przy dewizkach nosili godło z białym orłem. Najważniejsze były dla nich zajęcia samokształceniowe w zakresie doskonalenia języka ojczystego. Rozmawiali i dyskutowali o rodzimej literaturze i wygłaszali referaty. Franek Skiba wystąpił z odczytem: „Mickiewicz w *Paniu Tadeuszu* pod względem miłości ojczyzny”. Nierad tej nacji pozostawał biskup wrocławski kardynał Kopp. W 1899 na jego polecenie studenci musieli rozwiązać swoją organizację. Franek Skiba nie dał za wygraną. Natychmiast zwołał zebranie rodaków studiujących teologię i mieszkających w bursie przy kurii biskupiej. Na zebranie założycielskie przyszło 34 kleryków. Franciszka Skibę wybrali na prezesa. Teraz ich towarzystwo nosiło nazwę: „konwikt teologiczny w Wrocławiu – Kółko Polskie”.

Po studiach i święceniach biskup skierował ks. Franciszka do pracy duszpasterskiej w jednej z robotniczych dzielnic Berlina. Nad Sprewą młody kapłan odnalazł rodaków z polonii i sportowców zrzeszonych w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”. Na uniwersytecie słuchał wykładów znakomitego słowianoznawcy prof. Aleksandra Brücknera, autora popularnej encyklopedii staropolskiej. Ich znajomość zamieniła się w trwałą sympatię i przyjaźń.

Kardynał Kopp nie był rad propolskiej aktywności młodego księdza. Na jego polecenie ks. Skiba był przenoszony z miejsca na miejsce. W 1911 roku jako wikary został skierowany do ziemczonowej parafii we wsi Wiry u stóp prasłowiańskiej Słęży.

Okruczy zwykłych, rodzinnych zdarzeń tamtego roku opisuje kartka pocztowa zachowana w zbiorach Muzeum Śląskiego. Jej nadawcą jest pierworodny syn Kazimierza – Jan Skiba a jej adresatem „Przewielebny Pan Ksiądz” Franciszek Skiba, pierworodny syn Jana.

Jan urodzony w 1841 roku oraz Franciszek roznik 1871 należą do kolejnych zmian w pokoleniowej sztafecie rodu Skibów. Kilka zdań wzru-



Karta pocztowa Jana Skiby do syna, 1911 rok

szającej ojcowskiej relacji jest pięknym, wręcz poetyckim zapisem mowy potocznej. Nie pozwalają wątpić, że ludzie, którzy w czasach dyskryminacji języka ojczystego, takim sposobem komunikujący się ze sobą, od wielu pokoleń rodzili się w polskim środowisku i wychowywali w polskich tradycjach.

„Sr. Hochwurdigen Herrn Pfarrer F Skiba Gr. Wierau p. Gr. Merzdorf Kr. Schweidnitz

Kattowitz d. 20.11.11. Kochany Franku! Ignacowi powiem żeby się niespieszył. Organista Rudzki odszedł ale do wieczności, w przeszłym tygodniu odbył się pogrzeb. Ciotka Wróblino w Bogucicach też umarła pogrzeb odbył się przeszły piątek ani córce zakonnicy nie puścili na pogrzeb chociaż pisała do Wrocławia prośba. Pakuła mieszka na ulicy Grundmana.

Ojciec  
Zostań z bogiem”

W 1913 roku redaktorzy katowickiego „Górnoślązaka” zabrali głos w sprawie ks. Franciszka Skiby:

„Ksiądz wzorowy, bez skazy i zmayı, gorliwy w piśmie i mowie, kapłan i krzewiciel oświaty i wiary – któż by go nie znał na Górnym Śląsku! – bywa już przez 16 lat swego kapłaństwa poniewierany. Przesadzają go z miejsca na miejsce dla jego usposobienia polskiego [...] Polskie usposobienie jest bowiem grzechem wołającym o pomstę do... Opola i Wrocławia”.

Ks. Franciszek z pokorą znosił szykany i nie tracąc czasu pisał polskie wiersze, modlitwy i pieśni. W tomiku wydany w 1907 r. zwierza się:

„Kocham drogą mą ojczyznę,  
kocham przodków mych spuściznę:  
Wiarę świętą, polską mowę,

Nasze życie narodowe”.

a kilka stron dalej:  
„Piękna nasza polska mowa,  
Pełna Bożych słów,  
Nią do brata, nią do Boga,  
do każdego mów!”

Franciszek miał kuzynów i kuzynki, które także poświęciły się służbie bożej i społecznej. Do dziś są chlubą parafii św. Szczepana w Bogucicach. Wszyscy złotymi zgłoskami zostali zapisani w kronice tej świątyni i osiedla:

„ks. Jan Wróbel z Bogucic misjonarz ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Krakowie, wyświęcony na kapłana 3 maja 1908 roku, pracował w placówkach misyjnych Brazylii, przez wiele lat był proboszczem i dziekanem w Guarani i w Porto Alegre, ostatnie lata życia spędził w Kurytybie, w centrali misyjnej, gdzie zmarł w 1967 roku, wnuk ostatniego polskiego sołtysa wsi Katowice K. Skiby;

siostra Eligia Wróbel – zakonnica (imię zakonne Eligia) ze Zgromadzenia Sióstr Jadwizek, przez wiele lat pracowała w Odensee w Danii, zmarła we Wrocławiu w 1946 roku, wnuczka sołtysa wsi Katowice Kazimierza Skiby.

Konrad Wróbel i jego córka Marta – ojciec był dyrygentem chórów, Marta prowadziła bibliotekę Towarzystwa Czytelni Ludowych.

Zofia Koniarkowa – radna, nazywana „królową”, wnuczka ostatniego polskiego sołtysa Katowic Kazimierza Skiby, zawsze chodziła w śląskim stroju i w tym stroju została pochowana, katolicka społeczniczka, założycielka katolickich Matek Polskich („korfanciora”), w 1937 roku założyła drugi Związek Matek Katolickich, w czasie okupacji przygarniała potrzebujących”;



Grobowiec Kazimierza Skiby i jego żony, 3 marca 2018

### Pożegnanie sołtysa

Kazimierz Skiba zmarł w 1890 roku – 7 listopada, o godzinie 4 nad ranem. Ostatnie chwile życia spędził pod opieką swego pierwotnego syna Jana, spółdzielcy i rolnika parającego się wekturą, właściciela domu i gospodarstwa u zbiegu dzisiejszej Wojewódzkiej i Reymonta. Został pochowany obok żony Józefiny, na katolickim cmentarzu, w 1871 roku założonym na gruntach подарowanych przez Kazimierza parafii Mariackiej. Zdumiewające, że ani w kościele ani na cmentarzu do dziś nie ma żadnej tablicy upamiętniającej fundację tego darczyńcy. Nie udało się odnaleźć relacji

z pogrzebu. Nie wiemy jaki duchowny towarzyszył zmarłemu w ostatniej drodze. 2 dni po uroczystościach funebralnych, w polskojęzycznym „Katoliku” Adama Napieralskiego ukazał się lakoniczny nekrolog:

„Kazimierz Skiba, najstarszy w Katowicach urodzony obywatel umarł w ośmdziesiątym roku życia. Skiba był w czasach, gdzie Katowice jeszcze wsią były, sołtysiem wiejskim. Wiele byłby mógł zatem o ówczesnych czasach opowiedzieć”.

Pomnik strzegący miejsca wiecznego spoczynku ś.p. Skibów stanął dopiero w 1899 roku. Był pierwszym kamiennym nagrobkiem na tym campo santo. Pozostaje najstarszym polskojęzycznym obiektem katowickich

cmentarzy. Jest na nich tym czym *Księga henrykowska* dla literatury polskiej.

„(...) dobrze Skibowie postąpili, uczciwszy swych ojców, dziadków i pradziadków wspomnieniem w kamieniu wyrytem w języku takim, w jakim się ojcowie ich urodzili, w jakim chwalili Boga, w jakim się na łonie swych rodzin pod ojczystą strzechą porozumiewali i ostatnią przed zgonem modlitwą Najwyższemu polecali się Stwórcy, t.j. w języku polskim.” – prawie 130 lat temu, wbrew hakacie urągającej wszystkiemu co polskie, pisał komentator bytomskiego „Katolika” i dodawał „Niech każdy sobie przeczyta napis na pomniku Skibów, a nauczy się, jakim ma być”.

Cenny zabytek XIX-wiecznej kamieniarki zdobi bogato rzeźbione aediculum z głową Chrystusa, neobarokowymi kolumnkami, roślinną ornamentacją i ozdobnym epitafium wykutym przez katowickiego kamieniarza Karola Pokornego. Dostojna, piaskowcowa bryła zwieńczona katolickim krzyżem kroju łańciskiego, do dziś przewyższa inne. Nad mogiłą Skibów została ustawiona z okazji 10 rocznicy śmierci świętej pamięci Józefiny. Wśród fundatorów okazałego monumentu znalazły się dzieci i wnuki zmarłych z ich pierwotnym synem Janem Skibą na czele. Złotymi literami wypisany epigraf głosi:

„Tu spoczywają nasi kochani ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie”.

Płytę nagrobną z okolicznościową inskrypcją i herbem Katowic ufundowali potomkowie Kazimierza wraz z władzami miasta świętującego swoją setną rocznicę oraz rodakami obchodzącymi tysiąclecie chrztu i państwa polskiego. Nawet zimą ludzie składają tu kwiaty i zapalają znicze.

Kazimierz Skiba – symboliczna arka przymierza między dawnymi a nowymi laty, wzgardzony i odrzucony przez pruskich szowinistów, dla Polaków nadal pozostaje złotą legendą i godnym pamięci bohaterem metropolitalnych Katowic, pewnym krokiem wkraczających w drugie stulecie porozbiorowej niepodległości. Stając przed trybunałem historii, swoim niewczesnym oskarżycielom, podobnie jak Wojciech Korfanty w 1903 roku może oświadczyć: „Nie sądzicie mnie jako Niemcy Polaka, tylko jako ludzie człowieka, a wtedy wyrok wasz uczyni zadość sprawiedliwości”.

Katowice, 3 kwietnia 2018

Trzy dekady zmian na Górnym Śląsku oceniając zdecydowanie pozytywnie. To zapisują na początku, bo dalej już tak miło nie będzie. Obserwujemy bowiem wyludnianie się województwa śląskiego, a chłodne, wręcz mroźne prognozy GUS-u zapowiadają kontynuację i pogłębianie się tego trendu w kolejnych pokoleniach. Coś lub ktoś sprawia, że jedni stąd wyjeżdżają, a inni nie przyjeżdżają.

Trzeba jednak powiedzieć sobie wyraźnie, czy dalszy spadek liczby ludności w regionie jest w ogóle problemem wartym uwagi. Bo może jest tak, że im nas mniej, tym lepiej? W drugim kroku należałoby się zastanowić, jakie działania mogą sprzyjać realizacji demograficznego celu województwa. Jeżeli bowiem chcemy ludzi stąd przegonić – ustalmy optymalne metody przeganiania; jeżeli chcemy, by było nas więcej – powiedzmy, jakimi sposobami ekonomicznymi i kulturowymi da się to osiągnąć. Jeżeli jednak chcemy, by zastąpili nas na tym terenie przybysze z innych krajów – nie róbnymy nic. Nie ma takiej pustki w Europie, która nie wypełni się sama. Afryką i Azją.

### Megatrendy

Najpierw kilka liczb. Otóż 30 lat temu (rok 1988) na terenie gmin wchodzących w skład obecnego województwa śląskiego mieszkało 4.915.231 obywateli. Ta liczba jest oczywiście zbyt dokładna, niewiarygodnie dokładna – bo codziennie ktoś wyjeżdża, przyjeżdża, ktoś się rodzi, umiera, kryje się lub ujawnia. Analizujemy tu główne trendy, więc sto, a nawet tysiąc osób w jedną czy drugą stronę nie robi różnicy. Przyjmijmy więc, że PRL zegnało w naszym województwie ok. 4,9 miliona mieszkańców (na wszelki wypadek powtarzam, że chodzi o obszar, który od roku 1999 nazywamy województwem śląskim). Liczbę 4,9 łatwo zapamiętać, nie obciążając umysłu nieistotnymi – w rozważanej skali – szczegółami. Dziś w województwie śląskim mieszka ok. 4,5 miliona obywateli, a realistyczne prognozy GUS na rok 2050 zapowiadają dalszy niestanny i nieuchronny spadek do 3,7 miliona. Później zmiany mają ostro przyśpieszyć, a dalsze prognozy pozostawiam futurologom, bo spadnie nam nie tylko liczba.

Szczegółowy raport demograficzny przedstawię w tym miejscu za miesiąc. Teraz interesują nas tylko trendy ogólne, wynikające z otwarcia granic, z „drugiego przejścia demograficznego” i z dalekich następstw wojen, czyli naprzemiennych wyzów i niżów. A te ogólne trendy są jak „Titanic”. Widzisz górę lodową na kursie kolizyjnym, ale bezwładność statku nie pozwala tej góry ominąć. Również procesy demograficzne cechują się ogromną bezwładnością i – niestety – bardzo dokładną przewidywalnością. Jeżeli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, można precyzyjnie powiedzieć, że skoro w danym pokoleniu urodziło się N dziewczynek, to w następnym urodzi się o 40% mniej itd. Tu nawet nie można się zbyt pomylić, więc prognozy GUS należy uznać za wiarygodne. Pod jednym wszak warunkiem: że nie stanie się nic nadzwyczajnego.

### Cel demograficzny

Najgorszą polityką demograficzną jest brak polityki. Procesy naturalne są bardzo

# Tożsamość atraktywna i repulsywna

ANDRZEJ JARCZEWSKI

w tej materii sympatyczne, ale z żywiołem nie ma zartów. Bo może obrócić wniwecz wszelkie nasze osiągnięcia w innych dziedzinach. A każda polityka sektorowa zaczyna się od określenia celu tej polityki; w przeciwnym razie zamienia się w chaos.

Co w takim razie mogłoby być celem demograficznym województwa śląskiego? Otóż wydaje mi się, że województwo nie jest podmiotem właściwym do określania takiego celu. Może jedynie zsumować cele demograficzne wszystkich swoich gmin. Politykę sektorową może kształtować tylko podmiot, który ponosi odpowiedzialność za skutki tej polityki i dysponuje środkami na jej realizację. W sprawach demograficznych jest to państwo i gmina. Nie województwo i nie powiat, zwłaszcza że przyszłość powiatów nie wygląda zbyt wyraznie.

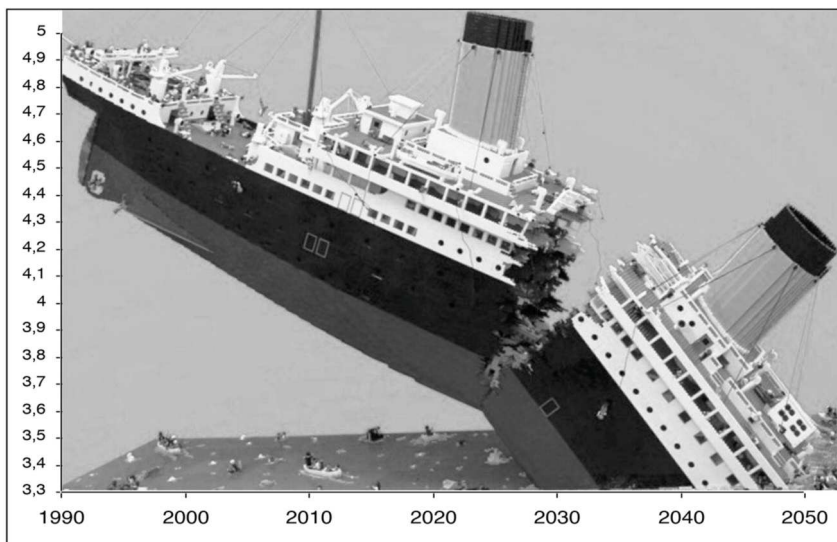
Śląskie miasta strasznie się wyludniają. Śródmieście Katowic ma już zaledwie połowę PRL-owskiej populacji. Temu akurat się nie dziwimy, bo pozbawione infrastruktury wyższych usług centra PRL-owskich miast były nadmiernie zagęszczone. Wszędzie na świecie obserwowaliśmy suburbanizację, gentryfikację dzielnic peryferyjnych i inne zjawiska, zachodzące z opóźnieniem w Polsce. W Katowicach był to proces konieczny, a towarzyszył mu znaczny przyrost liczby mieszkańców dzielnic, których nazwy same wyjaśniają, o co chodzi: Podlesie, Zarzecze i... Kostuchna. Dlaczego jednak pustoszeją wszystkie pozostałe dzielnice Katowic, Gliwic, Zabrze, nie mówiąc już o Bytomiu, Sosnowcu czy Żorach? Likwidacja miejsc pracy w przemyśle wszystkiego nie tłumaczy.

### Niemcy byli tu Gorolami

Przeprowadzki są statystycznie częste i konieczne. W PRL-u Górny Śląsk był magnesem, ściągającym młodych ludzi z całej Polski. W wiekach wcześniejszych przyjeżdżali tu Niemcy, Żydzi a nawet Flandryjczycy również dlatego, że była to kraina poniekąd mlekiem, miodem i żelazem płynąca. Tu mogli się dorabiać i robotnicy, i przemysłowcy, i bankierzy. Coś jednak takiego się stało, że śląski magnes przestał przyciągać. Przeciwnie. Odpycha najsukuczniej w całej Polsce. To właśnie nasz region notuje największy odpływ ludności, dodajmy – odpływ stały i niemający od trzech dekad!

Ekonomiczne składowe naszego magnesu są oczywiste. Jeżeli będą miejsca pracy i mieszkania – ludzie przyjadą (zwłaszcza z Ukrainy), a jeśli tego zabraknie – wyjadą. Co w takim razie wygania ludzi w sytuacji dzisiejszej, gdy mieszkania tysiącami stoją puste, a pracy za bardzo nie brakuje?

Czyż jednej ze składowych odpływu nie wzmaga przypadkiem śląska wojna na tożsamości? Nieustanne wypominanie obywatelom, którzy nie mieszkają tu od pokoleń, że są Gorolami, czyli Ślązakami drugiej kategorii, zakrawa czasem na kpinę, ale czyż nie wpływa to na pojedyncze decyzje? Tożsamość śląska może być atraktywna (przyciągająca) lub repulsywna (odpychająca). Jeszcze dziś możemy powiedzieć młodzieży z całej Polski: przyjeżdżajcie! Tu znajdziecie naukę, pracę, mieszkania, przyjazne otoczenie i dobry klimat do dalszego rozwoju. Jeżeli tego nie powiemy, jeżeli nie sprawimy, by tak było naprawdę – za jakiś czas pozostanie nam tylko... *Willkommenskultur*. ■



Liczba mieszkańców woj. śląskiego w latach 1990-2050

# Bogdan Topor: Wszystko to węgiel – Carbon is all

MARIA KORUSIEWICZ

W marcu w Sali Otwartej katowickiej Akademii Sztuk Pięknych miała miejsce wystawa podsumowująca 30-lecie pracy dydaktyczno-artystycznej w tejże instytucji grafika i rysownika, profesora Bogdana Topora. Artysta przedstawił swoje prace rysunkowe, graficzne oraz instalacje połączone z wykładami i warsztatami otwartymi dla studentów ASP oraz gości.

Bogdan Topor uzyskał dyplom na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (filia w Katowicach) w 1987 roku i od tego czasu prowadzi zajęcia w Pracowni Druku Wkleśłego oraz w autorskiej Pracowni Działań Rysunkowych w Katedrze Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. W 2005 roku otrzymał tytuł profesora sztuk plastycznych. Jego dorobek twórczy to kilkanaście wystaw indywidualnych oraz udział w ponad 60 wystawach zbiorowych w kraju i na świecie, które przyniosły mu wiele nagród, między innymi, Grand Prix Biennale „Wobec Wartości”, Katowice 1994, nominację do Grand Prix Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach 1997, brązowy medal Międzynarodowego Biennale Rysunku i Grafiki w Tajpej 2001, czy też II nagrodę w Konkursie Plastycznym „Misterium Cierpienia, Misterium Odkupienia”, Bielsko-Biała 2005. Topor był także stypendystą Ministra Kultury i Sztuki.

W swojej twórczości Topor zajmuje się równoległe rysunkiem i grafiką, traktując obie dyscypliny równorzędnie, jako autonomiczne formy wypowiedzi artystycznej. Od wielu lat z zaangażowaniem i wnikliwością realizuje dwa cykle, posługując się

różnymi mediami. Pierwszy z nich to Studium Ostatniej Wieczery, drugi – Studium Pejzażu.

Obydwa cykle powstają w nieustannym, wieloletnim procesie analizy, interpretacji i ostatecznie syntezy tematów, które jednocześnie są wizualizowanymi pojęciami, tworzącymi szeroką sieć konotacyjną rozpiętą między drobnymi zjawiskami i przedmiotami naszej codzienności, a doświadczeniem, którego istota i sens sięgają obszarów transcendencji. W ten sposób codzienność i sfera sacrum, jabłka i tajemnica Ostatniej Wieczery, otwierają przed odbiorcą, ale także przed Autorem przestrzeń jedności istnienia. Podobnie, prostota linii znaczących pejzaż i rozlegająca się pośród nich Platońska muzyka sfer znajdują swoją nieskończoność w kolekcjach ciemnych punktów gwiazd, zapelniających kolejne arkusze papieru. Nierówności gleby uwydatnione w szarych smugach ziemi rodzą Platońskie bryły; sześciąt, czworokątów, ośmiościan, dwunastościan i dwudziestościan, znaczą proces współprzenikania się świata Idei i niedoskonałego świata, w którym się poruszamy. Uniwersalizm pojęć ugina się pod subtelnym, lecz bardzo osobistym komentarzem Autora, jak chociażby w przypadku cyklu prac pokazujących królika i niepokojący cień śmierci.

We wszystkich przedstawionych na wystawie pracach świat pojęć w twórczości Topora podlega ciągłemu przetwarzaniu, podróż przez kolejne prace jest jednocześnie bardzo osobistym spotkaniem z indywidualnym doświadczeniem, ze śladem myśli, który skłania do refleksji i poszukiwań.

Wystawa, wzbogacona o wykłady i warsztaty miała jednak szerszy cel, niż tylko zaprezentowanie prac. Topor podjął się trudnego zadania przeanalizowania przekształceń pojęć, ich werbalizacji i ostatecznie – wizualizacji w procesie twórczym w odniesieniu do nauczania sztuki, przy całej specyfice tych działań. Rysunek, w tym ujęciu staje się nie tylko prostym odwzorowaniem, czy zapisem pomysłu, ale swoistym narzędziem badawczym oraz katalizatorem myśli wpływającym na re-definicję pojęć dzieła sztuki w odniesieniu do dotychczasowych podziałów na dyscypliny artystyczne. Wystawa uwzględnia więc proces twórczo-dydaktyczny, a w szczególności funkcję rysunku jako składnika tworzącego gramatykę sztuki.

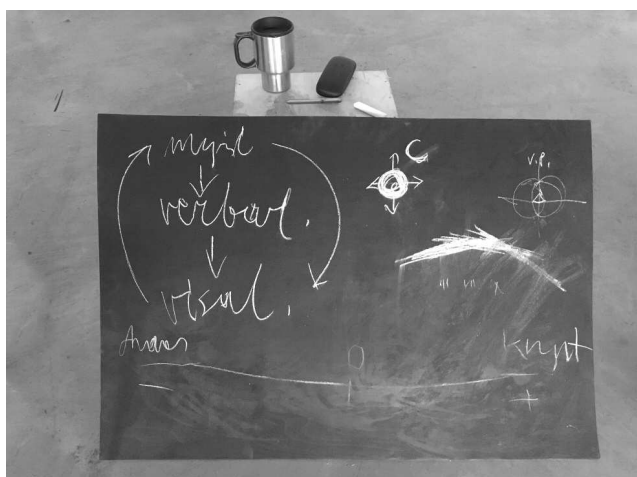
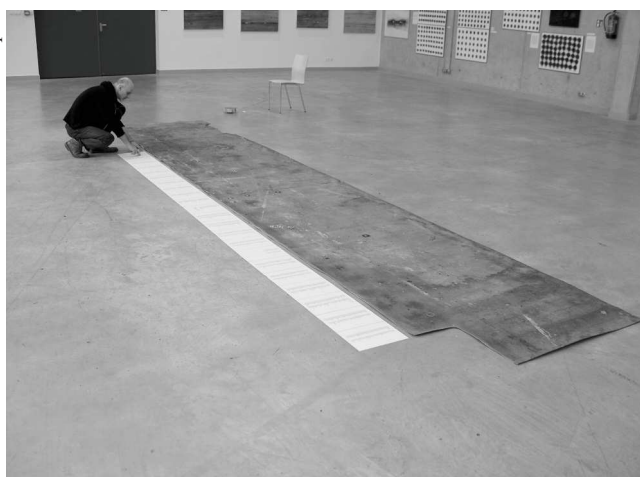
Artysta odnosi się do procesu nauczania jako metody opartej na ciągłej przemianie, na stawianiu za każdym razem na początku drogi – zgodnie z postulatami Josepha Beuyasa i jego teorią rzeźby społecznej, gdzie kształtowanie form myślowych i to, w jaki sposób przekładamy je na formy wizualne jest nie tylko teorią, ale metodą działania (nauczania).

W cyklu wykładów i warsztatów, Autor na przykładzie własnych realizacji uzmysławiał uczestnikom zróżnicowane role rysunku w procesie twórczym – od momentu tworzenia form myślowych poprzez proces przekształceń w formy plastyczne do momentu kształtowania i wyrażania ich w konkretnych realizacjach. Warunkiem pozytywnego procesu twórczo-pedagogicznego jest według Topora przede wszystkim współdziałanie i współodczuwanie.

„Wszelki odbiór artystyczny jest działaniem” – słowa Alberta Schweitzera, mówi Bogdan Topor, „doskonale to wyrażają. Nauczanie poprzez sztukę jest przenoszeniem estetycznych asocjacji myślowych. Im bardziej kompleksowo i intensywnie przejawiają się świadome i nieświadome wyobrażenia i myśli artysty w jego dziele, tym większe wywierają wrażenie. Ze względu na znaczenie rysunku w procesie twórczym, od momentu odtwarzania do samodzielnej kreacji, szczególnie ważne jest uświadomienie studentom jego roli w procesie dydaktycznym.

Proces dydaktyczny, z kolei, oparty jest na metodzie permanentnej analizy – korekty każdego etapu i krytycznej postawie wobec tego, co już zaistniało, Wystawa pokazuje więc projekty traktowane jako continuum, chociaż każdy jest oparty na indywidualnym wyborze technik, materiałów i sposobów realizacji – od ideowych zapisów rysunkowych poprzez obiekty i instalacje oraz kształtowanie przestrzeni”.

Fot. Jakub Topor



Fot. Maria Korusiewicz





Mijane w codziennym pędzie, zazwyczaj niezauważane w ulicznym zgiełku. Pokryte metaforycznym kurzem historii i zwykłym, realnym brudem, pozostawione przez kolejne pokolenia i epoki – napisy na murach domów tworzą istotny suplement historii, wiele mówiący o tożsamości śląskich i zagłębiowskich miast.

Skomplikowana tkanka wielkich aglomeracji, obejmująca zarówno budynki mieszkalne, jak i obiekty użyteczności publicznej, na przestrzeni lat poddawana była nie tylko trendom obowiązującym w architekturze – swoiste piętno na elewacjach kamienic odcisnęły historyczne epoki. Wybierając się na spacer ulicami każdego z większych ośrodków miejskich w naszym województwie, uważnie przyglądając się murom mijanych domów, zobaczyć można jak burzliwe czasy i okrutne nieraz ustroje polityczne starały się podporządkować sobie nie tylko mieszkańców, ale i przestrzeń publiczną.

To rozmaite napisy informacyjne, reklamowe slogany i hasła propagandowe, nieraz niczym upiory przeszłości wychodzące uparcie spod nowszych warstw farby i tynku. Im bardziej skomplikowana i burzliwa przeszłość miasta, tym więcej naściennych relikwów odnaleźć można na murach domów. Idealnym przykładem są miasta Górnego Śląska z Katowicami na czele. Rozwijające się dynamicznie pruskie miasto, jako stolica autonomicznego województwa śląskiego w II RP dalej przeżywało swój gospodarczy rozkwit, który wydawał się być niezależny od polityki czy przynależności państwowej regionu. Przemysłowa potęga miasta gwałtownie włączono w 1939 roku do III Rzeszy, podkreślana była nadal w hitlerowskich Niemczech, a później ponownie po 1945 roku w PRL. Dlatego w katowickiej aglomeracji, włączanej w dość krótkim okresie istnienia co rusz w struktury innego państwa i ustroju politycznego, pozostało tak wiele relikwów minionych, zwalczających się nawzajem systemów. Każda nowa władza chciała tu zaznaczyć swoje panowanie i zatrzeć ślady poprzedniego. Pomimo wytrwałości, z jaką każdy kolejny system usuwał napisy po poprzednim, historia miasta wciąż zapisana jest na katowickich murach, choć mało kto potrafi ją obecnie odczytać, a raczej odnaleźć.

Szczególnie ciekawe, zarówno ze względów estetycznych jak i obyczajowych, są komercyjne napisy związane z istnieniem dziesiątek prywatnych firm – punktów szewskich i krawieckich, warsztatów samochodowych, aptek, rozmaitych składów i sklepów, ale przede wszystkim szynków i knajp, oraz stojących wyżej w hierarchii ówczesnych lokali rozrywkowych – restauracji oraz hoteli, których istnienie wręcz wpisywało się w minionych epokach

# Przeszłość patrzy ze ścian

w swoistą obyczajowość miejskiego życia, gdy kultura „bywania” w miejscowych restauracjach czy barach różniła się nieco od obecnych czasów.

Na starych śląskich pocztówkach uwieczniono ulice z setkami szyldów, reklam i neonów. Napisy na światło dzienne wychodzą przypadkiem, podczas remontów elewacji lub w wyniku ich braku – gdy stary tynk odpada płatami ukazując stare murale. W Katowicach oraz w ościennych miastach na przestrzeni dekad dziesiątki tysięcy ludzi pracowało, robiło interesy i bawiło się. Wraz z rozwojem tutejszego przemysłu podnosiła się stopa życia mieszkańców, wzrastała też ilość miejsc, w których mogli oni wydać zarobione pieniądze. Na zmurzałych ścianach wciąż widnieją reklamy restauratorów i kupców, istniejąc jakby na przekór oczywistemu faktowi, że od dawna nie ma już nie tylko właścicieli tych lokali, ale i przybytki, do których zapra-

szają owe murale, dawno już przestały istnieć.

Komercyjne hasła kierują badaczy historii miejskiej przestrzeni w obszary rozrywki i konsumpcji, ale odnajdowane w podwórkach czy bramach stare napisy mają też swoje mroczne oblicze. Na elewacjach kamienic w samym centrum miasta można wciąż odnaleźć ponure ślady hitlerowskiej okupacji. Hitlerowska propaganda, podkreślająca przez cały okres wojny niemiecką przynależność Górnego Śląska, „uwolnionego” spod polskiej okupacji, nasyciła śląskie miasta różnego typu naścienną symboliką w znacznie większym stopniu niż miasta w głębi Niemiec. Relikty te, a raczej ich cienie, są wciąż zauważalne dla „detektywów historii”. Ich istnienie budzi jednak zrozumiałe dyлемaty.

Służby zajmujące się konserwacją zabytków podkreślają, że jeśli budynek jest zabytkiem objętym ochroną konser-



Mural z Pszczyny – polska reklama zakładu wyrobów skórzaných



Przy ul. Jordana 10 w Katowicach widać oznaczenie schronu w piwnicy domu mieszkalnego



W Katowicach przy ul. Lompy 18 zachowały się nie tylko oznaczenia LSR ale i pancerne drzwi w wyjściach ze schronu.

watorską, wówczas ochronie podlegają także historyczne napisy, które się na nim znajdują. Fachowcy od zabytków od razu dodają jednak, że przede wszystkim od wartości artystycznej i kontekstu historycznego zależy, czy dane napisy zasługują na ochronę i zachowanie. Wobec odnajdowanych masowo, niekompletnych napisów komercyjnych, zachowanych w postaci pojedynczych, trudnych już do odczytania wyrazów, lub wręcz sylab, o których pochodzeniu świadczy jedynie styl liternictwa, absurdem byłoby wdrażanie procedury mającej na celu ratowanie takich napisów. Tym bardziej więc, sporadycznie odnajdowane relikty z czasów okupacji, czasem z elementami hitlerowskiej symboliki nie są brane pod uwagę przez konserwatorów zabytków. Ponadto, z oczywistych względów, napisy takie byłyby niemożliwe do eksponowania w przestrzeni publicznej.

Pomimo to, murale z najbardziej ponurego okresu historii Katowic, są wciąż możliwe do odnalezienia. Na ul. PCK pod numerem 8, podczas okupacji mieściły się biura NSDAP. Umieszczony w dwóch wierszach, na elewacji drugiego i trzeciego piętra, napis „NSDAP. Kreisleitung. Amt für Volkswohlfahrt” skuto rzecz jasna zaraz po wyzwoleniu Katowic, ale ślady po śrubach mocujących litery są wciąż widoczne. W pierwszych dekadach PRL „odbicie” po napisie starano się zatrzeć poprzez zamalowanie go, ale wobec kiepskich rezultatów w końcu zaprzestano tych działań, a jasne pasy farby nakładające się na resztki hitlerowskiego sloganu same stały się pewnego rodzaju reliktem.

Inną tego typu pozostałość II wojny światowej wciąż zobaczyć można

na budynku obecnego Seminarium Duchownego przy ul. Wita Stwosza 17. Na wysokości trzeciego piętra znajdują się pozostałości po sporej wielkości hitlerowskim orle. Choć zostały już po nim tylko ślady po śrubach, które mocowały symbol hitlerowskiej armii do muru budynku, oko uważnego obserwatora bez trudu dostrzeże jego kształt. Pod nim, na także widocznych jeszcze hakach umieszczony był napis „Haus der Wehrmacht”. Jego część nadal jest możliwa do odczytania. W budynku tym mieściły się wojskowe biura i urzędy.

Wśród całej gamy okupacyjnych napisów osobną kategorię stanowią drogowskazy do schronów przeciwlotniczych. To popularny relikty czasów, gdy cały Górny Śląsk, nawet przez samych Niemców, określany był mianem „kuźni broni III Rzeszy”. Tutejsze kopalnie, huty i rozmaite inne zakłady, zaprzęgnięte w tryby hitlerowskiej machiny wojennej, narażały cały region na alianckie naloty. Świadome tego okupacyjne władze, wdrożyły zakrojony na wielką skalę program budowy schronów przeciwlotniczych dla ludności cywilnej. Zajmowała się tym hitlerowska obrona przeciwlotnicza – organizacja o nazwie Luftschutz.

Z racji zwartej i dość ciasnej zabudowy w centrach śląskich miast, nie było tutaj dostatecznie dużo miejsca, aby w wystarczającej ilości wybudować schrony przeciwlotnicze z prawdziwego zdarzenia. Wykorzystywano więc najsolidniejsze piwnice, wzmacniając betonem ich stropy i ściany, wyposażając ich pomieszczenia w pancerne drzwi, osadzone w solidnych ościeżnicach oraz montując systemy wentylacji. Ukrycia te otrzymywały też odpowiednie oznakowanie. Są to malowane

przez szablon lub odręcznie, białe strzałki z literami LR lub LSR, co stanowi skrót od niemieckiego Luftschutzraum, czyli „schron przeciwlotniczy”. W kilku miejscach (m.in. w dzielnicy Załęże) zachowały się rzadkie wersje tych napisów z pełną formą wyrażenia. Oznaczenia te wraz ze strzałkami spełniały dwie ważne funkcje. Podczas nalotu wskazywały ludności drogę do najbliższego schronienia, a w przypadku zburzenia budynku w następstwie trafienia bombą, ułatwiały ekipom ratunkowym dotarcie do osób uwięzionych w zasypanym pod gruzowiskiem schronie. Strzałka wskazywała, gdzie znajduje się wąż wyjścia ewakuacyjnego ze schronu.

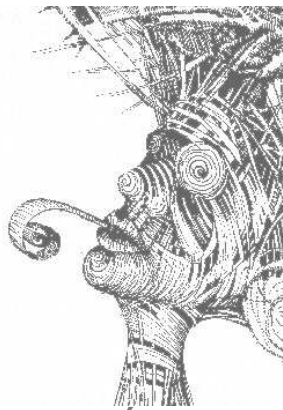
W pierwszych latach powojennych, wszechobecne na murach skróty LSR, przypominające czas hitlerowskich porządków, budziły irytację mieszkańców. Wiele z nich lokatorzy zacierali spon-tanicznie. O powszechności napisów związanych z niemiecką obroną przeciwlotniczą świadczy felieton z wiosny 1945, który ukazał się w „Dzienniku Zachodnim”. Autor, podpisany jako Niejaki X, daje upust swojej niechęci:

– (...) Jak się opędzić od tej zmyry? Którędy uciekać przed LSR? Gdzie się schronić przed LSR? Jak dać wyraz swojemu wrogiemu nastawieniu do LSR? Co zrobić, aby LSR przestało człowieka prześladować? Jak skończyć z LSR?

Nie ma rady. Żadnej. LSR króluje, LSR panuje, LSR szczyrzy swoje zęby i drwi z nas. Kpi w żywe oczy. Naigrywa się. (...)”

Dziś, po wielu dekadach, istniejące wciąż strzałki LSR nie budzą już tak skrajnych emocji – zdecydowana większość mieszkańców nawet nie zna ich znaczenia, i przez ogół pozostają one praktycznie niezauważone, natomiast dla poszukiwaczy historycznych reliktyw na śląskich ulicach, odkrycie każdego kolejnego napisu tego typu stanowi powód do radości.

Choć większość okupacyjnych napisów w Katowicach została zatarta w pierwszych dekadach powojennych, drogowskazy w postaci napisów LSR i strzałek można znaleźć obecnie m.in. pod adresami: Andrzejka 13, Bończyka 2, Brynowska 65, Damrota 22, Dąbrowskiego 24, Drzymały 10, Gliwicka 100, Jagiellońska 28, Janasa 1, Jordana 10, Józefowska 87, Korczaka 37, Korfante-go 58, 133 i 134, Kozielska 1, Ligon-ia 10, Lisa 3, Lompy 7, 18, 20 i 22, Lwowska 8, Markieffy 82, Narcyzów 2, Powstańców 24, Reymonta 22, Rybnicka 7, Skłodowskiej Curie 15, Stal-macha 26, Staszica 2, Ślusarska 5, Św. Jac-ka 11, Wajdy 1, Wita Stwosza 9, Wojewódzka 31, Wolskiego 3, Wróblew-skiego 43, Zarębskiego 8 i 1 Maja 6.



ŚLĄSKA  
OJCZYZNA  
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

# Spozierająca szwarna dziółcha

Wznanym przeboju Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” – wylansowanym przez Józefa Leddeckiego ponad 60 lat temu – autor muzyki i tekstu Stanisław Hadyna stworzył taki początkowy fragment: „Idzie stary dziadek, kijem się podpiera, za nim szwarna dziółcha na niego spoziera”. W drugiej zwrotce „szwarna dziółcha na niego (czyli na dziadka) spogląda”. Czasownik *spoglądać* znajduje się w powszechnym obiegu komunikacyjnym, *spozierać* natomiast to forma coraz rzadsza, rejestrowana wprawdzie przez współczesne słowniki, ale już z kwalifikatorem dawności, archaiczności. Dlatego warto się zająć jej morfologiczną ewolucją.

Dzieje rodziny wyrazowej, do której należy czasownik *spozierać*, wywodzić należy od prymamej prasłowiańskiej formy *zreti* „patrzeć, spoglądać, widzieć” i jej polskich kontynuantów *źreć, źrzeć*. Od nich powstały postacie *doźrzeć, uźreć, uźrzeć, poźrzeć*. Czytamy w tekstach staropolskich: „Morze uźrzało jest” (*Psalterz floriański* z XIV/XV w.), „A uźrzał Bóg światłość, iż jest dobra” (*Biblia królowej Zofii* z r. 1455), „Jestli kiedy uźrzesz, iż człowiek mały będzie pokornym” (Andrzej Glaber z Kobylina ok. 1502-ok. 1548), „Ale ani tam poźrza” (Mikołaj Rej 1505-1569), „Żałobliwie na mię poźrzał” (Marcin Siennik XVI w.).

Obok form dokonanych *poźrzeć, spoźrzeć* w XVI stuleciu powstały warianty niedokonane, częstotliwe *pozierać, spozierać*, które przekształciły się w późniejsze brzmienia *pozierać, spozierać* – tak jak we wszystkich wyrazach z pierwotnymi połączeniami „ir”, „irz” doszło do ich zmiany

na „er”, „erz”: *śmirć, wirzch, wirzba, cirpieć, sirce* (z dawniejszego *sirdce*) to dzisiejsze *śmierć, wierzch, wierzba, cierpieć, serce*.

Czasowniki *pozierać, spozierać* zachowały taki swój kształt fonetyczny, seria *doźrzeć, uźreć, spoźrzeć* natomiast ostatecznie utrwaliła się w naszym języku z brzmieniami z wtórnym „j”: *dojrzyć, ujrzyć, spojrzeć*.

Do tych form wdzierała się też w przeszłości spółgłoska „d”: „Gdy pozdrzy na nogi” – pisał np. Mikołaj Rej. Utrzymała się ona w wariantywnych brzmieniach śląskiego lustra, czyli *źradła, źradła*, takich jak *zdradło, źradło, źradło*.

Czas teraz na *szwarną dziółchę*, czyli „ładną, piękną, zalotną dziewczynę”. Przymiotnik *szwarny* – odnoszący się do obu płci – to jedno z najpopularniejszych określeń w gwarach śląskich: *szwarne dziółszki sam prziszły*, „napotkała myśliweczka bardzo szwarnego” (ze znanej piosenki ludowej „Szła dziewczeczka do laseczka”), „sóm tu sami szwarni chłopcy, ale ich niywiele” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: *Mały słownik gwary Górnej Śląska*, Katowice 2000, s. 255). Pisał o nim Aleksander Brueckner w swym *Słowniku etymologicznym języka polskiego* z roku 1927: „Pożyczką czeską trąci; czes. *neszwara* »brud«, *szwar* »czystość«”.

Nie tylko trąci, ale na pewno nią jest – dodajmy od razu. Mój zaolziański przyjaciel prof. Daniel Kadłubiec, tak jak Stanisław Hadyna urodzony w Karpętnej, mówi mi, że przymiotnik *szwarny* we współczesnej czeszczyźnie ma odcień książkowy i regio-

nalny – częściej jest spotykany na Morawach, skąd na pewno przed wiekami zawędrował do śląskich gwar (spotyka się też u naszych południowych sąsiadów nazwisko Szvarny).

Prof. Kadłubiec trafnie zauważa, że w dialekcie śląskim (zwłaszcza w jego gwarach południowych) używa się również konstrukcji typu *móm doma szwarny kónsek miynsa na obiod, móm jeszcze szwarny kónsek cesty przed sobóm*, porównywalnych do obecnych w polszczyźnie ogólnej wypowiedzi typu *mam ładny kawał (ek) drogi przed sobą*, w których forma *szwarny* znaczy tyle, co „ładny (ale nie w sensie związanym z urodą kobiety czy mężczyzny), znaczny”. Czesi w takim znaczeniu przymiotnika *szwarny* nie używają – w ich języku to tylko „ktoś ładny, piękny, elegancki, przystojny”.

Cytowany wyżej *Mały słownik gwary Górnej Śląska* – dopowiedzmy – rejestruje też przysłówek *szwarnie* – „dobrze, ładnie”: *szwarnie wyglóndocie, szwarnie nóm poszło na tym kónkursie*.

Obok przymiotnika *szwarny* pojawiło się w dzisiejszym odcinku jeszcze jedno słowo wzięte z czeszczyzny, powszechnie używane na południowym Śląsku, a mianowicie *cesta* „droga”.

Skoro zaś parę akapitów wyżej przedstawiłem ewolucję brzmieniową *serca*, to mogę na zakończenie dzisiejszego odcinka także powiedzieć, że jego fonetyczna modyfikacja polegająca na zamienieniu brzmienia *sierce* na *serce* też się dokonała pod wpływem języka naszych południowych sąsiadów.

## Konkurs Patri Patriae – rozstrzygnięty

Z końcem lutego odbyło się posiedzenie jury konkursu kompozytorskiego dla młodych twórców, zorganizowanego przez katowicki Zespół Szkół Muzycznych im. K. Szymanowskiego – po raz trzeci w wersji międzynarodowej. Konkurs jest dedykowany pamięci św. Jana Pawła II, a odbywa się regularnie od 1992 roku, dzięki konsekwentnym i skutecznym zabiegom prof. Felicji Bieganek, pomysłodawczyni imprezy. Dotychczasowy dorobek konkursu – nagrodzone utwory, z których wiele doczekało się publicznego prawykonania na towarzyszących konkursowi koncertach laureatów, jest znaczący nie tylko w sensie ilościowym. Z przechowywanych w archiwum Zespołu Szkół im. K. Szymanowskiego partytur nadesłanych przez uczestników można się wiele dowiedzieć na temat umiejętności najmłodszych adeptów sztuki kompozytorskiej i ogólniej – sposobie odbierania przez nich tego, co się dzieje aktualnie w muzyce współczesnej. W przypadku polskich uczestników uderza chęć wpisania się w rzeczywistość nowej muzyki polskiej. Najczęstsze inspiracje to stosunkowo łatwy do naśladowania styl wypowiedziany się Henryka Mikołaja Góreckiego i Wojciecha Kilara, ale także trudna sztuka Witolda Lutosławskiego. Rzecz jasna, inny jest poziom świadomości i warsztatu najmłodszych uczestników – uczniów średnich szkół muzycznych, inny zaś studentów i absolwentów wyższych szkół. W tej ostatniej grupie od lat przeważa (o dziwo) nastawienie awangardowe. Starsi uczestnicy sięgają chętnie po nowatorskie środki brzmieniowe, stosują oryginalne systemy zapisu muzyki, obmyślają własne systemy dźwiękowe. W obu grupach daje się zauważyć pewną prawidłowość, łatwą zresztą do przewidzenia – największą sprawność warsztatową i inwencję widać tam, gdzie autor pisze na instrument, który opanował. Dotychczasowe edycje konkursu Patri Patriae upoważniają też do wyciągnięcia pewnych wniosków na temat geografii szkół, z których pochodzą laureaci. Od początku potężną reprezentację miały zarówno w grupie uczestników, jak i laureatów, szkoły katowickie i krakowskie. Tę prawidłowość potwierdzają wyniki tegorocznego konkursu. Wśród laureatów nagród są uczniowie średnich szkół muzycznych w Katowicach, Bytomiu i Krakowie oraz studenci bądź doktoranci Akademii Muzycznych w Katowicach i Krakowie, w tym jeden student z Korei Południo-

## Między nutami



MAGDALENA DZIADEK

wej. W kwietniu nagrodzone utwory zabrzmiały w Sali Koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych im. K. Szymanowskiego w Katowicach, wtedy też zostaną wręczone nagrody: statuetki Liry oraz nagrody dodatkowe, ufundowane m.in. przez czołowe instytucje muzyczne Katowic: Filharmonię Śląską, Instytucję „Silesia”, Orkiestrę Muzyki Nowej, Fundację „Młoda Muzyka Śląska”.

### Heroiny!

Nakładem Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” ukazała się przed kilkoma tygodniami cenna książka autorstwa Alana Misiewicza, zawierająca wywiady przeprowadzone z ludźmi Opery Śląskiej – nie tylko primadonami i nie tylko kobietami, co sugeruje tytuł *Heroiny!* (dalej jest podtytuł: *Rozmowy o operze, ludziach i życiu*). Autor rozmawiał z czternastoma osobami w różny sposób związanymi z bytomską sceną. Wśród obecnych bądź byłych solistów znaleźli się Janusz Wenz, Wiesław Ochman, Bolesław Pawlus, Henryk Grychnik i Romuald Tesarowicz. O swoim ojcu opowiedziała Magda Hiolski. Następnie idą wywiady z dyrygentami: Tadeuszem Serafinem i Krzysztofem Dziewieckim, choreografami i tancerzami: Henrykiem Konwińskim, Aleksandrą Kozimałą-Kliś i Elżbietą Rynwid-Mickiewicz, pracownicami administracji Beatrycze Widerą i Marianną Mirochą oraz krytykiem muzycznym Markiem Brzeźniakiem. Publikację poprzedza wstęp autorstwa Jacka Marczyńskiego, w którym czytamy, iż „pozwala [ona] zrozumieć ów fenomen Opery Śląskiej, która dla wielu najwybitniejszych artystów była najważniejszym miejscem na ziemi”. Z wy-

wiadów jasno wynika, że bytomska scena była dla zatrudnionych tam osób miejscem pracy i zarazem domem. Rozmawiając z przedstawicielami kilku pokoleń ludzi związanych z operą, Alan Misiewicz zdołał odtworzyć frapujące dzieje poszczególnych „zadomowień”, poczynając od egzotycznych czasów tuż-powojennych, kiedy w Bytomiu stał się zespół Opery Lwowskiej i rozpoczął działalność w spartańskich warunkach, poprzez lata PRL-u, kiedy wielu wybitnych artystów stanęło przed dylematem: praca w kraju czy na emigracji, do ostatnich dekad, które przyniosły nowe wyzwania, ale i nowe trudności. O tym, że współpracownicy Opery Śląskiej tworzyli istotnie dom, świadczy obecność stałych wątków, przewijających się przez poszczególne wywiady. Wątek szczególnie nośny – to Lwów, przeniesione do „poniemieckiego” Bytomia tamtejsze tradycje i klimat. Wątek kolejny dotyczy realiów życia w PRL-u, zapamiętanych przez artystów szczegółów dotyczących dnia codziennego, przyjaźni, życia towarzyskiego, celebracji teatralnych uroczystości. W tle jest trochę polityki: znanych skądinąd historii z wyjazdami zagranicznymi, otrzymywaniem bądź nieotrzymywaniem paszportów, działalnością cenzury itp., od czasu do czasu ktoś porusza też wątek finansów. Z powodu upływu czasu czy też nastawienia „wywiadowego” rozmówców stosunki z władzami PRL zostały otoczone obłoczkami sentymentu; dużo się wspomina o rzeczach pozytywnych: gestach hojności, pomocy, życzliwości. Opera Śląska jest postrzegana przez rozmówców Misiewicza w szerszej perspektywie polskiego i zagranicznego życia muzycznego. Niezmiennie jednak porównania wypadają na korzyść bytomskiej placówki, jeśli chodzi o kwestie podstawowe: stosunki międzyludzkie, styl życia, poziom ogólnej kultury. Przeprowadzając wywiady, Alan Misiewicz zdołał wydobyć od osób, z którymi rozmawiał, wiele informacji dotyczących historii Opery Śląskiej i całego regionu, ale także wiele prywatnych zwierzeń, które tę historię ocieplają i dodatkowo uwiarygodniają. Rozmowy są żywe, bezpośrednie, autentyczne – niekiedy „aż do bólu”. Z jednej strony wieje smutkiem, tęsknotą za dawniejszymi czasami, za tym, co już tylko „było”. Upływ czasu dotyka szczególnie dotkliwie artystów sceny, których ulotna sztuka rozgrywa się w kategorii „teraz”. Coś z owego „teraz” udało się jednak Misiewiczowi utrwalić w *Heroinach!*. Jest to wielka zaleta tej książki. ■

Zresztą, być może, nie chodzi wcale o dogrywkę, lecz o dobieg liryczny – o prawo do wiersza u kresu biegu sensów umownych, schematycznych i banalnych. Marian Grześczak w zbiorze o tytule *Nike niosąca blask* – ogłoszonym w 2008 roku – opowiedział mową odrębną to wszystko, co właściwie wielokrotnie zostało już oznajmione, co znane było od wieków i co się po dziś dzień oznajmia tak samo. Ale uczynił to tak, jakby dzielił się nie tyle odkryciem jakiejś szczególnej właściwości gry sportowej, ile jej – bardzo ludzką – samoświadomością.

Rzemiosło poetyckie jest z natury wieloznaczne, różnokierunkowe, zmienne i nieprzesądzone. W pisaniu, jak w sporcie, bywa inaczej niż się oczekuje, a znaki na skrzyżowaniu bieżni ustawiono ludziom do góry nogami – i widzą siebie samych w odwróconym twarzą zwierciadle: „Gdyby złapać poezję za sport, / albo sport przebrać za poezję, / wypłynęłyby prawda, / że najdłuższe poematy wydeptali – // ani Homer, ani Dante, ani Słowacki // ale Robert Korzeniowski (...) / Grek Spirydion Louis (...) / Emil Zatopek (...) / Alain Mimoun (...) / Mamo Wolde (...)”. Kolejne potencjalne poematy to kilometry i mile „do wydeptania” i wybiegania, do przebolenia i przetrwania z mozołem – jakby przyszło odkrywać naturę najważniejszych rzeczy albo tych rzeczy podszywkę. W tym samym wierszu – *Pelicano* – odnajdziemy wyznaczenie, że „Przewrócona poezja jest prosta jak myślność”, a więc w konsekwencji oczekujemy na liryczne notowanie, które będzie roztropnie zmierzać do celu, oczekujemy na „Rzut oszczepopisem”. Oczywiście, pamiętając, że nie każdemu jest dane rzucić długopisem równie daleko, jak „Wisławie Szymborskiej, mistrzyni świata w Noblu, 1996”.

W wielu wypadkach dzieła poety i osiągnięcia sportowca zbliża szczególna niepewność, którą trudniej dostrzec w twórczości kolejarza, policjanta lub pielęgniarki. Czynności literackie i sportowe to niejednokrotnie, w porównaniu z innymi aktywnościami, fraszka. Zapewne więc nieraz zdarzało się, że wyuczony intelekt – podobnie jak miłośnicy piłki kopanej z Huraganu Kobyłka i Tajfunu Żabki – „Walczyl tak zawzięcie, / że oklaskom / nie było początku”.

Na stadionach lub w zakrytych dachem halach, podobnie jak w czytelnich i bibliotekach, komizm wynika z niedostatku lub załamania – powiedzmy – formy. Wówczas kuli, sprzętowi, rekwizytowi miotacza, nieobca musi być „pogodna skarga”: „Tak się dokładnie wytatlałam w talku. / Tak się wdłoniłam”. I wszystko na nic: „Kula mać”. Dla równowagi, przygody skakania na nartach dobrze doprawić ironią, przypominając fortunę Wojtka Fortuny: „Tylko raz wyściubić nosa, / lecz od razu pod niebiosą”. We wspomnieniu maratończyka z Etiopii warto sparafrazować popular-

# Dogrywka liryczna

RYSZARD JASNORZEWSKI

ne porzekadło ludzkości: „Nic, co bose, nie było mu obce”. Można ponadto rytmicznie rymować („O podium otarte, / nic niewarte / miejsce czwarte”) albo – w ślad za monologiem wewnętrznym niejakiego „Boksołoty” – ponuro rapować („Ja, go, go, go, go. / On, / gong”). Koloseum kibiców objawia się jako „Kiboleum”, a co niektórzy komentatorzy zawodów o mistrzostwo globu bądź powiatu zasługują na status „Gazetonów”.

Prześmiewczych wariantów sportu jest chyba tyle, ile jego możliwych odmian. Grześczak z talentem wyluskał satyryczne konteksty jednej z ważniejszych gałęzi człowieczej rozrywki, ale także, z odpowiednią czujnością, w wielu utworach wyraził sprawiedliwość dramatowi wpisaniem w rywalizację sportową: „Pomyślcie czasem o tych, którzy przegrali. / Bo kiedy jedni się cieszą, / drudzy stoją plecami do światła. // Nikt nie chce być pierwszy lepszy”.

Kolarz o niewygórowanych umiejętnościach, bohater jednego z opowiadań Oty Pavla, przyjeżdża na metę już późnym wieczorem, w wiele godzin po innych zawodnikach. Ale publiczność czeka cierpliwie, nagradza ostatniego, nagradza przegranego, brawami. Po prawdziwie to opowiadanie fantastyczne, bo nikt nie chce wyróżniać się klęską, jednych od drugich odróżnia wyłącznie złoty medal i flaga – na szczycie masztu, u szczytu przebytej drogi. Realny świat wskazuje tych, którzy staną w świetle, w błyskach fleszy, i bez rozterek rozdaje nominację przegranym – nawet jeżeli skulili się w sobie, zamieszkali na stałe w szarości lub próbowali uciec do gęstej ciemności. Przegrana w sporcie i życiu uchodzi za przygodę etyczną, ale mierzy się ją dzisiaj jednostkami nietypowymi i dziwnymi. Gra człowieka o siebie jest nie tylko przewrotna, ale również okrutna: „Oto szykują się do dekoracji: / trąbki, maszty, flagi, medale. / Za chwilę zostaniesz im wręczony”. Tak naprawdę w rywalizacji z egzystencją nie ma wygra-

nych. W biegu ku życiu i przez życie – do ostatniej mety – „Stoją przed tobą twarz w twarz: / twój nieskończenie długi strach przed klęską, / twoja nieskończenie krótka radość chwały”.

Niewinne kłamstwo sportu zyskuje w transkrypcji na poezję niepowtarzalną urodę. Robert Korzeniowski jako bohater liryczny „bierze Anioła Stróża na barana”. Wszystko dlatego, że aniołki, delegowane do pomocy mistrzowi olimpijskiemu, nie dają rady i „nie ma w niebie nikogo / zdatnego (...) do chodu”. W innym wierszu, w równie magicznej rzeczywistości: „Piękno odnoś wrazenie, / że na koncercie koszykówki, / w wykonaniu Dream Teamu, / lata z dłoni do dłoni / dziesięć piłek”. Gotowi jesteśmy nawet uwierzyć, że „Sarajewski stadion / wypełniają cierpliwe duchy, / gotowe wplatać białą pieśń / do czarnego warkocza, spiętego pięciokolorową kokardką / kół olimpijskich”.

A gdzieś bliżej „Chłopcy z podwórka Polski” dostali w kość od losu. Niektórzy z nich nie nadążyli za liderami, życie ich zdublowało, drudzy pomylili drużyny i pozycje na boisku, byli ponadto tacy, którzy zbyt wysoko ustawili sobie poprzeczkę albo nie wymierzili za dokładnie rozbiegu, a „Jeszcze inni po prostu / nie mieli wiatru w skrzydła, / więc przydeptują ziemię, / z nogi na nogę, / z nogi na nogę, / zawstydzeni”.

Może jednak mimo wszystko sport uczy ładnie i elegancko przegrywać, a historia narodów jest mniej złowieszcza, gdy staje się historią stadionów. I pewno mity lepiej wychodzą na swoje, gdy „chłopcy z całej Iliady” maszerują karnie na szkolne boisko, a nie pod mury Troi. Prawdopodobnie ludzie nie są wcale źli, a wojny zdarzają się jedynie podczas długiej pauzy pomiędzy igrzyskami. I niejednym z nas chciałoby powtarzać, nocą bezsennością, za Fidaszem z wiersza Grześczaka: „Zaraz jutrznia wstanie. / Biegacze zaczynają rozgrzewkę”.



# Profesor Ewa Jaskółowa

MARIAN KISIEL

Dorobek naukowy Ewy Jaskółowej tworzą książki, rozprawy i szkice z zakresu literaturoznawstwa polonistycznego (głównie: literaturoznawczej interpretacji) oraz teorii i praktyki dydaktycznej. Są to terytoria wiedzy wzajemnie się dopełniające, a nie wykluczające. Uczona – wierna blisko siedemdziesięcioletnim tradycjom śląskiej polonistyki – od samego początku swojej naukowej kariery wiązała z sobą doświadczenia metodologiczne i metodyczne. Jedne bez drugich nie mogą się obyć. Tylko zaznaczenie własnego miejsca w obrębie literaturoznawstwa może dobrze skutkować na proces metodyczny. Na Górnym Śląsku ta dyrektywa dobrze skutkuje od lat.

Pierwszą pracę ogłosiła w roku 1976, ale dopiero od momentu podjęcia przez nią pracy w Uniwersytecie Śląskim, tj. od roku 1982, daje się zauważyć jej re-

gularną obecność w czasopiśmie i tomach zbiorowych. A jest to obecność imponująca. Ewa Jaskółowa jest dzisiaj autorką kilku książek, a także kilkudziesięciu oryginalnych rozpraw i szkiców mniejszych. Rzadko zdarza się, by uczestnicząc w życiu uniwersyteckim, tak wyraźnie zaznaczyć się w świadomości polonistycznej. Bez cienia przesady można też powiedzieć, że Ewa Jaskółowa należy dzisiaj do ścisłego grona wybitnych dydaktyków i znakomych interpretatorów liryki polskiej XX wieku.

Doktorską dysertację poświęciła poezji Stanisława Balińskiego (*Poetyckie podróże Stanisława Balińskiego*, 1988). Po raz pierwszy w krajowej historiografii literackiej przywrócono honor wybitnemu poecie międzywojennemu i emigracyjnemu, „ostatniemu ze Skamandrytów”,

który – mimo upływu lat od jego śmierci – wciąż dobiega się do świadomości współczesnych. Do dzisiaj jest to bodaj jedyna praca o tym twórcy, dodajmy: znakomicie syntetyzująca jego dorobek. Autorka wiele uwagi poświęca motywowi podróży w liryce Balińskiego, łącząc go z różnymi tropami romantycznymi. Zauważa wszakże, że ów romantyczny ślad nie jest tutaj wcale jednoznaczny. Zwłaszcza w tomikach wojennych, gdzie między samoświadomością polskości a wyobcowaniem, między pamięcią tradycji a nacierającymi zewsząd znakami inności, podmiot wierszy Balińskiego odczuwa swoją sobowtórność, jest rozdwojony między pragnieniem i koniecznością, między światem własnego „ja” i historią. Kapitalny wręcz i brawurowy interpretacyjnie jest ten fragment książki, który pokazuje emigrancki status podmiotu. Obczyzna determinuje zajęcie postawy, jakiej nie spodziewa się człowiek, który nie doświadczył straty. Odbywa podróże w sen i przeszłość. Nawiazuje kontakt z rzeczywistością, jaką utracił kiedyś, a jaka *in illo temporis* wydawała mu się mało ciekawa. Podróże Balińskiego są więc stałą ucieczką: najpierw w **nieznane** (bo niedoświadczone), a następnie w **znane** (i już nigdy nie dostępne tajemnicy).

Książka *Od poezji kosmosu do poezji czasu. Studium o twórczości Stanisława Ciesielczuka* (1997) traktowała o dziele słabo znanego poety, kojarzonego z grupą Kwadrygi. Badaczka znów wybrała do swojej analizy postać funkcjonującą marginalnie na kartach polskiej poezji, jakkolwiek w owej **decyzji wyboru** nie należy dopatrywać się jakiegś idei przewodniej całego postępowania naukowego Kandydatki. Gdyby sensem monografii było tylko przywrócenie miejsca twórcy w porządku historii literatury XX wieku, pewnie trud byłby nazbyt wielki do osiągniętych wyników. W studium Ewy Jaskóły rzecz ma się jednak inaczej. Pokazując zakorzenienie liryki Ciesielczuka w tematach, motywach i rozwiązaniach Młodej Polski, zbliżając tę lirykę do doświadczeń skamandryckich, badaczka pokazuje, jak wiersze autora *Teatru natury* zmagają się z przyzwyczajeniami paseizmu i otwierają na utopię nowatorstwa. Wręcz przebojowo zostało to pokazane w porządku interpretacji. Świetnie wyzyskując osiągnięcia krytyki tematycznej, mitograficznej i – szeroko rozumianej – hermeneutyki, Ewa Jaskółowa podjęła w swojej monografii takie m.in. kwestie, jak: mitologia agrarno-wegetacyjna, cykliczność i linearność czasu, jedność kosmobiologiczna, archetypy chaty i domu, symbolika drzewa, kreacyjna moc słowa. Chciałoby się powiedzieć, że zaproponowany przez badaczkę (i podkreślmy: niebywale konsekwentny) tryb interpretacji dowartościował wiersze Ciesielczuka, tym bardziej gdy skojarzyć je z – głęboko zanalizowanymi w pracy – utworami Cypriana Kamila Norwida, Knuta Hamsuna i Bolesława Leśmiana



na. Nie na proporcje jednak warto tutaj zwrócić uwagę, ale na to, że inaczej przedstawiałaby się nasza wiedza o poetach i satelitach Kwadrygi, gdyby w tak **nowoczesny** sposób poddać refleksji ich dorobek. *Od poezji kosmosu do poezji czasu* jest na tym tle nie tylko ważną monografią pojedynczego losu pisarskiego, lecz także dobrą podpowiedzią metodologiczną dla przyszłych zadań badawczych.

Trzecia książka Ewy Jaskóły *Od „Bogurodzicy” do poezji Szymborskiej* (2001) miała charakter popularnonaukowej syntezy. Wydana w dobrze przyjętej serii wydawnictwa ExLibris, pokazywała badaczkę nie tylko jako interpretatorkę liryki, ale także jako kompetentną i uwzględniającą reguły historycznoliterackiego wykładu znawczynię reguł procesu literackiego, zastosowanego dla czytelnika niekoniecznie dobrze orientującego się w losach polskiej literatury (uczeń, student, miłośnik literatury). To, jako się rzekło, synteza popularna, lecz o wysokim stopniu edukacyjnej misji przybliżania narodowego dziedzictwa.

Czwarta książka Ewy Jaskóły nosi tytuł *Kto to był? Zona Lota w poezji polskiej XX wieku, czyli rozbijanie stereotypu* (2006). W istocie swojej jest to – poprzedzony wnikliwym wprowadzeniem kulturologicznym – zbiór interpretacji wierszy poetów polskich XX wieku, którzy uczynili tytułową, bezimienną „zonę Lota” bohaterką swojej kreacji. Badaczka, wierna postulatowi „szkoły interpretacji”, łączy je z doświadczeniami strukturalizmu i – wyrosłej z osiągnięć psychoanalizy i egzystencjalizmu – krytyki tematycznej. Ten splot metodologicznych szwów prowadzi ją ku hermeneutyce, tj. ku takiej koncepcji analizy tekstu i interpretacji jego znaczeń symbolicznych, która szczególnie wyraźnie ujawnia się nie tylko w **lekturze rozumiejącej**, ale także ma zasadniczy wpływ na **metodykę lektury**. W odniesieniu do Ewy Jaskółowej ten aspekt powiązań literaturoznawczych wydaje się niezwykle ważny.

*Kto to był? Zona Lota w poezji polskiej XX wieku...* jest zbiorem interpretacji utworów ośmiu poetów: Beaty Obertyńskiej, Wisławy Szymborskiej, Józefa Łobodowskiego, Joanny Kulmowej, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Tadeusza Nowaka, Wacława Oszejcy i Janusza St. Pasierba. Granice interpretacji wyznacza w postępowaniu badawczym sam **tekst**, a nie jego obrzeża czy kontekst, w jaki się on wpasowuje lub w jakim go możemy umieścić. Często-kroć **pretekstowe** odczytywanie znaczeń wiersza (tworu przeciwieście delikatnego) prowadzi czytelnika na manowce. Badaczka pokazuje zawodność tego typu lektury w znakomitej polemice z Clare Cavanagh, zdumiewająco nietrafnie próbującej odczytać wiersze Anny Achmatowej i Wisławy Szymborskiej w kontekście politycznym.

W swojej książce śląska uczona perfekcyjnie „deszyfruje” podstawowe zna-

czenia wiersza, umieszcza je w bogatym otoczu kulturowym, nie boi się przywoływać na świadków głoszonej tezy ważnych tekstów kultury i koncepcji filozoficznych. Za główne przesłanie metodyczne lektury można uznać przytoczone przez nią zdanie Umberta Eco: „mogę odczytać tekst jako inspirację dla prywatnych rozmyślań, lecz jeśli chcę zinterpretować tekst (jakikolwiek), muszę uszanować zaplecze kulturowe i językowe wiersza” (s. 59).

Profesor Jaskółowa – jako hermeneutka – porusza się po obszarach filozofii i kultury z wielką pewnością. Inaczej być nie może, bowiem – zgodnie ze znaną dyrektywą – hermeneutą jest tylko ten, kto umiejętnie uczy czytać innych. Dyrektywa ta przyświeca również dzisiejszym dydaktykom literatury, którzy kształtując postawy ludzi młodych, nie mogą korzystać z wzorów zaprzyszłych, lecz zobowiązani są do bezustannego dialogu z **tekstami słowa zapisanego i tekstami życia**.

Fortunny – moim zdaniem – był wybór idei książki. Tematyczna interpretacja motywów literackich, które do tej pory traktowane były jako pomocniczy kontekst, a w istocie rzeczy są samodzielnie głosami w szerszej pojętej dyskursie kulturoznawczym czy antropologicznym, jest bowiem fascynująca poznawczo. Pomysł badawczy Ewy Jaskółowej należy docenić bardziej niż on sam został przez Autorkę książki wyeksponowany. Pytanie o to, dlaczego poeci wybierają dla swojej kreacji określone motywy i co z nimi robią – jest jedną z największych zagadek. Inwentaryzacja motywów jest tutaj sprawą wtórną, ważniejsza jest inteligentna próba wyjaśnienia zamysłu i celu pisarskiego. Sądzę, że omawiana książka może stać się dobrym początkiem takich studiów.

O ile pokrótce tutaj omówione studia Ewy Jaskółowej z zakresu literaturoznawstwa miały charakter w znacznej mierze interpretacyjny, to cztery inne – napisane wspólnie z Anną Opaczką – pozycje książkowe Kandydatki sytuują się **na pograniczu** interpretacji literaturoznawczej i dydaktyki literatury. Wedle mojego najgłębszego przekonania, są to pozycje świetnie stawiające granicę między interpretacją *sensu stricto* a metodyczną podpowiedzią. Ten aspekt współzależności widać zwłaszcza w dwóch tomach o prądach i konwencjach w polskiej literaturze (*Prądy i konwencje w poezji*, 1995; *Prądy i konwencje w prozie*, 1995), które chyba zbyt skromnie zostały zaopatrzone w podtytuł *Konspekty lekcji dla szkół średnich*. Książki te znacznie wykraczają poza użytkowy charakter materiałów pomocniczych, bardzo wyraźnie proponując konkretną metodologię dydaktyczną. Ewa Jaskóła mianowicie jest wyznawczynią tezy, że w nauczaniu literatury niezwykle ważną rolę odgrywa znajomość reguł procesu historycznoliterackiego (stad zwrócenie uwagi na „prądy i konwencje”), a przy tym takie usytu-

owanie utworu w procesie, który nie będzie go redukowało do formuł powszechnych, lecz uwyraźniał jego indywidualne, specjalne znaczenie. W tym sensie: łącznie doświadczeń **strukturalizmu** (budowy dzieła oraz jego funkcjonalizacji w obrębie reguł komunikacji językowej i literackiej), **historii literatury** (szacunku do gatunków i tematów przeszłości), a wreszcie **sztuki interpretacji** (wiązanie dzieła w porządku kultury i filozofii), świetnie odnajduje swoje miejsce w wykładzie problemowym. Poza tymi trzema aspektami **rozumienie dzieła literackiego**, zdaniem badaczki, jest zawsze zubożone. By odwołać się do metaforyki budowlanej: Jak pojąć „dom” bez znajomości reguł sztuki murarskiej, jak go zaakceptować poza świadomością dawnych stylów architektonicznych, jak wreszcie ocenić jego wartość bez kontekstu przestrzeni, w jaką ten dom jest włączony? Otóż, to wszystko składa się na pełną orientację rzemiosła.

Owa pełna orientacja najlepiej jest zaznaczona w podwojonej edycji książki *Dialog i tradycja. O poezji w szkole i na maturze* (1992, wyd. 2, zmienione 1997). Jej autorki (Jaskółowa i Opaczka) zwracają uwagę na niezwykle istotny w procesie interpretacji „dialog kulturowy” jako wyznacznik ciągłości literatury. Konteksty i nawiązania (intertekstualność), relacje międzyznakowe, *eo ipso*: umiejscowienie tekstu w semiotycznym układzie kultury, otóż to wszystko wpływa na pełne zrozumienie i wartościowanie utworu literackiego. Najdokładniej Kandydatka wyłożyła swoją teorię w takich artykułach, jak: *Lekcja polskiego z poezją współczesną* (2000), *Interpretacja z maturą w tle* (2004), czy *Interpretacja – czyli o możliwościach pokazania poezji i manipulacji reklamą* (2005). Zaproponowany w nich sposób dostosowania reguł interpretacji na użytek szkoły, można streścić w tezie niezbyt chętnie przyjmowanej przez dzisiejszą szkołę, lecz w istocie elementarnej z pozycji dydaktyki uniwersyteckiej: „Podstawą każdej jednostki lekcyjnej musi być tekst literacki, którego ogląd, w kontekście innych wcześniej poznanych utworów literackich, prowadzi do uchwycenia jego odmienności od wszystkiego, co zostało napisane, i jednocześnie do usytuowania go wśród zjawisk danej epoki, takich jak nurty i konwencje” (pointa artykułu *Lekcja polskiego z poezją współczesną*).

Przedstawiona tutaj dyrektywa postępowania dydaktycznego jest także – jak mi się wydaje – wizytówką postawy literaturoznawczej śląskiej badaczki. Określa ona zarówno podejście uczoney do tekstu literackiego, jak również jej system oczekiwań wobec lektury rozumiejącej. Trzeba tutaj zaznaczyć, że jest to dyrektywa wciąż aktualna, jakkolwiek rozmaite nowsze koncepcje teoretyczne chętnie zepchnęłyby ją do lamusa polonistycznej lektury.

# Człowiek z mgieł

KONRAD ZIELONKA

Idąc w środku nocy ciemną uliczką, nie można się dziwić, że napadnie cię banda lokalnych obszczymurów. Jest to wręcz pewne, że w każdym zaułku, po zmroku łączą się podobne istoty, których w dzień nigdzie się nie spotka.

Oczywiście, można wyczuć ich obecność i w porę zmienić kierunek swojej wędrówki, aby uniknąć niechcianego spotkania. Och, i nie mówię tu o jakichś szczególnych nadprzyrodzonych zdolnościach, osobnicy tacy po prostu roztańczają swoją specyficzną woń przetrawionego alkoholu i starych, niezmiennych onucy. W zderzeniu z tą aromatyczną ścianą, każdy normalny człowiek odwróciłby się na pięcie i poszedł w stronę najbliższej oświetlonej i uczęszczanej drogi. W moim wypadku ma się to nieco inaczej. Nie jestem ani normalny, ani też nie jestem człowiekiem. Śmiało więc ruszyłem w stronę jądra fetoru.

Gdy przeszedłem kilka kroków, usłyszałem ich pośpieszne człapanie. Cóż, nieudolnie starali się mnie otoczyć. Uśmiechnąłem się pod nosem. Chętnie zagram w ich grę. Udałem, że nic nie słyszę i wesoło pogwizdując, powoli ruszyłem dalej.

– E, ty, przebieraniec! – wydarł się trumfalnie, powoli ruszyłem jeden za moimi plecami – Wskakuj, ten, z pinędzy!

– No, słyszał?! – warknął kolejny – albo cię kozikiem między zioberka dźgniem.

Trzeci był chyba idiotą, bo wybulgotał tylko coś bezsensownie. Trzymał za to całkiem pokązną maczugę, zrobioną chyba z kawałka słupa telegraficznego, nabitego sporymi, zardzewiałymi hufnalami. Żadumałem się nad tym, jak to jest możliwe, że akurat najgłupszy jest zawsze najsilniejszy. Cóż... co nie w głowie, to w łapie, jak mówią na prowincjach...

– I co tak sterczy? Głuchyś? Głupiś? – Powiedział czwarty z bandy. Śmierdział z nich najbardziej, więc wywnioskowałem, że to on jest szefem tej zbieraniny.

– Musi co hrabia jakiś, peleryna jest... Na łbie kapelus... w łapie laska zdobiona... No... Szlachciura jak się patrzy! – wydedukował ciężko pierwszy z nich – Więc i mieszek musi być pokązny!

– Jasne, że musi, tumanie jeden – warknął do niego szef – przecież mówił, że dobry towar tu trafimy!

– Nu, szef ma zawsze rację! – bąknął kolejny z mroku.

– hehe... – skomentował to ostatni z nich.

– Dobry wieczór panom – przerwałem z nudów tę bezsensowną wymianę zdań – kimże jesteście i w czym mogę służyć?

– Słuchajta chłopcy, bo nie wytrzymiem! – parsknął szef, otulając mnie kolejną falą smrodu – Pyta, czym służyć może!

– Hehe, a my mu powiem, oj powiem... yyy... bo powiem mu, co szefuńciu? – Zamyślił się ten pijany.

– Jasne tumanie, że mu powiemy! Zamknij jadaczkę, tylko wstyd nam przy gościu przynosisz!

– Ekhm... Przepraszam, ale nie mam czasu, możecie się pospieszyć? – powiedziałem, teatralnie ziewając.

– Cwaniaczek zasrany! – wrzasnął ten piśszczotliwie nazwany szefuńciem – Myśli, psia jego mać, że taki sprytny! To jest, cholera napad! Milczcie ofiara!

– Och... – nie wykrzeszałem ani krzty zainteresowania.

– A my, psia mać, jesteśmy banda Robin Hooda! – kontynuował, niczym nie zrażony.

– Ach, czyli zabieracie bogatym i dajecie biednym? – spytałem z ciekawości.

– Tak! – ryknęli chórem

– Nuuu... tak właściwie nie do końca – sprostował ich przodownik – bogatych to my łupiem, ale rozdajemy w sumie sobie.

– Więc tak właściwie to biednym... – powiedział jeden z tych w cieniu.

– O, no właśnie! Morda dobrze gado – szefuńcio z radości aż zatarł ręce – Widzisz, że my tu w celu szczytnym! Więc masz wybór: Albo nam oddasz po dobroci mieszek i wszystkie złoto i wtedy dopiero cię dziabniem, albo najpierw weźmiem cię dziabniem, lub maczugą stukniem i wtedy ograbimy – dokończył zadowolony.

– Tak właściwie to jaki tu mam wybór? – spytałem rozbawiony – tak czy inaczej skończę w rynsztoku, łaskawi panowie...

– Nu... ale wybór masz! – nie zrozumieli mojej ironii, niepotrzebnie się wysilałem... – Żeby potem nie było, że my byle jakie zbóje! – obruszył się któryś z tych stojących z tyłu.

Idiota tylko coś zamlaskał.

– Ech... a kto powie innym, jacy z was zbójnicy? Czy honorowi, czy byle jacy? Jedyne świadki, czyli ja – dodałem, żeby na pewno mnie zrozumieli – będzie w tej chwili martwy sztywniał pod którąś z tych ścian.

– A no ten... – zasmucił się na chwilę szef, ale oczy mu nagle rozbłyły – To my kawałek pergaminu na zwłokach zostawimy, gdzie napiszemy, że my nie zbóje, ino rabusie porządne, kradnące biednym, bogatym dające... znaczy ten, na odwrót, psia jego mać!

– Że my bogaci, zbójom kradnący..? – wyraźnie nie skumał pijany.

– Psia twa mać, Maćko, zamknij ty gębę, bo nie wytrzymiem i ci zamalujem!

– Ale szefie, my nie umiemy pisać... – bąknął ten od kozika...

– Same z wami problemy, świńskie ryje! – szefowi ze złości zafalowała długa, rudą broda – To ten szlachciura napisze i sam do siebie przypnie!

Zaczynało mnie to powoli nudzić. Gdzieś w pobliżu miauknął kot.



– Jeszcze chwila – mruknąłem pod nosem – może być jeszcze ciekawie...

Jakby na potwierdzenie kot odezwał się jeszcze raz.

– Co ty tam, psia mać gadasz?! – warknął ten najbardziej wygadany

– Ach nic, mości panowie – postanowiłem skończyć tę zabawę – zastanawiam się tylko, czy wasza matka wpuściła do łóżka kozła, że powstało takie coś jak wy?

Dało się słyszeć głośny świst, gdy wszyscy naraz, idiota też, jak jeden mąż zaciągnęli powietrze, słysząc tę zniewagę.

– Tobie precz od matuli! – Wrzasnął pijany – To, że została mnie za młodu, nie znaczy, że mnie nie kochała!

– Właściwie to to znaczy, tępy osłe – warknął szef – ale nie o to chodzi! Możny, psia jego mać, myśli, że jemu wszystko można! My porządne rzezimieszki są, ale obelg takich nie zdzierzymy! Dalej, huncwoty, pokażać mu gdzie jego miejsce! Koziakiem go, pałą przez łeb! – w szefuńciu w końcu obudziły się jako takie umiejętności przywódcze.

Jeśli posiadaliby choć za grosz instynktu samozachowawczego, na widok błysku w mojej dłoni uciekaliby na złamanie karku. Okazali się jednak całkowitymi półgłówkami i rażno ruszyli do ataku. Drapieżny uśmiech, który pojawił się na mych ustach w chwili, gdy ruszyli, wziąć musieli za grymas przerażenia, ponieważ przyspieszyli jakby rażniej.

Cały pojedynek trwał tylko kilka chwil. Gdy później delektowałem się tą chwilą, doszedłem do wniosku, że to cud, iż mogli przetrwać tak długo, aż do spotkania ze mną. Pozbawieni byli jakiegokolwiek, choćby zwierzęcego instynktu, każącego podkulić ogon. Nie przeszkadzało im, że moje oczy stały się krwisto czerwone, a dwa przednie kły wydłużyły się prawie trzykrotnie. Oczywiście, można to tłumaczyć tym, że było ciemno, ale lekka, sino biała poświata wokół mnie była na pewno do zauważenia.

Walka zaczęła się. Ryk napastników zmienił się w spowolniony, wibrujący, basowy pomruk. Obraz wyostrzył się i rozjaśnił, widziałem nawet pchły buszujące w futrze przemykającego pod ścianą szczura. Niestety wąż także mi się wyostrzył, więc fala mdłego smrodu zalała mnie z podwójną siłą. Czulem podekscytowanie wynikające z polowania, byłem jak kot znużony zabawą z myszą, byłem gotowy do zadania ostatniego, śmiertelnego ciosu.

Najpierw uśmierciłem tego z nożem. Był z nich najszybszy, więc jako pierwszy próbował mnie dorwać. Za pomocą zdobionej laski zdruzgotałem mu dłoń w nadgarstku, by po chwili jego własnym sztyletem, wyrwanym drugą dłonią, poderznąć mu gardło. Obracając się do kolejnego, kątem oka zaobserwowałem piękne, szkarłatne korale krwi, wylewające się z jego rozciętej tętnicy.

Następnie pozbyłem się tych dwóch, którzy ukrywali się w cieniu. Przemknąłem między nimi. Jednego uderzyłem resztkami laski w skroń, drugiemu wbiłem sztylet w serce. Rozbawiły mnie ich śmieszne, powolne próby obrony. Odbiłem się lekko

od jednego z padających ciał, w powietrzu wyrzuciłem resztki niepotrzebnej już laski i lądując cicho za osiłkiem z maczugą, skreśliłem mu kark. Pijak miał nieco więcej szczęścia, ponieważ przy próbie wbicia we mnie noża, zamotał się we własny płaszcz, wyrzucił jak długi o kostkę brukową i stracił przytomność. Zatrzymałem się na chwilę, żeby popatrzeć na własne dzieło. Trzech martwych, jeden umierający, sikający krwią z gardła, jeden nieprzytomny. Nieźle. Spojrzałem na zdrętwiałego z grozy szefa bandy, ściskającego w dłoniach sękatą łagę. Jego zostawiłem sobie na deser. Uśmiechnąłem się do niego, prezentując cały wachlarz zębów.

Nie... litości, panie... – jęczał posiwiwały ze strachu zbir.

– Litości? Dla ciebie? – Zaśmiałem się – Oczywiście, zlituję się nad tobą – powiedziałem ironicznie.

– Na-naprawdę? – Zobaczyłem nadzieję w jego oczach.

Kiedy oni się nauczą? Westchnąłem. Wystarczy dać im cień nadziei, a zjedzą ci wszystko z ręki. Ludzie są tacy zabawni.

– Tak – w sumie postanowiłem dać mu pewną możliwość – Masz jedną szansę... i wybór. Możesz zostać i zaopiekować się nieprzytomnym kompanem, albo uciec. Namyśl się i wybierz, gdy się obróć. Rozumiesz?

– Ta-aak, ślachtetny panie – wyszeptał z nadzieją.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Może on okaże się inny od pozostałych? Nigdy nic nie wiadomo...

Gdy tylko się odwróciłem, usłyszałem stuk kija, upadającego na bruk. Może się uda... Pospieszna ucieczka. Westchnąłem cicho, z żalem. Popęłnił błąd. Wybrał złą opcję. Jednak czy nie było to do przewidzenia? Obróciłem się błyskawicznie i za pomocą jednego, niemożliwego dla człowieka skoku, znalazłem się tuż za nim. Nie miał czasu nawet krzyknąć. Jednym szybkim ruchem zламаłem mu kark i wbiłem zęby w szyję. Osuszenie jego ciała z krwi zajęło mi tylko kilka sekund. Z odrazą wyrzuciłem truchło w kąt. Delektując się przez chwilę, zastanawiałem się, skąd w takich śmieciach jak oni, płynie tak wspaniała krew. Czy nie jest to wręcz profanacja?

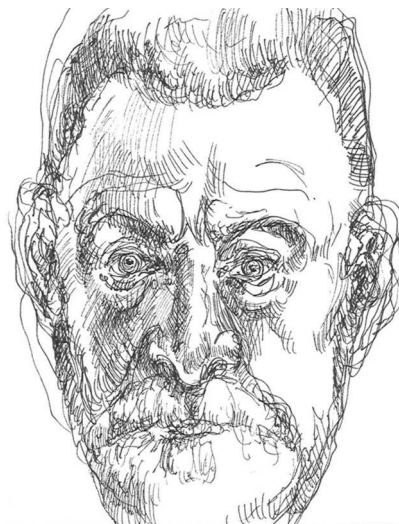
Spojrzałem na niebo. Jakby za pomocą mojego wzroku chmury się rozstąpiły i wyrzucił księżyc w pełni. Minęła północ, powiniennem wracać. Westchnąłem i wyszedłem z zaułka. Obok mnie, z cienia wybiegł duży, czarny kot i poszedł przy mojej nodze.

– Ech, Vladimirze... kiedy ty się zmienisz?

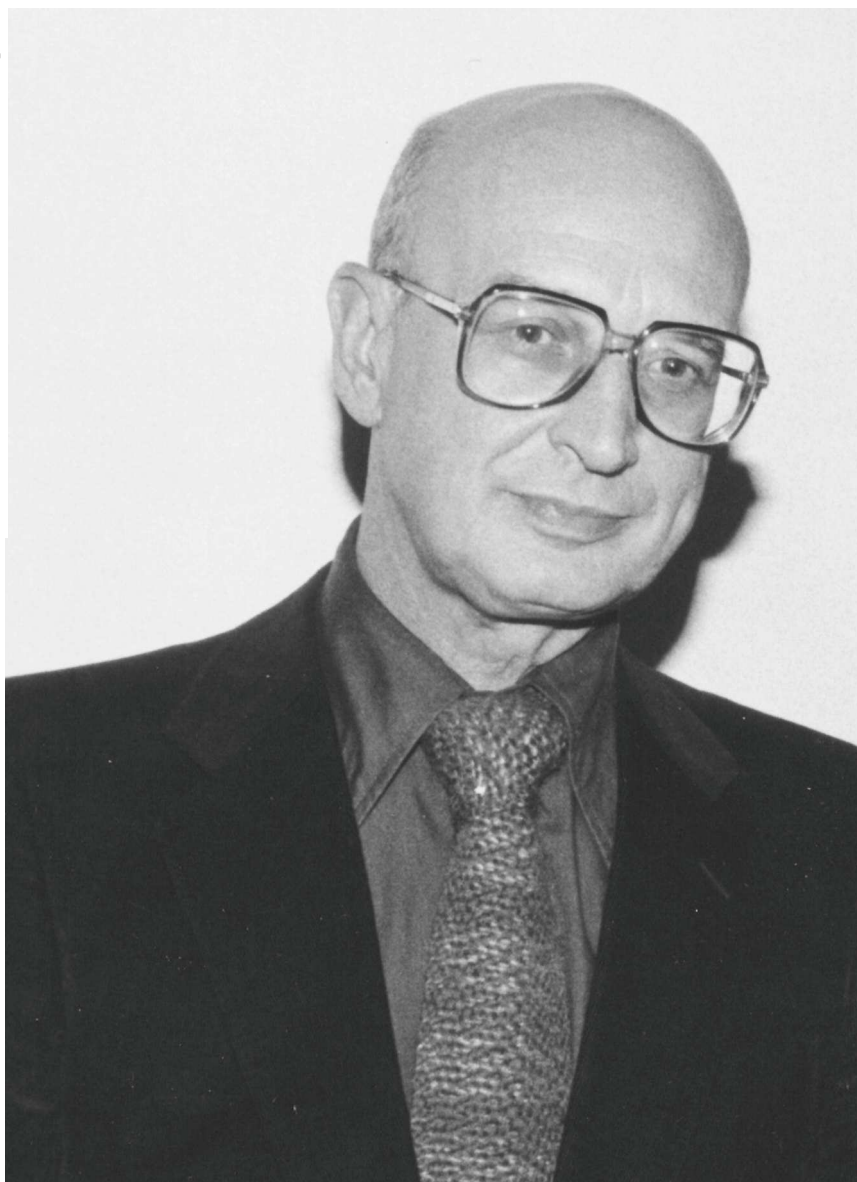
– Wydaje mi się, że nigdy, Belfegorze – Powiedziałem z uśmiechem do kota – to jest zbyt ciekawe, urozmaica moje długie i nudne życie.

– To tylko jeden dzień w roku, kiedy możesz bezkarnie paradować ulicami tego miasta, z dala od swojego pałacu... A ty marnujesz go na uganianie się za pijaczkami?

– Nie zrozumiesz tego – zamyśliłem się – Mogę dziś robić to, na co tylko mam ochotę, bez żadnych wyrzeczeń, czy zobowiązań. Nikt, nawet ty, nie zabroni mi marnowania czasu na głupoty – uśmiechnąłem się – dlatego właśnie lubię Halloween.



Rys. Bogna Skwara



Witold Szalonek

# Szalonek – wolny najmita Sztuki. Czyli od łagiewnickiego orbis interior do narodzin sonoryzmu.

MARIAN GRZEGORZ GERLICH  
LILIANA MOLL-GERLICH

*Szalonek: „młodzieniec z Neandertalu, który nie zna żadnej estetyki”  
(J. Iwaszkiewicz)*

## O wędrowaniu

Kiedyś Witold Szalonek – konkretnie w 1994 roku – powiedział do jednego z autorów tego tekstu: „Pamiętaj (Marianie – przyp. aut.), kompozytor to nie tylko twórca; jakiś odrębny byt. To całe jego życie, jego myśli, doznania, uczucia, co widział, co myśli, co go boli, co i kogo kocha, co wspomina. O tym ci już gadałem telefonicznie jak byłeś w Getyndze. Z tego rodzi się dopiero cały człowiek. Potem z niego wyłazi, co tworzy”. I tu dygresja. Zorian Dołęga-Chodakowski autor dzieła *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem* z 1818 roku nazywał siebie „wędrownikiem dzikim”. Przywołujemy to sformułowanie z pełną świadomością. Dlaczego? Bo i Szalonek był niezwykłym wędrownikiem, swoistym „szaleńcem”. I nie tylko w przestrzeni. A dziś znakomita Maria Janion pisze, iż owo „wędrowanie” to ciągle ważne i inspirowane określenie. Ponadczasowe. W kontekście uniwersalnym owo „wędrowanie” zdaje się charakteryzować także bohatera naszych rozważań. Bo i Szalonek też cechowało ustawiczne wędrowanie. Wędrowanie w przestrzeni, ale głównie w świecie idei, wartości, w świecie odmiennych kultur. Wreszcie w świecie dźwięków. Z czego ono wynikało? Chyba z tego, że był przede wszystkim „człowiekiem pogranicza”; czy raczej wielu pograniczy. Ponadto owo wędrowanie wynikało – jak to sam określał – z „niepokojności ducha”. Nie bez znaczenia są też uwarunkowania pokoleniowe. Wszak Szalonek był człowiekiem II wojny światowej i odgłosów I wojny światowej, i wreszcie dramatu Auschwitz. Dlatego 20 maja 1990 roku w Münster pytał za Theodorem Adorno: „czy po Auschwitz da się jeszcze pisać wiersze”. Warto w tym miejscu odwołać się do jednej z prób komentowania drogi artystycznej Szalonia, w której autor blogu Kaiminskainen pisze: „Trudne początki muzyki współczesnej, tej powojennej, można określić oklepanym ale wciąż treściwym hasłem »sztuki po Auschwitz«. Co tu robić? Co w ogóle można i należy robić? Wyczerpanie materiału kompozytorskiego zdawało się odpowiadać wyczerpaniu i pognębieniu powojennego świata”. Był też obserwatorem innych niż Auschwitz obozów koncentracyjnych, w tym tego którego więźniem był jego ojciec, Franciszek. Był też świad-

kiem dwóch totalitaryzmów. Brunatnego i czerwonego. Był ich emocjonalną i intelektualną ofiarą. A pod koniec swoich dni był nadto świadkiem globalizacji, popkultury, konsumpcjonizmu i innych demonów epoki.

### W krainie górnosląskiej swojskości

Wszystko zaczęło się u Szalonka – sonorysty – w pewnej górnosląskiej miejscowości. Tam zaczynało się jego dzieciństwo, potem młodość kształtowana pod prężeniem choroby ojca, więzienia obozu koncentracyjnego. I były też jego doświadczenia czerwonego totalitaryzmu. „Zaczynał – pisze dalej wspomniany blogger – jak inni, od awangardy (czasem pozornie) »dzikiej«, ikonoklastycznej, z partyturami graficznymi i obrazkowymi, wymyślaniem coraz to dziwniejszych sposobów artykulacji, wykorzystaniem inwencji muzyków (aleatoryzm) itp. Słowem od tej awangardy, która nie znajduje żadnego uznania i zrozumienia u tzw. mieszczańskiej publiczności – i będącej chyba do dziś synonimem »muzyki współczesnej« jako takiej (na nieszczęście dla tej ostatniej)”. To jednak wszystko nastąpiło później. Na początku były więc Czechowice-Dziedzice w których się urodził. A potem były to już najczęściej przywoływane Łagiewniki. To jego orbis interior. Nie chcemy formułować panegirycznych zdań, ale niewątpliwie już w dzieciństwie czuł swoją inność. Wyjątkowość, którą łaskawie obdarzył go los. A może nie był to los a sam Bóg. O to trzeba by spytać Jego przyjaciela, byłego proboszcza łagiewnickiej parafii – ks. Alfreda Szkróbkę. Pozostawiali – jak wnosimy – w niezwykłej harmonii. Szalonek w Boga wierzył; i nie wierzył. Czuł Jego bliskość i oddalenie. Kapitalnie te relacje z Bogiem wspomina dyrygent, Piotr Baron. „Spacerując po opolskim rynku, Mistrz opowiadał mi to, gdy prosił by Bóg pomógł mu dokończyć rozpoczęte dzieła: „*Wiesz, to wszystko zależy od tego, czy się mo tyn drut do Pon Bóczka i czy On chce bez tyn drut coś ci posłać – mówił gwarą*”.

Ale powróćmy do Łagiewnik. To był jego świat, który pozostał w nim zawsze; w nim też spoczęły jego prochy. Po latach pisał: „do końca dni naszych pamiętać będziemy, jako najcudowniejsze remedium kojące lęk i ból, ciepło matki przygarniającej nas do swego łona w noc pełną mar sennych i zwidów; zapach włosów ojca, niosącego nas na barana; jedyny na świecie smak landrynki wsuniętej w usta spracowana, pachnąca fajką dziadzia;

zapach »kajzerki« z makiem i porannej kawy zbożowej pitej obok parapetu pełnego kłócących się o okruchy wróbli...”. I jest też – jak w tekście antropologicznym – przekonujący opis szarej, banalnej codzienności, jej rytmu, swoistej „muzyki”, gwizdów hamujących kół maszyny, syren czy urządzeń górniczych. Wszak to o tych właśnie odgłosach Szalonek pisał z nostalgią, z muzycznym zadumaniem: „wznoszący się i opadający jęk syren kopalnianych wołających na zmianę; ledwo wyczuwalny bezsennością nocą, przybliżający i oddalający się basowy pomruk szybów wentylacyjnych; nocną pożogę chmur zapalanych ognistą, wylaną na hałdę wielkopiecową szlaką; radosne, dające metaliczny posmak w ustach, dudnienie dzwonów kościelnych zwojujących na uroczystą mszę Trzeciomajową i grzmot organów strzelający po kopułę kościelnej nawy sekstą wielką »Majowej Jutrzenki«...”. To był jego – jak sam powiadał – „krajodźwięk”. Przytaczając przywołany fragment wspomnień Szalonka stykamy się z wypowiedzią bardzo osobistą. Lecz zawiera się tu też myśl wykraczająca poza ramy indywidualnego wyznania. W każdej bowiem kulturze jesteśmy wpisani w określoną rzeczywistość. W konkretny kanon kulturowy. W tej tęsknocie za czasem minionym, za utraconym rajem dzieciństwa wyraża się zarówno lokalność, jak i uniwersalność. Owe zaś lata łagiewnickie to przede wszystkim czas beztrudnego dzieciństwa, młodości i edukacji. Ta od 1933 roku do 1939 roku to nauka w polskiej szkole powszechnej. A była ona szkołą patriotyzmu i wychowania religijnego. O tym okresie życia Szalonek mówił nader wstrzeźliwie, lecz i z rozrzewnieniem. Tylko jego koleżanki z ówczesnych lat – od lat powojennych – członkinie łagiewnickiego chóru wspominają, iż mają zachowane szczególne obrazy z przeszłości. Jak wspomnienie, gdy kompozytor szedł z mamą do kościoła. Przy stojny i wyniosły. Trwały jeszcze czasy spokoju, aż do września 1939 roku. Skończyła się jedna państwowość; nastąpiła druga. Z tym wiązała się konieczność uczęszczania do szkoły niemieckiej. Zaowocowało to z czasem doskonałą znajomością języka niemieckiego. Później ułatwiało mu to kontakty na europejskich salonach. Rozpoczęła się inna rzeczywistość, inne realia polityczne; inne wymogi edukacyjne. W krótkim czasie Szalonek poddany został indoktrynacji nazistowskiej. Czyli „Jutrzenka Trzeciomajowa” została zastąpiona przez „Deutschland, Deutschland über alles”. To muzyczne odwołanie jest zrozumia-

łe; zresztą nie pierwszy to, i nie ostatni „szatański chichot” historii. A Szalonek należał do tragicznego śląskiego pokolenia, jakże innego od „pokolenia Kolumbów”. Było to pokolenie, którego ojcowie, bracia, a niekiedy i oni sami, byli przymusowo wcielani do niemieckiej armii. Kim się wówczas czuł? Jak postrzegał rzeczywistość, w której musiał żyć? Co czuł gdy pod koniec wojny ukrywał się przed brunatnym najeźdźcą? On Górnosłazak i Polak. Zaś z kolei rok 1945 uświadomił mu, że ludzie tej ziemi naznaczeni są piętnem inności.

### Między orbis interior i orbis exterior. U progu skomunizowanych Katowic

I przyszedł czas, gdy opuścił dom rodzinny; podjął naukę w Liceum Muzycznym w Katowicach, a potem w tutejszej, podówczas Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Oderwał się od korzeni, które były – nie ukrywajmy tego – ludowe, robotnicze. Przekroczył w swoim życiu pierwszą granicę między homogeniczną społecznością łagiewnicką a różnorodną społecznością Katowic. Wtedy to w procesie postępującej edukacji Szalonek wkroczył w tajemny i zarazem rygorystycznie uporządkowany cudowny świat muzyki. Polskiej i obcej. Tu już nie było swojskości bliskiej sercu, ludowej, kordialnej. W tym momencie Szalonek wkroczył w świat, który odkrywał dzięki swoim nauczycielom i mistrzom. To odkrywanie nowego świata było odkrywaniem nowych „łądów muzyki”, łądów, które jawiły się jako *terra incognita*, były tajemnicze i fascynujące. W ten sposób kompozytor przekraczał granice kolejnych już wyraźnie wysublimowanych światów. A jak owe lata wspominał Szalonek w rozmowie z Karolem Bułą w 1992 roku: „Pierwsze moje próby układania muzyki, gdyż trudno to nazwać kompozycją (...) przypadają na wczesne lata młodości (...). Pamiętam, jak na urodziny dyrektora liceum napisałem fortepianowy mazurek”. Najpiękniej zaś z czasów edukacji licealnej wspomina – „profesor od fortepianu” – Wandę Chmielowską. A potem pojawiły się następne próby kompozytorskie inspirowane już w czasie studiów pomysłami mistrzów. We wspomnieniach napisanych na prośbę przyjaciela doc. dr. Karola Musioła pisał: „Gdybym utwory swoje opusował »Pastorale« nosiłoby numer 1. Napisałem je w 1951 r. na początku moich studiów kompozytorskich u prof. Bolesława Woytowicza. Geneza utworu jest prozaiczna. Na jednej z lekcji ustaliliśmy, iż na pierwszy ogień pój-



Portret Witolda Szalonek, rysunek Piotr Szmítke (źródło: Lilianna M. Moll „Witold Szalonek. Katalog tematyczny dzieł. Teksty o muzyce”. Śląskie Towarzystwo Muzyczne, Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Katowice 2002).

dzie rozbudowana forma pieśni, po czym Profesor zapytał mnie, jaki instrument, poza fortepianem (na którym grałem od dziecka) i orkiestrą, najbardziej mi się podoba. Byłem wówczas w »obojowym« nastroju i kierując się moim stanem ducha wybrałem ten właśnie instrument. Z perspektywy lat decyzja ta wydaje mi się nieprzypadkowa: moje wieńczone odkryciem wielodźwięków kombinowanych – badania sonorystycznych właściwości dętych instrumentów drewnianych (...) zacząłem od oboju”. Zaznaczmy też, że ów realny klimat kultury typu ludowego przejawia się w „Pastorale” w sposób szczególnie bo „zawarty został – jak pisze Gabriela Kamska-Jonszta – głównie w warstwie melicznej”. No i jeszcze coś. Dotyczy to ro-

ku 1953. Wtedy splota się u Szalonek fascynacja folklorem, ale i zachowanie dystansu wobec obowiązującego, doktrynalnego kanonu. Wszak obowiązywał socrealizm. Dwa lata później zaś opracowuje „Dwie pieśni ludowe” na głos średni i fortepian – śląską „Zadnemu się nie dziwuję” i z lubuskiego „A w Podmoklach”. Magdalena Dziadek, teoretyk muzyki, i znawczyni twórczości kompozytora pisze, iż wzorował się w tym przypadku „na wysubtelnionym i wolnym od socrealistycznej ideologii folklorysty Lutosławskiego”. Zaznaczmy też wyraźnie, iż w owym czasie Szalonek pisał jednak „do szuflady”. Chodzi tu o „Śląską balladę ludową” na sopran solo i chór mieszany a cappella i „Sunitę kurpiowską” na alt solo i 9 instru-

mentów. Magdalena Dziadek pisze, iż utwory te reprezentowały »zakazany« sposób podejścia do stylizacji folkloru”. W owych zaś latach 50. Szalonek zainteresował się webernowskim konstruktywizmem, a potem jego droga wiodła już ku sonoryzmowi. W tym zasygnalizowanym geście z młodości zaznacza się już jakże typowa dla kompozytora postawa wobec świata, to jest nieakceptowania tego, że sztuka ma ulec dyktatowi polityki. A w owym czasie te wartości były ograniczone realiami ówczesnej polskiej polityki kulturalnej; tego wszystkiego co zawarte było w doktrynie Włodzimierza Sokorskiego i popleczników, zaprzęgniętych w rydwan popierających nowy ustrój. Natomiast Szalonek coraz bardziej był otwarty na zakazany świat Zachodu. Z tej fascynacji wyrosły zainteresowania twórczością Debussy’ego. Po latach w rozmowie z współautorką tego tekstu, mówił o francuskim artyście: „Był Europejczykiem nawiązującym do korzeni muzyki preklasycznej, natomiast cały świat brzmieniowości kierował go w pewnym określonym kierunku. I to była moja teza, która stwierdzała jego kontakt z muzyką pozaeuropejską. Głównie chodziło mi o gamelany-gongi, muzykę półwyspu Malakka czyli Indochin”. I nastąpiło też u Szalonek skierowanie ku kulturze pierwotnej, co potem ujawniło się fascynacją muzyką Nowej Gwinei i Oceanii. I zauważmy, że podówczas w muzyce akademickiej, podobnie jak w malarstwie, nastąpiło zwrócenie się ku nie akademickiej formie wyrazu artystycznego. U Szalonek była to fascynacja muzyką gamelanową. W czasie pracy w katowickiej uczelni dojrzewa przekraczając mentalnie, intelektualnie i emocjonalnie nowe światy artystycznej wypowiedzi. Szczerze i prosto po latach wyznaje: „uwagę moją zwróciły na siebie dźwięki »przypadkowe«, »koguty« produkowane ku uciechu słuchaczy przez niewprawnych adeptów gry na instrumentach drewnianych. Komponując w roku 1960 »Concertino« na flet i orkiestrę kameralną miałem zamiar posłużyć się nimi w konstrukcji pewnych płaszczyzn dźwiękowych części drugiej, lecz nie znając gruntownie ich natury, z zamiaru tego musiałem zrezygnować i posłużyć się zastępczo dźwiękami stroikowymi i ustnikowymi blachy i drzewa”.

#### Nie tylko twórczość; ale i chóry i publicystyka

A teraz etap, który zawiera się w latach 1952–1957. Wtedy uczył się w ka-

towickiej PWSM ale i kierował chórem w Łagiewnikach. W tym momencie można się odwołać do wspomnień członków owego chóru. Szalonek był dla nich autorytetem, ale i kimś bardzo bliskim. Taki obraz kompozytora wylania się ze wspomnień dawnych chórzystek, jak Stefani Rak, Gertrudy Płonki czy Urszuli Bujary. Osoby niezwykle. Wspaniale mówi też o nim dziś obecny dyrygent chóru Jerzy Matula. Wspomniane chórzystki opowiadają, jak kiedyś na próbę chóru wtargnął mężczyzna, który okazał się być pracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa. Podszedł do Szalonka i zakazał śpiewania pieśni „Bogurodzica”. Poprosił Mistrza, aby z nim poszedł w kącie sali. Chórzystki usłyszeli: „Tęgo nie możecie śpiewać, bo to jest pieśń religijna”. Szalonek obruszył się i powiedział: „Ja nie wiem, że to jest pieśń religijna, ja wiem tylko, że nasze wojsko śpiewało tę pieśń pod Grunwaldem, walcząc z germańską nawałnicą. Ja znam tylko taką prawdę”. Na ustach chórzystów zastygł bezgłośny uśmiech. Szalonek mrugnął do nich. Wszyscy jeszcze głośniejsze zaśpiewali „Bogurodzicę”. I pozostając przy tych wspomnieniach, tym razem samego Szalonka, trzeba przytoczyć i takie zdanie: „W moich wspomnieniach ten mecenat związkowy jest zapisany raczej niemile. Ale sama praca z entuzjastami zbiorowego śpiewu, entuzjazm śpiewaków wytrzymujących ówczesne wszystkie dolegliwości, pozostaje mi w pamięci jako trwała wartość świadcząca o sile kultury, w tym wypadku o sile muzyki. I to jest chyba doświadczenie trwałe i wartościowe”. Te wspomnienia uświadamiają zatem to, iż z wielkim poszanowaniem traktował śląski ruch śpiewaczy. W tej działalności ujawnia się w sposób szczególny stosunek kompozytora do Człowieka. Wręcz przecież mówi: „Stąd moje nadrzędne zainteresowanie człowiekiem. Jego wewnętrzną potrzebą kulturalną – może czasami nieświadomioną; jest także chęć tworzenia muzyki, odtwarzania muzyki. Sztuka a w jej obszarach w poważnym stopniu muzyka, jest jednym z najważniejszych elementów społecznej więzi, komunikacji międzyludzkiej. Bez sztuki człowiek karleje”. I dalej pada nieomal wyznanie: „Tę wiedzę, może jeszcze nieuporządkowaną wyniosłem z mojej pracy z chórami”. Uprawiał też w owym czasie działalność publicystyczną. Na łamach „Trybuny Robotniczej” organu katowickiego PZPR pisał: „Jak wykorzystujemy wspaniałe warunki, stworzone dopiero przez nasz ustrój ludowy, aby udostępnić każdemu

obywatelowi dobra kultury najwyższej rangi, aby żywy nurt masowego ruchu amatorskiego uczynić prawdziwą bazą umuzykalniania naszego społeczeństwa”. Z dzisiejszego punktu widzenia można by stwierdzić, że owa wypowiedź utrzymana jest w duchu typowego propagandzisty tamtych lat. A jak inaczej mógł Szalonek wyrazić to, co chciał powiedzieć? Zawarł tu wyznanie, które wiązało się u niego z autentyczną potrzebą misji wobec „prostego” człowieka. Bo był humanistą. I w tym też kontekście odczytać należy inny fragment jego wypowiedzi „Śląsk (a miał na myśli Górny Śląsk – przyp. aut) różni się swą specyfiką od innych regionów Polski. Jesteśmy wielkim i bardzo bogatym materialnie skupiskiem ludzkim. Kultura nasza jest kulturą proletariacką, okrzepłą w długowiecznych bojach z zalewem germanizmu. Do I wojny światowej nie mieliśmy wprawdzie ani artystów, ani twórców o szerszej skali oddziaływania, ale szczytiliśmy się bogatymi tradycjami szerokiego ruchu muzycznego”. No cóż. W tej wypowiedzi zawarta jest i propaganda, i prawda. Dla Szalonka zawsze ważny był problem umuzykalniania. Dlatego jego ideałem był Wojciech Żywny, nauczyciel Chopina. Tę postawę wyjaśniała nam uczennica kompozytora Jolanta Zdechlikiewicz. Dopiero po latach – w wolnej Polsce – wspominając swoją pracę z chórami mówił Stanisławowi Wilczkowi: »Hejnał« miał odległe i chlubne tradycje, chociaż w okresie kiedy zacząłem z nim współpracę, był to okres niedobry dla naszej kultury, zaś dla kultury amatorskiej szczególnie trudny”. I tu Szalonek mówi prawdę bo już mógł ją wyznać.

#### Narodziny sonoryzmu – czyli Szalonkowe da capo al fine

„Wszystko płynie, wszystko się ciągle – jak mawiał – miesza. Zawsze jest tylko prawdziwa miłość. I prawda”. I jest też rzeczywistość, w której każdy kompozytor – jak wszyscy inni – żyje. Stąd też jak mówił „powiązanie sztuki z rzeczywistością określa prawo naczyni połączonych. Każda zmiana ciśnienia w jednym naczyniu sygnalizowana jest natychmiast w drugim (...). Tworzenie i wyczerpywanie własnych kierunków stylistycznych przez najwybitniejszych twórców, jest tylko dowodem żywotności zjawisk, a nie ich obumierania...”. A kontynuując opowieść o twórczości Szalonka stwierdzić należy, że w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia komponował usta-

wicznie, wytrwale. I jak sam powiedział z mozołem. Korzystał z inspiracji poprzedników, ale tylko tych wybranych. Jedną z autorek jakże sugestywnie i kompetentnie pisze: „Jego droga do komponowania przebiegała stopniowo przez różne style i kierunki: neoklasycyzm, folklorizm, dodekafonię, jednakże najważniejszy dla twórczości Szalonka okazał się sonoryzm”. A dalej Emilia Ogonowska-Jaroń pisze, iż kompozytor „niemal przez całą drogę twórczą poszukiwał coraz to nowych rozwiązań brzmieniowych, trudnych do zidentyfikowania, ale które miały służyć nagromadzeniu energii, stwarzaniu napięcia w muzycznej treści utworu. Od XVIII do XX wieku rozwój muzyki przebiegał w kierunku wyznaczonym kolejnymi wektorami tonalności, funkcyjności, by w końcu – doprowadzić ku wyzwoleniu brzmieniowości”. Po wspomnianej wcześniej współpracy z Gazzellonim, co zaiskrzyło wykonaniem na „Warszawskiej Jesieni” w 1963 roku, potem były „Quattro Monologhi« per oboe solo” z 1966 roku, »Mutanza« na fortepian” i »Improvisations sonoristique« na klarnet, puzon, wiolonczelę i fortepian z 1968 roku. A dalej były dalsze sonorystyczne fascynacje. Po latach mówił: „Sonoryzm jawi mi się jako logiczny przejaw ukształtowania myśli muzycznej poprzez wykorzystanie absolutnie jednorazowej właściwości danych generatorów dźwięku, czyli danych instrumentów, niezależnie od tego, czy to jest głos ludzki, czy jeden z klasycznych instrumentów europejskich, czy też generator dźwięków elektronicznych, szmery, szумы, kotły, talerze...”. Czyli dźwięki i brzmienia wydobywane nie-tradycyjnie, ale z tego, co tradycyjne. Szalonek rozkwita jako sonorysta.

#### I nastaje schyłek lat sześćdziesiątych

To czas poprzedzający jego wyjazd do Berlina. W 1969 roku powstaje dzieło cudowne, niezwykle, czyli 1 + 1 + 1 + 1 na 1-4 instrumentów smyczkowych. Ale przed tym wydarzeniem był ów marzec 1968. Kilka osób opowiadało nam, i Michał Musioł, jak wtedy jego ojciec Karol z Szalonkiem obrzucali się czosnkiem, stereotypowym symbolem Żydów. „A fuj, a idź stąd” wołali kpiąc i przeciwstawiając się symbolicznie wypędzaniu Żydów z Polski. Taki był Mistrz, niepokorny i genialny, ustawicznie wolny, nieskrępowany twórca, ale niewolnik samego siebie. A w sensie ogólnym – wolny najmita Sztuki.

## KINGA KOŚCIAK

\* \* \*

Mam siostrę bliźniaczkę  
która się mnie wstydzi  
zmazuje sobie nos, brwi i oczy  
i rysuje na nowo  
Inaczej

### NIEŚWIADOMOŚĆ

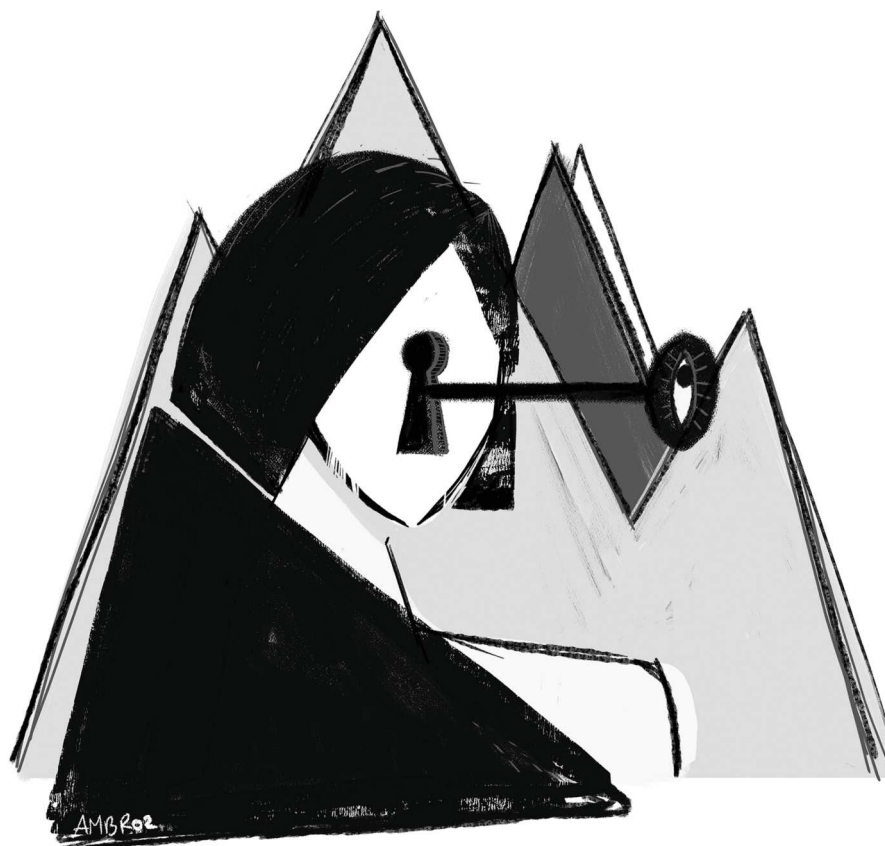
Są takie wyżyny, na które się nie wespnę  
oceany takie, w których nie utonę  
równiny bez ścieżek  
takie miejsca, w które nie dotrę  
z tobą  
I po co się złościś  
prężysz mięśnie wystawiasz kły  
ja się nie boję a one  
widziały tak dzikie zwierzęta

stada przechodzą naszą planetę  
(dlaczego się nie dołączysz?)  
w nieświadomości gasną  
nasze małe żółte światełka

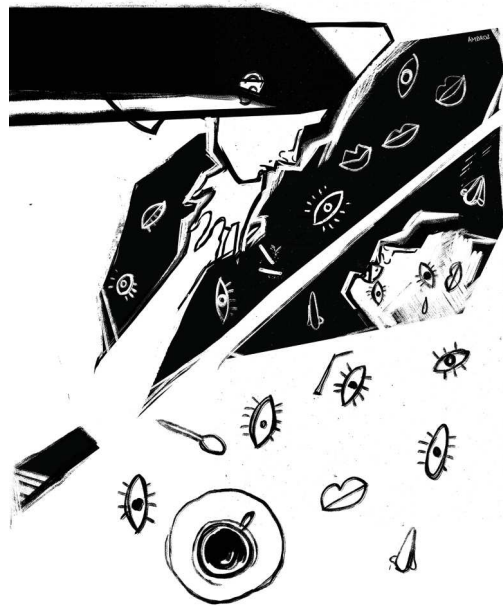
### SERCE

Popatrz to moje serce  
wrosło w wyiębionych komnatach  
nigdy nie wstało z podłogi  
nikt go nie puścił z wiatrem  
z gałązki nie zepchnął  
nie zaśpiewał  
wrosło w szklarnianych warunkach  
uczone przez szyby  
delikatne  
nie dotykane  
karmione strzykawką  
rosło  
wielkie oko jama w ciele  
dziupła zębata ostra  
a w niej szybkie dzikie  
przestraszone  
i zupełnie nie takie  
brak mu krwi

—  
popatrz to moje serce bez serca  
moje serce nie ma tego  
czego nie potrzebowało  
by przetrwać



Grafika: Joanna Ambroz



Grafika: Joanna Ambroz

## NIEWINNOŚĆ

Tak sobie iść za rękę  
 ciepłą rękę  
 pod grubym futrem za kołnierzem  
 pomiędzy gęstymi dymami  
 murem ze śniegu  
 wśród betonowych ścian  
 Tak iść równo i w pędzie  
 krok za krokiem  
 popychanym jakby  
 i trącanym w chwilach zamyślenia  
 Nie uważać pod nogi  
 tę rękę trzymać  
 pomiędzy kałuże jak w pola  
 zbóż  
 wpadać z głodem na bakier  
 z logiką bo zimno i te mury  
 takie ciche ludzie twardzi  
 śpią  
 Tak iść za rękę czasem podbiec  
 z w górę zadartą głową  
 szukającą uśmiechu  
 mrugnięcia  
 ale to nie jest na niby  
 Tak iść zupełnie poważnie  
 śmiertelnie poważnie  
 poważnie na śmierć.

## WSZYSTKO

Jakby ktoś dla ciebie świat układał  
 pisał słońca  
 rysował gwiazdy  
 Jakby dla ciebie rozwiesił na niebie klucz  
 zasiał pola postawił las  
 dla snu  
 Jakby dla ciebie  
 kazał pszczołom pachnieć słodko  
 dzień otworzył  
 by w twoich oczach go ujrzyć  
 Dla ciebie  
 świat ten wiatrami kołysał  
 twoje włosy morzami pieścił

Jakby bez ciebie  
 ten ktoś  
 zagładę zsyłał  
 i śmierć  
 Jakby mu było  
 wszystko  
 obojętne.

Jak to jest  
 nosić na sobie  
 takie znaczenie  
 takie piętno.

**Kinga Kościak** – rocznik 1985, krytyk literacki i teatralny, pisze doktorat z literaturoznawstwa na temat stanów granicznych w poezji Zuzanny Ginczanki, tłumaczy sny. Niegdyś redaktor działu teatr w magazynie „Reflektor – Rozświetlamy kulturę”, publikowała w „Neurokulturze”, „Reflektorze”, „Po-myśle” oraz monografiach „Różewicz: dodawanie”, „Wymiary powrotu w literaturze”. Jej poezję publikował magazyn kulturalny „Śląsk” oraz „Dwutygodnik”.

Niczym hollywoodzki Oscar – potężna Złota Maska ustawiona na czerwonym dywanie przed głównym wejściem do Opery Śląskiej w Bytomiu, witała przybyłych na galę, podczas której, po raz 50. wręczone zostały doroczne najwyższe teatralne laury, przyznawane przez marszałków województwa śląskiego i opolskiego.

# Romeo i Julia spektaklem 2017 roku

Na ten najważniejszy dla artystów teatru, jak i publiczności dzień, czekano cały rok. I jak każda tradycja, uroczystość odbyła się w przeddzień Międzynarodowego Dnia Teatru, 26 marca 2018 roku.

Pełen wzruszeń i radości wieczór przebiegał w scenerii spektaklu *Romeo i Julii* – jednej z ostatnich premier, jakie miały miejsce na deskach tej sceny muzycznej. Jak należało się domyślać, fragmenty popisów choreograficznych i wokalnych, a także scenografia nie były li tylko pięknym entourage'em gali, ale zapowiadały to, co nastąpić musiało w finale.

Zanim jednak publiczność mogła okłaskiwać laureatów, przewodnicząca kapituły Złotej Maski Lucja Ginko podziękowała dwóm dyrektorom: Teatru Rozrywki – Dariuszowi Miłkowskiemu i Teatru Zagłębia – Zbigniewowi Leraczykowi – za wieloletnią pracę, stworzenie instytucji imponujących poziomem artystycznym, gdzie powstawały spektakle nieprzeciętne, czasem kontrowersyjne, ale często nagradzane, przyciągające znakomitych twórców i wyrafinowaną publiczność.

Po tej pełnej wielu pięknych i wzniosłych słów uznania chwili, w kolejnych odsłonach prezentowano – niczym podczas Oscarowej Nocy – nominowanych i nagradzanych artystów oraz twórców spektakli.

Najlepszym artystom Złote Maski wręczali członek Zarządu Województwa Śląskiego Henryk Mercik i Wicemarszałek Województwa Opolskiego Stanisław Rakoczy.

I – na co wszystko od początku wskazywało – przedstawieniem 2017 roku został spektakl operowy *Romeo i Julia* Charlesa Gounoda zrealizowany przez Michała Znanięckiego w bytomskiej Operze. Ogromna radość towarzyszyła nie tylko twórcy spektaklu i wykonawcom, wśród których był także Andrzej Lampert odtwórca partii Romea, ale także dyrektorowi Łukaszowi Goikowi, dla którego było to piękne zwieńczenie pierwszego sezonu jego dyrekcji. Było to także swego rodzaju potwierdzenie obranej przez niego wizji i linii rozwoju teatru.

Kolejna Złota Maska dla Opery Śląskiej – po *Ubu królu* Krzysztofa Pendereckiego w realizacji Waldemara Zawodnińskiego – w tak nieodległym czasie, to zaiste wielkie uznanie dla tej zasłużonej sceny muzycznej i jej artystów.

Gala Złotych Masek była także okazją do zaprezentowania przez dyrektora Łukasza Goika planów repertuarowych na najbliższe miesiące. Preludium do tych wydarzeń był występ Joanny Woś – śpiewaczki związanej z Teatrem Wielkim w Łodzi, nieprzeciętnej śpiewaczki, dysponującej pięknym sopranem, która po raz kolejny przed śląską publicznością wystąpi w przyszłym sezonie.

## Laureaci Złotych Masek za 2017 rok

- **Kategoria PRZEDSTAWIENIE ROKU**

*Romeo i Julia* Charlesa Gounoda w inscenizacji Michała Znanięckiego w Operze Śląskiej w Bytomiu.

- **Kategoria SPEKTAKL DLA MŁODYCH WIDZÓW**

*Król Maciuś Pierwszy* na motywach powieści Janusza Korczaka w reżyserii Konrada Dworakowskiego w Teatrze Lalek Banialuka im. J. Zitzmana w Bielsku-Białej.

- **Kategoria REŻYSERIA**

Artur Barciś za reżyserię spektaklu *Jabłko* Verna Thiessena w Teatrze Żelaznym w Katowicach.

- **Kategoria AKTORSTWO – ROLA KOBIECA**

Ewa Kutynia za rolę w spektaklu *Conrad* Ingmara Villqista w reżyserii autora w Teatrze Śląskim im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

- **Kategoria AKTORSTWO – ROLA MĘSKA**

Bartłomiej Błaszczyszki za rolę w spektaklu *Słowo o Jakóbie Szeli* Brunona Jasieńskiego w reżyserii Michała Kmiecika, za rolę Ostapa Bendera w spektaklu *Dwanaście krzeseł* Ilia Ilfa i Jewgienija Pietrowa w reżyserii Nikołaja Kolady oraz za rolę Hansa Bieglera w spektaklu *Terror* Ferdinanda von Schiracha w reżyserii Roberta Talarczyka w Teatrze Śląskim im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

- **Kategoria ROLA WOKALNO-AKTORSKA**

Andrzej Lampert za rolę Romea w spektaklu operowym *Romeo i Julia* Charlesa Gounoda w inscenizacji Michała Znanięckiego w Operze Śląskiej w Bytomiu.

- **Kategoria ROLA W TEATRACH LALKOWYCH**

Mateusz Barta za rolę w spektaklu *Król Maciuś Pierwszy* na motywach powieści Janusza Korczaka w reżyserii Konrada Dworakowskiego oraz za rolę w spektaklu *Buratino* na motywach *Złotego kluczyka* Aleksego Tołstoja w reżyserii Mariana Pecko w Teatrze Lalek Banialuka im. J. Zitzmana w Bielsku-Białej.

- **Kategoria SCENOGRAFIA**

Luigi Scoglio za scenografię do spektaklu operowego *Romeo i Julia* Charlesa Gounoda w Operze Śląskiej w Bytomiu, a także za scenografię do spektaklu *Bulwar Zachodzącego Słońca* Andrew Lloyda Webbera, Dona Blacka i Christophera Hamptona w Teatrze Rozrywki w Chorzowie.

- **Kategoria NAGRODA SPECJALNA**

Marcin Herich za reżyserię spektaklu *Próby do Leara* oraz za osiągnięcia artystyczne Teatru A Part i Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Performatywnych A Part.

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru ZASP Oddział Śląski w Katowicach przyznaje Nagrodę im. Leny Starke. Tegorocznymi laureatami zostali: Dariusz Chojnacki za rolę Kicia w *Porwaniu Europy* (Teatr Śląski w Katowicach), Andrzej Kroczyński za rolę Łopachina w *Wiśniowym sadzie* (Teatr Nowy w Zabrzu) i Dariusz Waraksa za rolę François Pignona w spektaklu *Plotka* (Scena Polska Teatru w Czeskim Cieszyńcu).

Nagrodę im. Zbigniewa Grucy „Dziennika Teatralnego” dla najlepszego młodego aktora scen województwa śląskiego otrzymał Andrzej Lampert za rolę Romea w spektaklu *Romeo i Julia*.





Kopice pod Grodkowem były od roku 1360 siedzibą rodu von Borsnitz. Heinrich Kasper zainicjował w 1783 roku przebudowę starej siedziby na klasycystyczną rezydencję. Jej autorem był opolski architekt Hans Rudolph. W 1859 roku dobra w Kopicach zakupił hrabia Hans Ulrich von Schaffgotsch dla swojej siedemnastoletniej żony Joanny Gryzik von Schomberg-Godulla.

W 1863 roku nowi właściciele zlecieli przebudowę pałacu słynnemu architektowi Karolowi Lüdecke, tak oto powstaje założenie pałacowo parkowe, które swym rozmachem zadziwi swą epokę. Jako że nowi właściciele dóbr kopickich dysponowali niebagatelną fortuną, ich rezydencja musiała być wyjątkowa. Otoczona z trzech stron rozległymi stawami, poprzecinana fosami i akweduktami, wśród hektarów ogrodów kwiatowych, w które wkomponowano sad, oranżerię oraz ogród zimowy. Drzewa tropikalne w palmiarni sięgały 17 metrów wysokości. Przed pałacem rozpościerały się kwiatowe dywany o przeróżnych wzorach i barwach.

Obok pałacu, na powierzchni prawie 60 hektarów, rozciągał się park krajobrazowy, doglądał go królewski dyrektor ogrodów Wilhelm Hempel. Stuletnie dęby, sztuczne ruiny „średnio-wiecznego” zamku, „mysia wieża”, świątynia dumania Diany, pawilon chiński to tylko niektóre atrakcje, jakie oferował kopicki park. Jeśli do tego dodamy 1342 rzeźby postaci oraz zwierząt w naturalnych rozmiarach, dłuta wrocławskiego mistrza Carla Kerna uzyskamy bajkowy krajobraz tego miejsca. Atmosfery przepychu i piękna dopełniały przemyślnie wkomponowane w całość fontanny. Na jednej ze sztucznych wysp wzniesiono altanę, obok której stanęła wysoka kolumna zwieńczona figurą anioła. W parku hrabia hodował daniela. Jego syn planował budowę pól golfowych, a nawet małego lotniska dla samolotów. Park będący oazą spokoju był też miejscem, w którym wzniesiono mauzoleum, w którym chowano doczesne szczątki rodziny von Schaffgotsch. Tu, wśród zieleni i w cieniu drzew mieli znaleźć wieczny, niezmacony niczym spokój.

Rok 1945 to schyłek panowania w Kopicach Schaffgotschów. Pozostał piękny pałac i jego ogrody. Zapewne pierwszych grabieży dokonały wojska Armii Czerwonej, poszukując ukrytych kosztowności. Być może na sowieckich żołnierzach ten piękny obiekt wywarł tak wielkie wrażenie, że okazali mu łaskę i pozostawili w nienaruszonym stanie. Jeszcze w latach pięćdziesiątych znajdowało się w nim dawne wyposażenie, a on sam był w wymienionej formie. Pora zadać pytanie; kto, skoro nie czerwonoarmiści, odpowiedzialny jest za zniszczenie obiektu.

Otóż pałac został splądrowany i rozgrabiony przez ludność, która po wojnie osiedliła się w Kopicach. Po cichu nocami wynoszono co cenniejsze wyposażenie. W połowie lat 50. parter pałacu

# Śląskie tajemnice

## cz. 4

### Pałac na wodzie



*Świątynia dumania w kopickich dobrach*

spełniał rolę magazynu płodów rolnych, w tym głównie zbóż. Podobno osoby nadzorujące magazyn nielegalnie handlowały zgromadzonym zbożem za plecami kolektwy. Aby to ukryć w 1956 roku w biały dzień nieznanymi sprawcy podłożyli ogień rozlewając po drewnianych elementach konstrukcji dachowej ropę. W celu utrudnienia akcji gaszenia pożaru otwarto śluzy pałacowych akweduktów okalających obiekt. Pałac skonał w apokaliptycznym ogniu.

Z upływem czasu nie obyło się również bez profanacji mauzoleum. Najpierw naruszono spokój zmarłym pochowanym w grobowcu znajdującym się w parku. Ja trafiłam w to miejsce po długich poszukiwaniach, doprowadził mnie tam dywan przebiśniegów. Mauzoleum przywitało mnie swym nadszarpniętym majestatem i aurą roztaczającego się wokół smutku. Wkoło budząca się wiosna, śpiew ptaków, leśne przebiśniegi i mauzoleum wzniesione na chwałę i wiecz-



Brama kopickiego palacu od strony parku

na pamiątkę wielkiego rodu. Odarte z godności z rozbitymi monumentalnymi schodami. Wybudowane na planie elipsy z wejściowym portykiem, wspartym na kolumnach jońskich z dostawionymi aneksami. Wewnątrz ołtarz i podziemna krypta dziś już pusta, splądrowana i zbezczeszczona.

Trudno dociekać, czemu. Z pewnością pierwsi zakłócali spokój zmarłym dla zy-

sku, w poszukiwaniu białej broni, klejnotów. Kolejni z czystej ciekawości i pospolitej głupoty. Do dziś wśród miejscowej ludności krąży makabryczne relacje, opowiadające o tym jak w latach 60. i 70. zmumifikowane szczątki Schaffgotschów, wywlekane z mauzoleum, wały się po kopickim parku, pływały w pałacowej fosie. Był to okres, w którym wtórnie plądrowano

kopickie grobowce, zrzucano trumny z kamiennych półek, wywlekano z nisz grobowych.

Obecnie mauzoleum jest puste, niezabezpieczone. Pomimo, że wejście do krypty mauzoleum jest zamurowane wejść tam można oknami, które znajdują się przy ziemi, bądź przez otwór w podłodze mauzoleum.

Stąpając po kobiercu przebiśniegów i przylaszczek udaję się pod kościół do mauzoleum, w którym pochowani zostali Hans Ulrich von Schaffgotsch i Joanna Gryczik von Schomberg-Godulla zwana „Śląskim Kopciuszkim”. Tu sprawy mają się nieco inaczej aczkolwiek i w tym przypadku nie obyło się bez profanacji grobowca. Mauzoleum jest potężne, usytuowane przed wejściem głównym do kopickiego kościoła, świadczy o dawnej potędze i majestacie wielkiego rodu. Wchodząc bocznymi wachlarzowymi schodami prowadzącymi na balkon, spoglądam do wnętrza grobowca, w którym znajdują się dwa puste, bogato zdobione kamienne sarkofagi. Po splądrowaniu obu kopickich grobowców za sprawą miejscowego proboszcza szczątki zostały zebrane i złożone obok kościoła.

Fotografując mauzoleum, w zadumie zastanawiam się, w którym miejscu pod trawnikiem w bezimiennym już dziś miejscu pochowani powtórnie zostali Joanna i Ulrich oraz członkowie ich rodziny przeniesieni tu z mauzoleum znajdującego się w parku. Dawniej miejsce to było oznaczone skromnym nagrobkiem ufundowanym przez wnuka Joanny i Ulrich, jednakże w 2017 roku proboszcz zlikwidował przykościelny cmentarz, a wraz z nim zbiorową mogiłę Schaffgotschów. Smutne jest to, że większość z odwiedzających Kopicę, namiętnie fotografując piękny pałac i przykościelne mauzoleum, w pogoni za dobrym ujęciem być może stąpa po grobie ludzi, którzy dopiero w bezimiennym grobie znaleźli miejsce wiecznego spoczynku.

Od feralnego dnia podpalenia pałacu upłynęło sporo czasu, zmieniali się właściciele i zarządcy obiektu, jednak do dziś pozostaje on w ruinie. Ogrodzony, wyposażony w monitoring i ochronę czeka na lepsze dni. Inwestor zaangażowany w rewitalizację obiektu zapowiada rozpostarcie nad pałacem specjalnej kopuły ochronnej, pod którą będzie dokonywany remont. Na ile te zapowiedzi znajdą pokrycie w faktach przekonamy się niebawem.

Tekst i zdjęcia:  
JULIA MONTEWSKA

*Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.*

## Śląski Kopciuszek

O tym, że życie jest mało przewidywalne, a los białą niezapisaną kartą przekonujemy się każdego dnia. Poniższa historia, choć może wydawać się bajką, wydarzyła się naprawdę. To opowieść o dwojgu ludzi, których dzieliło w zasadzie wszystko, a jednak przekorny los splótł na zawsze ich drogi. Joanna Gryzik urodziła się w Porębie (obecna dzielnica Zabrze), w zwykłej chłopskiej chacie, w biednej śląskiej rodzinie. Matka była służącą w domu największego śląskiego przedsiębiorcy, u którego pracował też ojciec Joanny, zatrudniony w hucie cynku.

Karol Godula, człowiek zimny i posepny, budzący lęk, tak i wyglądem jak i osobowością. Stroniący od ludzi magnat przemysłowy Śląska nazywany był „królem cynku”. Dorobił się niewyobrażalnej fortuny, jednej z największych w dziejach Śląska, jednak szorstki w obyciu pędził samotne życie. Po śmierci ojca Joanny matka była zmuszona zabierać ją z sobą udając się na służbę.

Pewnego razu, gdy Godula pracował w swym gabinecie, mała Joasia podeszła do niego nie okazując strachu ni respektu dla posepnego i dumnego pana. Karol był tak zaskoczony i ujęty jej bezpośredniością, że postanowił się nią zaopiekować.

Odtąd Joasia wychowywała się w domu Goduli w Rudzie, który zaangażował dla niej nawet prywatnego nauczyciela. Nie mając dziedzica ani rodziny, dzień przed śmiercią sporządził testament, w którym cztery kopalnie galmanu i połowę udziałów w kolejnej, sześć kopalń węgla, cztery majątki ziemskie: Szombierki-Orzegów, Bobrek, Bujaków oraz Chudów-Paniówki – łącznie prawie 70 tys. mórg pola i prawie 3,5 tys. mórg lasu – zapisał szesnastoletniej wówczas Joannie. Dalszych swoich krewnych, których uważał za ludzi nienadających się do prowadzenia interesów uczynił w testamencie legatami pieniężnymi.

Tak oto rozpoczyna się historia, którą napisało samo życie. Po ogłoszeniu treści kontrowersyjnego dokumentu, testament stał się prawdziwą sensacją, a Joasię okrzyknięto „śląskim Kopciuszkim”, który później z rąk króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV otrzymał tytuł szlachecki i nazwisko Gryczik von Schomberg-Godulla.

W Mysłowicach przy ulicy Starokościelnej 5 znajduje się najstarsza świątynia tego miasta. Nosi wezwanie Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Jej mury i fundamenty pamiętają czasy renesansu. Nowy barokowy kostium otrzymała w pierwszej połowie XVIII wieku za sprawą ówczesnego proboszcza ks. Jerzego Antoniego Mioszewskiego, kanonika krakowskiego, który ściany nawy głównej ozdobił epitafiami upamiętniającymi najwybitniejszych darczyńców na rzecz Mariackiego sanktuarium. Liternictwem przypominają podobne obiekty z katedry na Wawelu i kościoła NMP w Krakowie.

Około 1743 roku, na ścianie północnej swojej fary, duchowny dbający o historyczne pamiątki, umieścił czarną marmurową płytę z inskrypcją poświęconą Annie Katarzynie Salomonowej, wdowie po Mikołaju, która w latach 1576-1614 a więc przez prawie 40 lat zasiadała na fotelu suwerenów ziemi myśłowickiej i samodzielnie władała krociovym jej majątkiem. Do największych jej zasług dla Pana Boga i wspólnoty parafialnej należało założenie bractwa św. św. Katarzyny i Anny. Erygowała je z okazji 30. rocznicy powstania kongregacji utworzonej w Krakowie przez ks. Piotra Skargę i nawiązywała do jej tradycji.

Prawie przez 3 stulecia epitafium Katarzyny Salomonowej wykute majestatyczną, złotą kapitałą – praktycznie było najważniejszym źródłem informacji określającym jej pochodzenie. O wynikających z tego zabawnych qui pro quo pisaliśmy w ubiegłorocznym listopadowym wydaniu miesięcznika „Śląsk”.

Zarówno spadkobiercy jak i badacze przyjmowali, że Katarzyna była szlachcianką i pochodziła z Korzkwi pod Krakowem. W tym niebłahym stwierdzeniu upewniali pierwsze słowa dostojnego epigrafu:

„GENEROSA CATHARINA KÓZŁOWNA Z GORSWKIE SALOMONOWA VIDUA OLIM GENEROSI NICOLAI SALAMONIS HÆREDIS BONORUM MISŁOVICENSIIUM UXOR DEVOTISSIMA...” (Szlachetna Katarzyna Kozłówna z Korzkwi Salomonowa, wdowa po zmarłym szlachetnym Mikołaju Salomonie, dziedzicu dóbr myśłowickich, jego wierna żona... Przekład: dra Z. Jedynaka.)

Tekst ten nie wzbudzał żadnych wątpliwości, tym bardziej że został zredagowany przez Antoniego Mioszewskiego, wnuka Doroty Mioszewskiej de domo Salomon, bratowej imć pani Katarzyny. Uznany za wiarygodny wraz z innymi niedopowiedzeniami był przyczyną wielu filuternych interpretacji a osobę zacej pani Salomonowej – władczyni ziemi myśłowickiej osnuwał mgłą tajemnicy i rozmaitych domysłów. Jeszcze do niedawna do tej starej „prawdy” byli przywiązani historycy i badacze myśłowickich dziejów i genealogii Salomonów herbu Łabędź.

Dnia 13 marca a. d. 2018 – dr Zdzisław Jedynak badając akta Archiwum Narodowego w Krakowie przy ulicy Siennej 16, odkrył dokument, który odpowiada na pytanie skąd pochodziła Anna Katarzyna, żona Mikołaja Salomona.

– Wśród niezmierniej ilości zapisów w aktach miejskich – w księgach rady miejskiej (radzieckich) znalazłem bardzo ciekawy wpis dotyczący Katarzyny Salomon. – mówi dr Jedynak – znajduje się w księdze na-

# Odkrycie dr. Zdzisława Jedynaka

HENRYK SZCZEPAŃSKI

leżącej do zespołu o nazwie Akta miasta Krakowa, oznaczonej sygnaturą 760, na stronie 920. Mianowicie pod datą 4 sierpnia 1568 r. zapisano pełnomocnictwo do reprezentowania jej w sądzie, wystawione dla jej męża Mikołaja Salomona.

W świetle tego zapisu dowiadujemy się, że Katarzyna pochodziła wprawdzie z bogatej rodziny, ale nie szlacheckiej lecz mieszczańskiej. Wcale nie z Korzkwi czy innej wioski, ale z Krakowa. Na wspomnianej tablicy pamiątkowej z połowy XVIII wieku w Mysłowicach ufundowanej przez księdza kanonika Mioszewskiego, ówczesnego proboszcza myśłowickiego, znalazła się więc ewidentna pomyłka. Po 150 latach nie wiedział już, jakiego była ona pochodzenia – wyjaśnia badacz i odkrywca prezentując fragment odnalezionego zapisu:

„Stawiła się przed nami szlachetna pani Katarzyna, córka nieżyjącego już sławetnego pana Mikołaja Kosła [Nicolaus Cosla], rajcy krakowskiego i przełożonego poborców Jego Królewskiej Mości na ziemiach ruskich, a żona szlachetnego pana Mikołaja Salomona”.



Najstarsza świątynia Mysłowic – kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny przy ulicy Starokościelnej 5

Tytuł szlachecki Jaśnie Pani Katarzyna miała po mężu Mikołaju Salomonie. Jej panięńskie nazwisko Cosla, może wskazywać, że protoplasta tego rodu był przybyłym z Koźła nad Odrą. W archiwalnym dokumencie z 1609 roku jako świadek w sprawie o zastaw Kuźnicy Boguckiej występuje jej rodzony brat o imieniu Melchior z nazwiskiem zapisanym jako „Kossła”.

Pierwotnie Salomonowie byli bogatą rodziną mieszczańską w Krakowie. Tytuł szlachecki i herb Łabędź uzyskali dopiero od króla Zygmunta Staroego za zasługi dla Królestwa Jagiellonów prowadzącego wojnę z państwem zakonu krzyżackiego. Jako kaprys krotochwilnej historii warto przypomnieć, że odnaleziony dokument liczący niespełna 500 lat, przetrwał w pobliżu posesji Mikołaja Salomona, który do 1547 roku miał kamienicę przy ulicy Siennej 5.

W dorobku naukowym dr Jedynaka ustalenie rodowodu władczyni państewka myśłowickiego, jest już kolejnym odkryciem. Na krawędzi tysiącleci odnalazł w Warszawie spizowego lwa aż do lat wojennych zdołającego rynek w Bytomiu, a potem na przeszło pół stulecia zagubionego a raczej „uprowadzonego” w trakcie budowlanych przeprowadzek. Posąg odlany w 1873 roku na cześć pruskiego zwycięstwa nad Francuzami w 1871 roku, badacz i poszukiwacz wytropił, odnalazł i zidentyfikował przed bramą warszawskiego ogrodu zoologicznego. Dzięki niemu królewski lew projektu Teodora Kalidego, znów rezyduje na bytomskim rynku. Zaslugą dociekliwego archiwisty jest też ustalenie katowickiego adresu i daty zamieszkania w Katowicach braci Kucharzów Jana i Wincentego spowinowaconych z ks. Pawłem Kamińskim, założycielem i pierwszym proboszczem parafii starokatolickiej na pruskim Śląsku a wcześniej kapelanem generała Mariana Langiewicza w powstaniu styczniowym. Dwaj bracia prowadzący zakład rzeźniczy u zbiegu dzisiejszej Staromiejskiej i św. Jana wspierali uciekinierów z powstania styczniowego i zapewniali im azyl pod dachem swego domu.

Fot. Tomasz Bieniek

# Śmierć Kanta, esej o melancholii

JOLA TRELA

„Działanie intelektu niezmordowane jak machina niebieska”  
Thomas de Quincey

Jest w życiu Immanuela Kanta jakaś tajemnica, która nie pozostawia obojętnym nikogo, kto się z nią zetknie. Jest tak intrygująca, że pozwalamy jej, aby pracowała w nas, dopóki nie dokona dzieła przemiany.

Zwykliśmy sądzić, że śmierć jest aktem jednorazowym i nieodwracalnym. Nieodwracalnym z pewnością, ale nie jednorazowym, bo jeżeli głębiej zastanowić się nad tym, czym jest śmierć, to okaże się, że jest to proces i że człowiek umiera przez całe życie. Każdy, co jakiś czas, po wykonaniu niejako pełnego obrotu, rozpoczyna obieg, od nowa, na wyższym kręgu spirali. Równocześnie, o tyle zachowuje tożsamość, o ile prawdziwe jest zdanie Rimbaud, „*ja to ktoś inny*”. Najczęściej ten proces jest niezauważalny, ale może mieć wręcz dramatyczny przebieg. Ma to związek z dynamiką rozwoju duchowego, która jest inna u każdego. Kant żył osiemdziesiąt lat i choć to może wydawać się dziwne, panuje powszechne przekonanie, że całe jego życie było monotonne i że nic specjalnego się w nim nie zdarzyło. Podobno Heine miał wręcz powiedzieć, że „*trudno jest napisać historię życia Immanuela Kanta, bo on nie miał ani historii, ani życia*.” Jednak pięciu współczesnych Kantowi biografów, wytrwale pisało o nim, że żył samotnie, w jednym mieście, wykładał na jednym uniwersytecie i że przez lata miał jednego służącego. Z tej perspektywy rzeczywiście niewiele widać. Kant też niewiele mówił na ten temat. Może nie chciał? Może, tak jak autorzy jego biografii, wolał patrzeć na swoje życie z perspektywy horyzontalnej, związanej z czasem? Może wolał sądy jednoznaczne i kategoryczne, jak ostatnie zdanie, które wypowiedział, „*Jest dobrze*”? I choć trudno orzec do jakiej rzeczywistości się odnosi, jego znaczenie nie budzi wątpliwości. Ale jest jeszcze inna perspektywa, wertykalna, poza czasem, która określa nas wobec wartości ostatecznych. Z tego punktu widzenia, trudno nie zauważyć gwałtownych, a nawet dramatycznych wydarzeń. Ale stąd nie widać linii prostej; stąd nie ogląda się zdarzeń po kolei. Tu nic nie jest jednoznaczne. To jest stan, o którym pisał Edward Stachura, „*kołowanie nad czymś, jak kondor kołowanie, nad tym co niby widne, ale nie tak bardzo*.” Więc, co stąd można zobaczyć? Najpierw trzeba spróbować znaleźć trop. Kant żył osiemdziesiąt lat. Ósemka symbolizuje nieskończoność, a także pętlę. Pętla, w pewnym sensie, przywodzi na myśl trasę, jaką wykonuje planeta krążąc po swoim torze. A także trasę, jaką wykonywał Kant, w ciągu dnia, krążąc po torze swoich zawsze tych samych zajęć. Tylko on mógłby powiedzieć, ile odbył dynamicznych, transformujących okrążeń, w swoim długim, pozornie nieciekawym życiu. Zamknięty w orbicie linii ciągłej stanowiącej kontinuum czasoprzestrzenne, gwarancją bytu. A także w orbicie linii nieciągłej, a jednak nieprzerwanej, jaką wyznacza bieg myśli. Czyżby trzymanie się myśli było podobne do trzymania się nocą przez Kanta linki przyciągniętej od wezłowania łóżka z jego wiecznie ciemnej sypialni do jadalni? Trzymając się jej, można nocą wejść do labiryntu. Równomierne tykanie zegara, jak bicie serca, towarzyszy niepewnym krokom.

## GODZINA PIĄTA

W wąskim kręgu świadomości, jak w snopie światła lichtarza, który nie rozprasza całkiem ciemności nocy; w oparach dymu porannej fajki i w parze dymiącej z filiżanki gorącej herbaty, Kant siedzi w swoim gabinecie o piątej rano. Zegar wybija godzinę, zawsze tę samą, niezmienną, przewidywalną, jak następstwo pór roku. Nie trzeba się więc nad tym zastanawiać i o to chodzi. Raczej powoli przejść ze świata snu do rzeczywistości, które to przejście nie jest wcale takie oczywiste. Notując gdzieś na obrzeżach świadomości bicie zegara, Kant może czuć się bezpiecznie pogrążony w czasie przeszłym, albo przyszłym i w takim stanie pół snu pół jawy, może jak zwykle bezwiednie kontemplować obłoki dymu rozwiewające się po gabinecie, jak poranna mgła nad Królewcem.

Wizerunek Kanta skłania do refleksji; bo oprócz tego, że miał, „*tę dziwną rzecz, geniusz*”, jak zwykł mawiać James Joyce; powstaje pytanie, skąd wziął tak niepospolitą siłę i upór w działaniu? Skąd u niego ta wytrwałość w dociekaniu prawdy? Jak wiadomo, był już w dojrzałym wieku, kiedy nie znany nikomu, jako jeden z wielu szeregowych pracowników prowincjonalnego uniwersytetu; przez ponad dziesięć lat, pracował nad swoim najważniejszym dziełem „*Krytyką czystego rozumu*”. Jak to możliwe, że będąc tak niepozornym z wyglądu, był zarazem esen-

cję ducha pruskiego i ikoną Królewca? A mimo to, jak każdy, umierał wiele razy. Bo, jak powiedział poeta sufi, „człowiek umiera najpierw z powodu swej natury, potem gdy gwałtnie jego wola i dopiero na końcu, gdy dusza rozstaje się z ciałem”. Nielicznym dane jest urodzić się po raz drugi, długo po narodzinach fizycznych; wielu natomiast umiera dużo wcześniej, zanim nastąpi fizyczny zgon. Odbywając tę samą podróż, mniej czy bardziej świadomie, każdy w pewnym momencie musi znaleźć się w miejscu, które opisał Dante, „W życia wędrowce, na połowie czasu, / Straciwszy z oczu szlak niemyślnego drogi, / W głębi ciemnego znalazłem się lasu.” Każdy też, w czasie swojej życiowej podróży, przynajmniej raz, musi stanąć przed kluczowym wyborem; czy przekroczyć próg i iść dalej, czy zawrócić. Załóżmy, że Kant należał do tych niewielu, którzy doświadczyli tego, czego może doświadczyć człowiek w mieście, w którym wilgoć i mgła są tak dojmujące, że przenikają ciało do głębi. Zimne krople wody spływają po twarzy, przenikają ubranie, wnikają w duszę. Więc co się stało tamtego pochmurnego dnia nad ranem, kiedy widok przez okno przesłaniała delikatna zasłona utkana z lodowatej mżawki? A potem, kiedy nad miastem powoli zaczynała gęstnieć mgła, skąd się wzięły te nagłe pomruki burzy? Wreszcie ten huk nie do zniesienia i równie nie do zniesienia widok za oknem, którego nie można już nigdy zapomnieć; grube mury zamku królewieckiego rozpadające się w pył, przy trzasku łamiących się drzew...? Jakże chciał wtedy usłyszeć kojący głos matki, „Manelchen, Manelchen, nie bój się, to tylko sen! Ale to nie był sen. Czy właśnie pamięć o tym, albo o podobnym zdarzeniu, kazała mu po latach wypowiedzieć te, jakże zaskakujące słowa: „nie mam odwagi mówić o wszystkim, o czym myślę”? Czy dlatego, żeby to się już nigdy nie powtórzyło, Kant zaczął wstawać o piątej rano, codziennie, z żelazną dyscypliną? „Łóżko – gniazdo chorób”, mawiał; „nie można kłaść się na złym boku”. To nie takie dziwne, gdy pamiętamy, że Kant mówił o sobie, że „ma charakter melancholika”. Kiedy rozum nie ma kontroli nad uczuciami, melancholik może wpaść w egzaltację, mieć prorocze sny, wygłaszać przepowiednie. Kant w młodości żywo interesował się mistyką, podkreślając zarazem, że „swoje słabości trzeba znać, żeby nie pozwolić im się rozwijać”. Jednak tuż przed czterdziestym rokiem życia nastąpiło przesilenie. Być może zapłacił za wysoką cenę za zbyt duże zainteresowanie szwedzkim mistykiem, Emanuelem Swedenborgiem? „Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy, / Bo mną owładła senność jakaś duża / W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.” Wiele lat później, Kant całkowicie wyprze się siebie i jak zawsze niewyraźnie, cichym głosem powie, że jest „umiarkowanym przyjacielem uczuć mistycznych”. Po co mówić o mistyce, o odrodzeniu duchowym; kiedy w zupełności wystarczy odnowa moralna? „Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie.” Najwyższy czas, żeby ułożyć sobie plan dnia.

## GODZINA SZÓSTA

Lampe już sprzątnął po śniadaniu, wyniósł stolik do herbaty i lichtarz. Wybiła szósta. Słońce weszło i Kant w naturalnym świetle siedzi przy stole i pisze. To są jego ulubione i najbardziej płodne godziny pracy. Teraz jest w najlepszej formie; wypoczęty i twórczy. Uparcie zmierza do centrum, do sedna, do istoty rzeczy; całkowicie oddany tropieniu prawdy; podąża za nią wszędzie, gdzie tylko może go zaprowadzić myśl! Właśnie teraz odbywa zdumiewające podróże po nieodgadnionych przestrzeniach ludzkiego umysłu. Wytacza drogi, którymi pójda inni. Nie tylko współcześni mu filozofowie i ich następcy; ale także naukowcy i fizycy w XX wieku; jednym z nich będzie Heisenberg, twórca „teorii nieoznaczoności.”

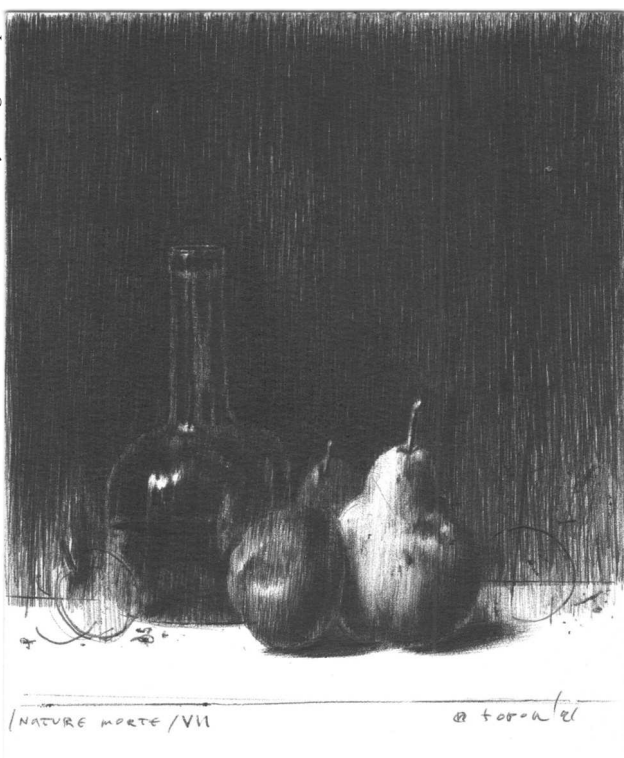


Rys. Maria Korniewicz

Podróż przez piekło stanowi część wyprawy, której nie można ominąć. *Granice mojego piekła, są granicami mojego charakteru*; można powiedzieć parafrazując słynne zdanie Wittgensteina. Kant od dziecka cierpiał na hipochondrię. Jego matka umarła, gdy miał 13 lat; a ojciec, gdy miał 22 lata. W młodości przeżył też boleśnie śmierć innych, ważnych dla siebie osób. Wokół słowa miłość na zawsze zaległa grobowa cisza. Ta cisza, jak cień, pozostała z nim do końca życia; podobnie jak ucisk w głowie i ból żołądka. Nie pomogło ograniczenie jedzenia do jednego posiłku dziennie; oraz to, że był spożywany w starannie dobranym, miłym towarzystwie. Miłe towarzystwo nigdy nie zastąpi rodziny. „Człowiek tyle razy umiera, ile razy traci swoich bliskich.” Przesadne przywiązanie do spraw wielkich prowadzi do utraty radości życia. Można wręcz zaryzykować matematyczne twierdzenie, że im dłużej Kant odbywał swoją życiową podróż, po ściśle określonym torze, a więc narzucając sobie wiele dobrowolnych ograniczeń; tym bardziej, w tempie jednostajnie przyspieszonym, wygasła ciekawość świata i zachłanność na życie. A potem także miłość, oddanie i cześć dla świata. Co więc zostało? Z pewnością niepospolita siła woli i determinacja. Ale także, miłość własna i lęk. Lęk, na początku gwałtowny, lecz łatwy do opanowania, prawie nieobecny; pod koniec życia wzbierający, paraliżujący, obezwładniający, nie do wytrzymania. Znał go Lorca, hiszpański poeta, gdy pisał, „Sztylet / zapada w serce, / jak pazur brzozy / w ziemię jałową. / Nie / Nie wbijaj mi go. / Nie.” Dopiero po wielu latach, Kant mógł ze względny spokojem słuchać o tym, jak inni umarli; siedząc bezpiecznie przy stole, wśród współbiesiadników. „Moi drodzy przyjaciele, nie ma przyjaciół!”, mówił i pisał wiersze z okazji śmierci kolegów z uniwersytetu. Ale to przynosiło chwilową ulgę. Została skaza; niemoc, kładąca się cieniem na całym późniejszym życiu. Została także niechęć do nagłych i niespodziewanych dźwięków, do wszelkich dźwięków w ogóle i do wszystkiego, co nagłe i niespodziewane.

## GODZINA ÓSMA

Droga na uniwersytet, to droga życia Kanta; szlak jego pieszych wędrowek, których cel jest równocześnie celem jego życia! Wystarczy pomyśleć, że Kant nigdy nie założył rodziny, żeby w pełni uświadomić sobie, jaką rolę w jego życiu odgrywała uczelnia. Przemierzał tę trasę od wczesnej młodości. Zaczął jako student, potem magister, wreszcie rektor. Dzień po dniu; w słońcu i w deszczu; w stosunkowo dobrym zdrowiu, jak i przy pogarszającym się z wiekiem samopoczuciu. To tu, na uniwersytecie, jak w alchemicznym tyglu, dokona-



ła się zdumiewająca przemiana w Kancie! Przemiana tym większa, im bardziej niezauważalna, prawdopodobnie na początku, nawet dla niego samego. Jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie, jednakże w przeciągu wielu długich, zdawałoby się takich samych, lat, Kant – student powoli i nieodwracalnie przekształcał się w Kanta – filozofa. Z poczwarki w motyla, z „pruskiego urzędnika uniwersyteckiego”, jak go określił Nietzsche, w wielkiego myśliciela! Ale stop: ta przemiana nie była widoczna, bo jak zauważył Heine, Kant był „podobny do zegara z wieży królewskiej: beznamiętny i dokładny” a styl jego najważniejszego dzieła filozoficznego „*jest suchy i szary jak papier pakowy*.” Zegar na wieży wybija godzinę ósmą. Kant na chwilę przystaje i spogląda na odbicie nieba w kałuży, a następnie w samo niebo. Nie lubi jesieni i mgły utrzymującej się nad miastem.

Zegar wybija kolejne godziny. I choć wędrowka zatacza coraz szersze kręgi, Kant w istocie nie rusza się z miejsca. Wiąże go myśl. *Myślę, więc żyję*, mógłby powiedzieć parafrazując słynne zdanie. Umrzeć – dla Kanta – to przestać myśleć! I nie ma tu żadnej sprzeczności, albowiem myśl to czas! Więc niech biegnie, niech prowadzi, niech krąży nad tematem, zataczając ósemki, pnąc się spiralnie w górę, jak struktura DNA!

## GODZINA PIERWSZA

Wybiła trzynasta. Piętnaście minut temu służący Lampe powiedział swoje sakramentalne: „za kwadrans” i zebrani goście zajęli już swoje miejsca w jadalni. „*Tak więc, moi panowie, do dzieła*”, tymi słowami Kant zwykł codziennie rozpoczynać obiad; kulminacyjny punkt dnia; czas na jedyny posiłek i na jedną lekką rozmowę, nigdy o filozofii. Oto jak go opisał Reichardt: „*Kant był bardziej suchy, niż popiół, zarówno na ciele jak i na umyśle. Był małej postury i prawdopodobnie człowiek o bardziej wyschniętej, chudej i wysuszonej anatomii nie pojawił się na tej ziemi. Górna część jego twarzy była dostojna; czoło wysokie i jasne, nos o szlachetnej linii, oczy błyszczące i przenikliwe, ale intensywnie wyrażające najordynarniejszą zmysłowość, która*

*objawiała się w nieumiarkowanym oddawaniu się jedzeniu i picciu.*” Po zaspokojeniu pierwszego głodu, Kant pyta zebranych gości: „*Teraz, moi panowie, pomówmy na jakiś temat; co nowego słyszać?*” i zaraz dodaje: „*z własnego doświadczenia wiem, że najlepsze jest wszystko to, co jest suche: suche powietrze, suchy chleb, suszone owoce i wytrawne wino*”. Zdarzyło się kiedyś, że zażartował, „*najlepiej też, jak mówił Heraklit, mieć suchą duszę*”.

Śmierć woli jest etapem śmierci człowieka. Próbować przestać myśleć można wtedy, gdy się utraci wolę myślenia. Jednak, gdy umiera wola myślenia niekoniecznie musi umrzeć wola życia. Wygląda jednak na to, że u Kanta obie były jednym. Równocześnie z utratą ciągłości myślenia, nastąpiła utrata poczucia czasu; a więc chaos, dezintegracja. Powolny rozpad struktury. Nikt nie umierał tak powoli i tak beznadziejnie jak Kant. Nikt nie umierał tak jak on – bez powodu. Nie było to umieranie spowodowane chorobą, nawet nie starością. Była to śmierć z braku wyjścia, z braku innej możliwości. Śmierć z niemożności odnalezienia właściwej drogi. Nadaremno teraz dociekać; czy z niewiedzy, czy z braku wiary, że wyjście w ogóle istnieje? Wyjście poprzez samą śmierć! „*Pamiętaj o rzeczy najważniejszej: drzwi są otwarte.*” Kant nie zapamiętał Epikteta?

## GODZINA TRZECIA

Wybiła trzecia. Po obiedzie, jak zwykle, Kant spaceruje po ogrodach królewskich koło swojego domu. Zawsze sam. „*Podobny do rysunków egipskich, sunie aleją lipową płaski jak własny cień.*” Podobny do wskazówki zegara słonecznego; zataczając krąg; swoimi krokami niezmiennie odmierza czas dla mieszkańców Królewca. Idzie powoli, coraz mniej pewnie; coraz częściej przystaje. Aż pewnego dnia zdarzyło się, że nie wrócił na czas do domu.

Dlaczego Kant stracił poczucie czasu? Może przydawał mu za wielkie znaczenie? Obarczył zbyt dużą odpowiedzialnością? Na co wobec tego należało postawić? Co uczynić przewodnikiem w życiu? Czas nie sprostał oczekiwaniom Kanta. Okazało się, że nie jest partnerem w rozmowach. Czas to źle wybrany przewodnik. To nie ta nić.

## GODZINA PIĄTA

Magiczna godzina zmierzchu. Kant siedzi nieruchomo i kontempluje widok za oknem, „*ograniczony obraz przyrody zamknięty w prostokącie okna jak pejzaż w ramie.*” Niezmiennie ten sam widok od lat; źródło odpoczynku i natchnienia. Chwila wyczekiwana z niecierpliwością, z mieszaniną niepokoju i podniecenia, niemalże z drżeniem. Wybiła piąta. Nikomu nie wolno wchodzić do gabinetu o tej porze. Nie ma i nie może być żadnych wyjątków od tej reguły. Teraz twarz filozofa zastyga w bezruchu. Nieruchomieją topole za oknem i wieża kościoła Löbenicht z wolna zaczyna się rozwiewać razem z mgłą i zapadającym zmrokiem. Jeden jedyny raz, w ciągu dnia, Kant przekracza granicę czasu; jest w wieczności! Teraz i tylko teraz pozwala sobie na to, żeby stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, z teraźniejszością, z *nieproszonym gościem*. Bardzo ostrożnie, powoli wychodzi poza gruby mur obronny przeszłości, męczących wspomnień, rozdrzganą gorących emocji, oraz zimnych, niewzruszonych kategorii i pojęć. Przekracza siebie i jeszcze raz idzie dalej; w jednym momencie, krótszym niż jedna milionowa część sekundy, próbuje wykroczyć poza świat zjawisk i... ale zaraz; co się dzieje...? Nagle nić się urywa i słynne godziny dnia Kanta roz-

sypują się jak sznur pereł! Perły mieszają się z zimnymi kroplami mżawki i skraplają w mgłę nad Królewcem; perły eksplodują w miliardy galaktyk, które na wieczornym niebie wirują po elipsach bez końca! „Dosyć tego; zamknąć okiennice; to nie do wytrzymania!”

Śmierć Kanta zaczęła się o wiele wcześniej, znacznie wcześniej, niż zwykliśmy sądzić; być może nawet kilkadziesiąt lat wcześniej... Prawdopodobnie zanim po raz pierwszy sformułował swoje postulaty. To, co widzimy później, nie jest niczym innym, jak rozpaczliwą próbą zachowania pozorów życia. Próbą ponawianą heroicznie, jakby z poczucia obowiązku, wytrwale, codziennie, z pruską dyscypliną, od 5 rano do 22-giej wieczorem. Z coraz słabszym skutkiem; jakby zabrakło paliwa; jakby kilkadziesiąt lat wcześniej został zerwany kontakt ze źródłem zasilania. Życie toczyło się, siłą rozpędu, od lat na wolnym biegu, aż do zatrzymania.

## GODZINA SIÓDMA

Jest wieczór. Lampe zapalił już świece i wymienił na nową białą chustkę, którą Kant lubi mieć rozwieszoną na krześle. Wybiła siódma. Kant nie zauważył, kiedy wyszedł służący, bo siedzi zagłębiony w fotelu, oddany całkowicie lekturze. Pod koniec życia, w postępującym chaosie, w jakim pogrążał się jego umysł, Kant coraz częściej tracił kontakt z rzeczywistością fizyczną. Tu przeżywał sobie tylko znane męki, gdy godzinami czekał na kawę, albo tytoń. Prawdziwe życie było gdzie indziej, w przestrzeni mentalnej, którą latami budował jako wykładowca uniwersytetu. Wychowany na filozofii Greków i Rzymian, kochający Cyncerona, jak siebie samego, mieszkał w stworzonych przez siebie ogromnych pałacach pamięci. Tu przeżywał sobie tylko znane rozkosze, gdy po raz kolejny omawiał prawo ruchu planet Keplera. I tak jak one, nie mogąc zbroczyć z toru, po starych koleinach, krążył w kółko...

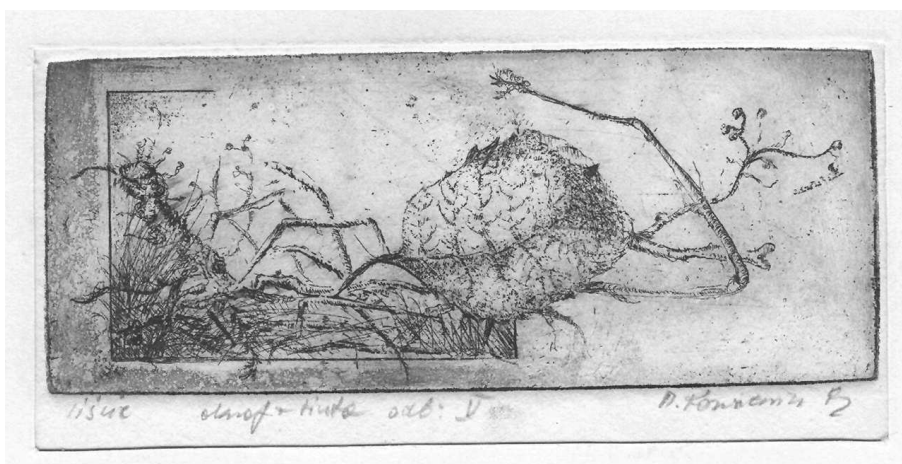
Zza mgły, która spowiła miasto i opisy biografów, wyłania się Kant student, Kant wykładowca i Kant starzec. Który z nich żył pełnią życia? „Ten, kto upiera się przy pewnym programie i nie słucha czego domaga się jego serce, ryzykuje popadnięcie w schizofrenię. Taka osoba traci własne centrum”, pisze Joseph Campbell, amerykański religioznawca, w swoim dziele o podróży bohatera mitycznego. Posłuchajmy samego Kanta. „Gdy miałem dwadzieścia dwa lata wiedziałem, że szlak, którego będę się trzymał, został już przede mną wyznaczony, że pójdę swoją drogą i nic mi nie

przeszkodzi w jej kontynuowaniu! Zakochałem się w filozofii i jej pozostałem wiernym mężem i jej pozostawię liczne i nieśmiertelne potomstwo.” Podobno, kto zamierzył wielkie dzieło, klęskę ponosi właśnie wtedy, gdy je ukończył. Posłuchajmy jeszcze raz, co mówi Campbell, „To wszystko, czego człowiek rzekomo chce, w co pragnie wierzyć, na co, jak sądzi, może sobie pozwolić, co postanawia kochać i do czego, jak sądzi, jest zobowiązany, to najgroźniejszy smok, który czai się w nim; to ego.” Wyspa ego, to obszar cogito; miejsce, które daje poczucie bezpieczeństwa, ale jest więzieniem. Jeżeli odważysz się ją opuścić, będziesz żył wiecznie, namawiała filozofia. Kant nie słuchał, bo trzymał nić. Pozostanie tu, to początek końca, przekonywała, to powolne umieranie. Nie wierzył, bo umieranie było jak życie, najpierw niezauważalne i bezbolesne. Ach, któż z nas zdoła tego uniknąć? Dopiero później, po latach, stało się nie do wytrzymania, nie do zniesienia; by w końcu stałe śmiertelnie przerażać, kiedy do brzegu zaczęły podpyływać potwory; zmory koszmarów sennych i bezsennych nocy. Kiedy śmiertelnym wrogiem stał się nawet wierny służący, Lampe; już nie pomagało, ani mówione, ani pisane zaklęcie: „wysstrzegać się złych snów”! „Sztylet, / jak promień słońca / rozjarza straszne parowy. / Nie. / Nie wbijaj mi go. / Nie.”

## GODZINA DZIESIĄTA

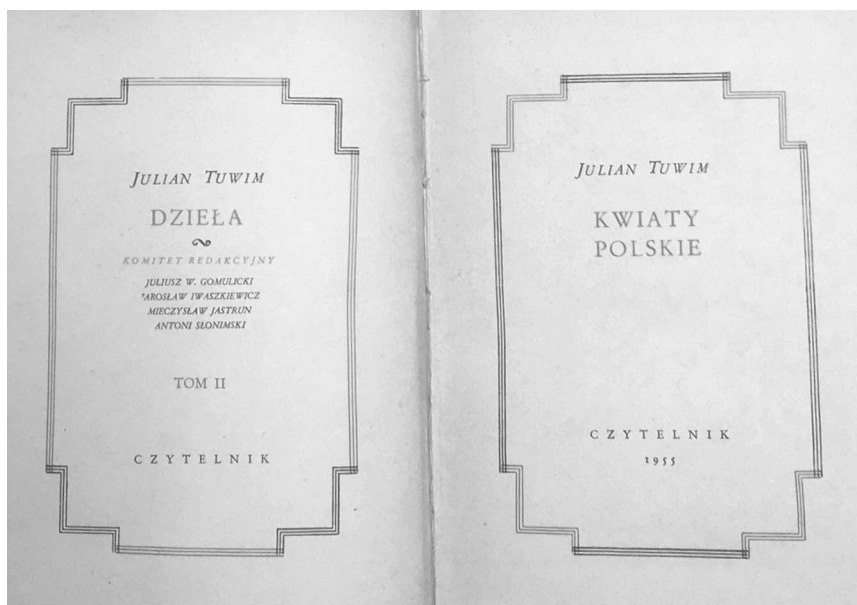
Sypialnia z wiecznie zamkniętymi okiennicami i z zimnym zielonym piecem. Wybiła dziesiąta. Jest noc. Kant przytrzymując na głowie podwójną szlafmycę, właśnie połknął tabletki doktora Trummera na trawienie. Jeszcze tylko pozwoli odsuwać podwójną koldrę i sprawdza, czy na pewno linka jest przywiązana do zagłówka łóżka. Co z tego, że trzymając się jej, kiedyś nocą wszedł do labiryntu, kiedy teraz nie może z niego wyjść? Równomierne tykanie zegara i urywane uderzenia serca, towarzyszą coraz bardziej niepewnym krokom...

„Ach! Gdybyśmy wiedzieli -co dalej-! gdybyśmy mogli wytężyć przyszłe linie naszych dróg”... pisał Bolesław Miciński. Być może Kant już nie chciał wiedzieć: -co dalej-? Być może poprzez uparty i rygorystyczny rytuał powtórzeń, każdego dnia, pragnął podświadomie zatrzymać czas, unieważnić godziny? Być może chciał sprowadzić wszystkie dni do jednego dnia? I osiągnął cel; niemożliwy dla nikogo, ani przed nim, ani po nim; zamknął się w jednym dniu, na wieczność, jak mucha w bursztynie. ■



Rys. Maria Komisiewicz

# BLASK ARCYDZIEŁ



## Blask Kwiatów polskich

JERZY PASZEK

Jak wiadomo, losy książek, antologii lub florilegiów (czyli 'zbiorów kwiatów'; Czytelniku, to już druga aluzja w tym incipicie!) bywają w czasach czujnej, państwotwórczej cenzury albo też w epoce zdominowanej przez rytuały politycznej poprawności bardzo skomplikowane, ale za to prowadzą ciekawskich w tajemnicze krypty zakazanych manuskryptów! Analogiczne są również dzieje *Kwiatów polskich*, pisanych przez Juliana Tuwima w latach 1940–1944 w Brazylii i Stanach Zjednoczonych, wydawanych zaś od 1949 w tomach, które były troskliwie sprawdzane przez perełowską cenzurę, a ostatecznie odtworzone – zgodnie z brzmieniem autorskiego czystopisu – dopiero po prawie pół wieku! Mam na myśli wydanie krytyczne: J. Tuwim: *Pisma zebrane*. [T. IV]: *Kwiaty polskie*. Oprac. T. Januszewski. Warszawa 1993 (cytując tę edycję, używam skrótu PZ; wszelkie podkreślenia należą do mnie, J. P.). I jakże tu nie lubić teksteologii, gdy zapewniamy takie emocje! Sam Tuwim uwielbiał ową „erudycyjną mikrologię”, a czasem miał „wilczy apetyt”, by „zapuścić się w przypisów petit” (PZ 84).

W pierwszym wydaniu zbiorowym poezji i prozy Tuwima, w 5-tomowych *Dziela* (J. Tuwim: *Dziela*. T. 2: *Kwia-*

*ty polskie*. [Oprac. J. W. Gomulicki]. Warszawa 1955; cytując tę edycję, używam skrótu D), którego trzy tomy nabyłem w latach 1955–1958 jako uczeń czechowickiego liceum, spotkać można zaskakujące poprawki i opuszczenia tekstu. Tak więc cenzura obyczajowa tępi „brzydkie wyrazy”: „To wypada / Dla kurwy tak?” (PZ 98) – „To wypada / dla dziwki tak?” (D 98); „W dupie miał rząd” (PZ 110) – „W pięcie miał rząd” (D 110) itd., itp. Kwestie pominięć w wojennych przedrukach poematu szczegółowo opisał Janusz Stradecki w swojej książce *Julian Tuwim. Bibliografia* (Warszawa 1959). Czy dziwi nas dziś troska o państwo i stan duchowieństwa, uwzględniona w anihilacji następującego fragmentu: „Bieglymi zrób łacinnikami / Ministrów naszych, by **wiedzieli**, / Że są sługami, nie panami, / A księży naucz **ewangelii**” (PZ 106; D 106)? (Jak widać, podkreślam tu asonanse, które ubarwiają szybki rytm 9-sylabowych jambów.)

Wyeliminowano oczywiście trzy niewinne – pozornie! – linijki o cieszącym się z kłopotów sąsiada wodzu mocarstwa: „I dobra nasza! A już w dali / Trepakiem przytupywał Stalin / I słusznie mrużył oczko „umne” (PZ 110-111; D 111). Ciekawszymi zapewne, z perspektywy historio-

zoficznej, jest jednak inny efekt zabiegów polityczno-poprawnościowych dawniejszej cenzury; oto pomija się antygermańską tyradę, zamkniętą w 18 wersach (nb. 18 wersów wyrzucono także z anegdoty o Bolesławie Wieniawie-Długoszowskim – PZ 121-122; D 120): „Nie! To katalog synonimów / (Ozdobnych garstką kiepskich rymów) / Do słowa „Niemiec” [...] Nie wdając się w dyskusję długie / Przyznam, że wielbię ich **poetę** / Nazwiskiem Goethe. Goethem **Goethe**, / Bach Bachem i Dürerem Dürer, / A zbójem jest nie tylko Führer, / Lecz cały szczer – z babami, **dziećmi**, / Cały teutoński ród **bezecny!** / Miał Goethów, czy ich nie ma właśnie, / To niech go jasny piorun trzaśnie” (PZ 23; D 19). Czy Tuwim miał obwijać w bawełnę swoją wściekłość na dziejący się na jego oczach gwałt (Holocaust)? Chyba nikt mu tej szewskiej pasji czy białej gorączki – nazywanej uczenie **furor poeticus** – nie powinien zabraniać!

Wiem, iż część krytyków i historyków literatury nie przepada za *Kwiatami polskimi*. Ale oglądając cykle historyczne (np. o starożytnym Egipcie czy Rzymie), prezentowane w telewizji, dochodzę do wniosku, że każdy zabytek cywilizacji (a w tym sztuka, architektura i literatura) jest na swój sposób ciekawy i godny przestudiowania. Formalnie zresztą, pierwszy tom (bo był zapowiadany i drugi) ma swoje zakończenie – *Epilog tomu pierwszego* (PZ 271-277) – ergo kontentujemy się tym, co mamy, a nie narzekajmy, iż przydałby się jeszcze jeden tom! *A Pan Tadeusz* doczekał się kontynuacji pióra Mickiewicza? Może muszą nam starczyć cztery fragmenty Słowackiego, ukazującego zimowy odwrót Napoleona spod Moskwy?

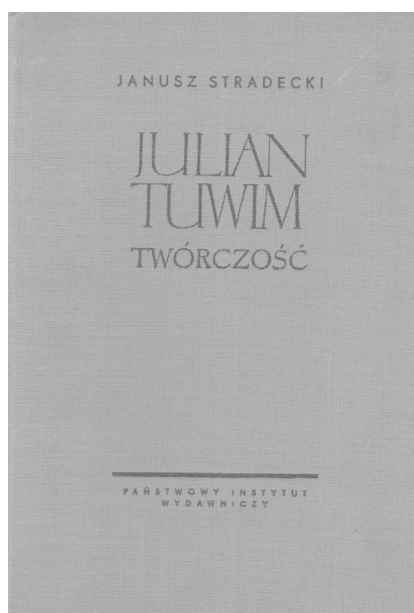
Sam Tuwim w jednym z porzuconych wariantów poematu zdradza nam, o co mu chodziło w trakcie czterech lat emigracyjnych, gdy zmagał się z przyptykami i odpływami natchnienia: „**Ta powieść** jest o małych sprawach: / O małych ludziach, rzeczach, chwilach, / Tęsknota tylko była wielka, / Epoka tylko była wielka, / Gdym małe wiersze z nich wykrawał” (PZ 562). Czyli chciał napisać współczesnego *Pana Tadeusza*, a bardziej odpowiadał jego temperamentowi jednak ton i styl *Beniowskiego*. Do strony Mickiewicza, epickiej, należą potężne niekiedy enumeracje, naśladowujące Homeryckie wyliczenia okrętów i krain Achajów, walczących z Trojanami. Do tej strony zaliczam również zachwyty polskimi daniami, te gastro-nomiczne „bufetiady” Tuwima, z których jedną, 4-wersową o talentach kucharki Folbluta, pani Bielskiej, przypomnę: „(Jej zrazy z kaszą! Boże! **Zjesz tych** / Tuściochów tuzin – prosisz **więcej**. / A barszcz jej! A tatarski **befszytk!** / A gęś! A klops! A stek **cielęcy!**...)” (PZ 246-247). Bo „Mówiąc krótko: / Nam w Polsce, śledziu! w Polsce, wódko! / Tam sobie wami człek dogadzał! / Tam bufet był jak Bóg przykazał!” (PZ 178).

Strona Słowackiego, liryczna, przepojona jest wspomnieniami i nostalgią



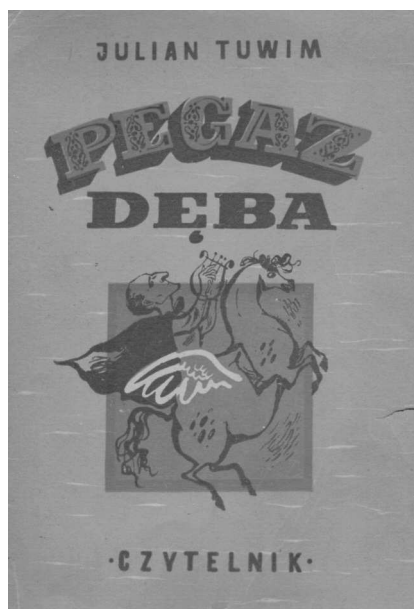
za Łodzią i Warszawą, a także porywającymi opisami bojów podniebnych. Są to pojedynki z mitami religijnymi („tajna mszy alchemia, / Sakramentalna teofagia, / Spektakl ofiary, święta magia, / Codzienna cudów akademia”, PZ 188), z urzędami Watykanu: „O, Ministerstwo / Spraw Zaświatowych! MSZ-cie! / O, łasko wiary objawionej! / O, Gabrielu w Nazarecie! / O, watykańskie remingtony! / O, kartoteki! O, budzecie!” (PZ 189). Ciekawe, iż te podniebne boje zostały w 1955 roku tak dalece ocenzone, że z tomu ulotniły się (zob. D 191) całe cztery strony (188-192) wydania krytycznego!

Mickiewiczowska domena *Kwiatów polskich* wprowadza do poematu opisy przebiegu rewolucji 1905 roku w Łodzi, chwili wybuchu I wojny światowej, odrodzenia Polski w 1918 roku, hitlerowskiej okupacji kraju, a na tym tle dzieje rodziny ogrodnika (to on wiąże „wzwyż i stromo” bukiety wiejskie) Ignacego Dziewierskiego, jego córki Zofii i wnuczki Anieli, aptekarza Kamila Rozpędzikowskiego, księdza Adama Komody, milionera Fryderyka Alfreda Folbluta. W dziejach tych bohaterów pełno mamy zaskoczeń i załamań nieuporządkowanej chronologii zdarzeń: ogrodnik staje się legionistą Piłsudskiego, Zosia wychodzi za rosyjskiego oficera (zagadnienie mieszańców Parnickiego?), 13-letnia Anielka kusi aptekarza i księdza (motyw *Lolity* Nabokova?), by w końcu stać się kochanką Folbluta i demoniczną tancerką kabaretową. Ale te dziwaczne historie okazują się wyłącznie ledwo zarysowaną scenarią, w której przyjdzie nam podziwiać głównego bohatera, jakim jest oczywiście w całej krasie – razem z przekłętą „myszką” na twarzy („jestem biedny i ‘myszaty’” PZ 172) – poeta Julian Tuwim. Dziewierski domyśla się już w 1918 roku, że jego znajomy z Łodzi potrafi napisać libretto do planowanych przedstawień dziecięcego teatryku: „Może Różyczki z Tomaszowa? / A może **Julcio**? Bo to chyba / Ten sam, co ‘na fabryce’ był... / Co za ‘**Pikador**’ taki? Czytał / Ulotkę na ulicy... Czy to / Ten łódzki chłopak? rymy składa?” (PZ 254). Gazeciarze warszawscy mówią między sobą: „Pan Tuwim z panem pułkownikiem / Do Wróbla poszli na jednego... / Jak dawno? Bedzie pół godziny...” (PZ 283: nb. wydania wcześniejsze pomijały ten fragment). Opowiedziano o młodzieńczych zuroczeniach poety (Halinka Kon, Zosia Opęchowska), o wielkiej jego miłości do Stefanii (na jej cześć powstał *Grande Valse Brillante*, PZ 53-56), która została żoną Tuwima. A także o lekturach chłopięcych, nie wyłączając całozyciowych fascynacji starymi czasopismami („O, ‘**Muchy**’, ‘**Kolce**’ i ‘**Bociany**!’”, PZ 25) i dziwacznymi wierszyczkami, co stało się potem podstawą tomu *Pegaz dęba, czyli Panopticum poetyckie* (Warszawa 1950) oraz rubryki *Cicer cum caule, czyli Groch z kapustą*, prowadzonej w latach 1949-1953 w miesięczniku „Problemy”, który dla tej właśnie rubryki byłem w szkole podstawowej! Dodam, iż Wydawnic-



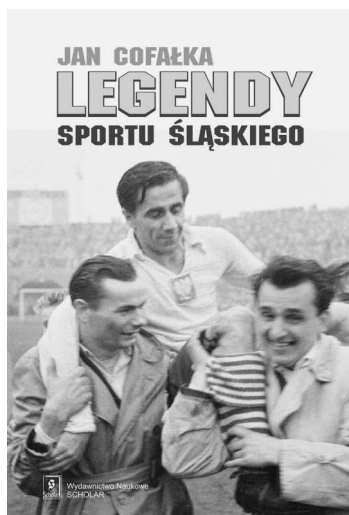
two ISKRY niedawno pięknie wydało felietony w grubym tomie (J. Tuwim: *Cicer cum caule CZYLI groch z kapustą*. Warszawa 2009; Czytelniku zwróć baczność uwagę na ortografię i interpunkcję tych dwu zapisów tytułów!).

Ale oczywiście nie byłoby tu nawiązań do *Beniowskiego*, gdyby zabrakło żywej polemiki z konkurentami i rywalami poetyckimi! O Jerzym Pietrkiewiczzu powie z „niewyparzoną gębą” Tuwim wprost: „Poeta polski Pierd-Piertkiewicz” (PZ 111). O innym wierszopisie: „Plagiografoman Iphorski” (ib.). O futuroście Stanisławie Młodożeńcu – „fektorysta Młodorzeniec” (PZ 112), a o Gałczyńskim zdobny trafny kalamburem dwuwiersz: „Gdy groził ‘nocą długich noży’ / Liryk, deliryk, satanista” (PZ 110). Trzeba dodać jeszcze, iż od początku *Kwiatów polskich* poeta pisze o uwielbieniu dla Leopolda Staffa, a lubi też Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, Anatola Słonimskiego, Jana Lechonia, Mariana Hemara, a nawet (najmniej znanego ze skamandrytów) Feliksa Przysieckiego!



Aby przybliżyć się do poetyckiej alchemii Tuwima, proponuję prześledzić konteksty jednego ze słów kluczy, jakim jest **BLASK**. Wyraz ten pojawia się w poimocie utworu: „Ten wicher – naszą pięść poderwie / I **BLASK**, i krzyk, i wiersz, i krew!” (PZ 277). Razem ze słowami pochodnymi (poblask, odbłaski, blaszczek, bezblaska łyżka) mamy tu prawie 20 interesujących skojarzeń z **BLASKIEM**. Wyliczam kilka wyimków z poematu, podkreślając wpadające w oko i ucho asonanse: „Więc jak pachniałeś, bzie warszawski, / Kiedy, rażąca i **nieznośna**, / Przyszła, ruiny strojąc w **BLASKI**, / Nowej niewoli pierwsza **wiosna**?” (PZ 19); „Ściągnij oczyma **BLASK** z **motyli** / I z ‘beija-florów’ tej **Brazylii** / (Tak zwą kolibry: ‘całuj-kwiatki’, / Bo dziobkiem włożą między płatki)” (PZ 50); „Te tłumy, trupa tratujące, / I czarny **BLASK**, co nagle załął / Jasne twe oczy, **Zońka-słońce!**” (PZ 73); „Procesję wiedli **tragedianci**, / A żądło ognia pałające / **BLASKÓW** mieniło się tysiącem / W centrum **monstrancji**” (PZ 191); „Za oknem zgiełk: sztandarów las, / Okrzyków grom, bagnetów **BLASK**” (PZ 233 – o roku 1918); „Kosmetykami pańskiej łaski / I kalotechniką dobroci / Uaksamitni ją, dozłoci, / Przystroji w należytę **BLASKI**” (PZ 257 – milioner o karierze Anielki); „Jedną sprawę ten wiersz **utwierdza**, / Jednym **BLASKIEM** się złoci: / Sławię techników **miłosierdzia**, / Elektromonterów dobroci!” (PZ 267).

Tuwim owym **BLASKIEM** powiązał trzy kwestie czy zagadnienia: królestwo Erosa, mocarstwo Marsa oraz bajeczną krainę Apollina. W wariantach przeczytamy o Anielce-Lolice: „Trzynastoletnia w **BLASKU** rzeki / Kapała się w czerwcowy ranek, / Opływał ją kolistym **BLASKIEM** / Kół wodnych wielokrotny wianek” (PZ 501) oraz „Przed tym księdzem / W całej kwitnącej swej potędze, / Słonecznym ozłocona **BLASKIEM**, / Zjawię się naga – naga – naga!” (PZ 514). Marsowa dziedzinia to rewolucja 1905 roku w Łodzi oraz I i II wojna w Warszawie: „Płynęłaś w purpurowych **BLASKACH**, / Gdy się nad tobą strop roztrzaskał” (PZ 277 – o stolicy, „Hiobie polskich miast”). Co do sławy i chwały, to pojawia się w *Kwiatach polskich* metafora „**BLASK** wieczności” (PZ 195), a Mieczysław Jastrun w przemówieniu na akademii żałobnej w dniu 18 stycznia 1954 roku trafnie zacytował wiersz Tuwima (*Do losu* z tomu *Biblia cygańska*), zawierający słowa jakże przypominające znaną linijkę Słowackiego („Ta kartka wieki tu będzie płakała / I leż jej stanie”; zob. H. Markiewicz, A. Romanowski: *Skrzydlate słowa*. Warszawa 1990, s. 617): „Ta strofa, zwarta, zwięzła, cała, / Nieporuszona będzie stała / W zimmym, okrutnym **BLASKU** sławy” (M. Jastrun: *Pamięci Juliana Tuwima*. W tomie: J. Tuwim: *Wiersze*. Warszawa 1955, s. 28). I chyba do dziś – jak nie bez uzasadnień sądzę – Tuwim jest najjaśniejszą gwiazdą (pełną błysków i blasków!) w skamandryckiej plejadzie!



## Od Wilimowskiego do Kukuczki

KSIAŻKI

JAN MIODEK

Na okładce książki – zdjęcie, które po 20 października 1957 roku obiegało Polskę: kapitan naszej piłkarskiej reprezentacji Gerard Cieślik znoszony jest na ramionach przez rozentuzjzmowanych kibiców Stadionu Śląskiego po zwycięstwie biało-czerwonych nad Związkiem Radzieckim 2:1 i dwu bramkach tegoż legendarnego napastnika chorzowskiego Ruchu (skład owego zespołu jestem gotów wyrecytować o każdej porze dnia i nocy: Szymkowiak – Floreński, Korynt, Woźniak – Gawlik, Zientara – Jankowski, Brychczy, Kempny, Cieślik, Lentner).

Potem można się zagłębić w lekturze 400 stron książki przywołującej pamięć o wybitnych sportowcach: piłkarzach Erneście Wilimowskim, Gerardzie Cieśliku i ich Ruchu Chorzów, Edwardzie Szymkowiaku, Janie Liberdzie i ich Polonii Bytom, o Erneście Pohlu, Włodzimierzu Lubańskim i ich Górniku Zabrze, o Lucjanie Brychczym, o lekkoatletach Januszu Sidle, Jerzym Chromiku, Józefie Szmidcie i Euzebiuszu Fercie, o Indze Marii Krause-Krawiec oraz piłkarzach i piłkarzach ręcznych, o skoczku narciarskim Zdzisławie Hryniewieckim, o Mieczysławie Wilczewskim, Joachimie Hалуpeczoku oraz innych kolarzach, o Henryku Nowarze i bokserach ze Zbigniewem Pietrzykowskim i Marianem Kasprzykiem, o żuźlowcu Jerzym Szczakielu, o pływaczce Otylii Jędrzejczak, o ping-pongiście Stefanie Dryszelu, o szybownikach Franciszku Kępcie, Edwardzie Makuli, Jerzym Makuli i Sebastianie Kawie, wreszcie – o himalaiście Jerzym Kukuczce. Wszyscy oni to niekwestionowane LEGENDY SPORTU

ŚLĄSKIEGO i taki też jest tytuł przywołanego tutaj opracowania.

A podjął się go niestrudzony badacz i popularyzator śląskich spraw, łączący przeogromną miłość do ojczystej ziemi z gruntowną wiedzą o niej – Jan Cofałka (rocznik 1940), rodem z Rybnej (dziś należącej do Tarnowskich Gór), od roku 1970 mieszkający w Warszawie, autor znanych książek: *Ślązacy w Warszawie* (2008), *Księga Ślązaków* (2009), *Ślązacy i Kresowiaczy* (2011) oraz *Ślązacy w świecie* (2015). *Legendy sportu Śląskiego* są bezcennym dopełnieniem tej pięknej serii, opublikowanej w warszawskim Wydawnictwie Naukowym Scholar. Starsi czytelnicy przy ich lekturze będą z rozczuleniem wracać do wspomnień z dzieciństwa, młodszy zaś – przez pryzmat sportu – zobaczą ziemię śląską na szerokim tle historyczno-społecznym.

To ostatnie pomaga w zrozumieniu skomplikowanych życiorysów wielu bohaterów tej książki, szczególnie Ernesta Wilimowskiego. Rozmawiałem o nim często z Ojcem, który powtarzał: „Nie odbieram ci miłości do Cieślika, którego tak jak ty darzę przeogromną sympatią, ale pamiętaj, że piłkarskim geniuszem był Wilimowski”.

A przecież to przede wszystkim dla Gerarda Cieślika zawiódł mnie Tata po raz pierwszy do Chorzowa, a było to 12 września 1954 roku, co potwierdza w książce Jana Cofałki relacja Lucjana Brychczego, dla którego był to pierwszy mecz ligowy w barwach Legii Warszawa. Ruch wygrał 1:0 po bramce Alszera, a ja cały czas wodziłem wzrokiem za Gerardem, choć pamiętam doskonale fruwiąją-

cego w bramce warszawiaków Edwarda Szymkowiaka (odbywał wtedy służbę wojskową), czerwono-żółty strój stojącego po przeciwnej stronie Ryszarda Wyrobka (popularnego Pingola), a przede wszystkim wywołujący dreszcz podniecenia u ośmiolatka ryk na trybunie, pierwszy w życiu, bo na A- czy B-klasowych meczach w Tarnowskich Górach o takim natężeniu głosów kibiców nie mogło być mowy.

Ożywiły we mnie *Legendy sportu Śląskiego* także innych wspomnień co niemiara. Rozdział o kolarzach na przykład – niezagrożone zwycięstwo eleganckiego studenta stomatologii Mieczysława Wilczewskiego, wielokrotnego uczestnika Wyścigu Pokoju, w jakimś jednoetapowym wyścigu, którego meta znajdowała się na tarnogórskim rynku, a wylegli wtedy na ulice chyba wszyscy mieszkańcy gwarkowego grodu.

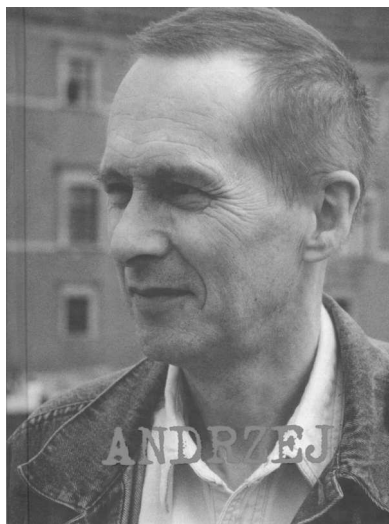
Gdy czytam o Józefie Szmidcie, uświadamiam sobie, że ten dwukrotny złoty medalista olimpijski spowodował, że my, pokolenie chłopców kopiących piłkę cały rok, potrafiliśmy na wszystkich przerwach w szkole uprawiać... trójskok, i to tak gorliwie, że wracaliśmy do domu z obolałymi kręgosłupami.

Głos legendarnego sprawozdawcy Bohdana Tomaszewskiego ożywiły mi w książce Cofałki rozdziały poświęcone Januszowi Sidle i Jerzemu Chromikowi. Oto niezapomniany opis wiatru wiejącego na olimpiadzie w Melbourne w 1956 roku w czasie konkursu oszczepników oraz gestu naszego mistrza i ówczesnego rekordzisty świata (83,66 m) – rodem z Szopienic, który pożyczył stalowy oszczep produkcji szwedzkiej Norwegowi Danielsenowi, a ten pobił nim rekord świata (85,71 m), wydzierając złoto Sidle.

Nie dał sobie za to wydrzeć zwycięstwa w biegu na 3 km z przeszkodami Jerzy Chromik na mistrzostwach Europy w Sztokholmie w roku 1958, choć Rosjanin Rżyszczyn prawie zniwelował ogromną przewagę naszego biegacza nad rywalami. Relacja Tomaszewskiego – jego niezapomniane „Chromik ucieka, Rżyszczyn go goni” – to klasyka polskiego sprawozdawstwa sportowego („Pani nie może mnie pamiętać” – powiedział do mojej żony Bohdan Tomaszewski, gdy mu ją przed laty przedstawiłem, na co moja towarzysząca życia zareagowała figlarnie słowami: „Jak mogę nie pamiętać?! – Chromik ucieka, Rżyszczyn go goni”; Tomaszewskiemu zaszklify się oczy...).

Ale i moje oczy były ciągle mokre przy lekturze książki Jana Cofałki. Za te wzruszenia jestem autorowi szczególnie wdzięczny. Wszyscy zaś mieszkańcy ziemi śląskiej powinni mu być wdzięczni za utwalenie w pamięci największych sportowców tego regionu.

Jan Cofałka: *Legendy sportu Śląskiego*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2017, s. 410.



## Portret wielostronny

KSIĄŻKI

PAWEŁ MAJERSKI

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz był w naszej kulturze literackiej osobowością i osobistością. To poeta, krytyk, historyk i socjolog literatury, edytor, redaktor tomów zbiorowych oraz wydawniczych serii, bibliograf, kronikarz, dziennikarz. W każdym z tych obszarów twórczej aktywności spełniał się znakomicie, nigdy „w przepisowych ramach”, zawsze – „z naddatkiem”. Debiutował tomikiem *Wstępowanie* w 1963 roku, w 1966 wydał powieść *Dom z płaskim dachem*, w 1973 opublikował pierwszy zbiór szkiców o awangardzie *Rygor i marzenie*.

Obszerna księga wspomnień, opatrzona tytułem *Andrzej*, składa się z czterech części: *Świat literatury*, *W kręgu przyjaciół i znajomych*, *Prywatnie*, *Dedykacje (wybór)*, które chociaż są rozdziałami, nie funkcjonują osobno, przenikają się, uzupełniają i dopełniają. Słusznie, już na początku, Leszek Żuliński zaakcentuje: „Waśkiewicz był dawniej i pozostał do końca wyznawcą Nowego Paradygmatu, czyli wszystkiego, co w literaturze jest jej zakretem i odnową, nowym modelem i formułą, nowym „formatem mówienia” [...]”. Waśkiewicz powracał nieustannie do awangardowych źródeł, sumiennie kompletując archiwum literackiej nowoczesności. Imponują edycje krytyczne tekstów Tadeusza Peipera, Anatola Sterna, Tytusa Czyżewskiego (tę opracował z Januszem Kryszakiem), liczyło się dla niego wyrwanie niepamięci „poetów minionych”, kanon, ale także promocja autorów na literacką scenę wstępujących.

Waśkiewicz należał do kręgu Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, obserwując drogi i rozdroża współczesnej poezji konstruował wtedy swój program. Był przekonany, że nurty poezji konstruktywistycznej i liryki refleksyjnej moralnej muszą się spotkać, ulec kontaminacji. Wiersz ma być – przywołuję fragment jednej z jego książek – „całościową formułą świata, zamykającego w sobie całe bogactwo jego przejawów, sprowadzone do formuł słownych, definiujących zasadnicze prawidłowości”. Janusz Kryszak zauważy, że Waśkiewicz poszukiwał „możliwości scalenia, zin-

tegowania i uwewnętrznienia tego, co osobne, w jakąś wizję całości jednoczącej w sobie wielość doświadczeń i zjawisk, pamięć i wyobraźnię, poczucie samotności i pragnienie wspólnoty”. W poezji – dramatycznie podsytej biografią, wyjściem z ruin zniszczonego miasta – poszukiwał ekwiwalentów, zestawiał fragmentaryczne sekwencje.

Marian Kisiel przyjrzał się krytyce literackiej Waśkiewicza, jego praktyce łączącej elementy strukturalistyczne z fenomenologią, wykorzystującej perspektywę socjologiczną (tu odnajdziemy uwagi związane z książkami *Lubuskie środowisko literackie*, *O literaturze lubuskiej*). Czasy zielonogórskie i pracę w dwutygodniku „Nadodrze” przypomniła Henryka Dobosz-Kinaszewska, prowadząca dział kulturalny, w którym Waśkiewicz zajmował się literaturą. Notabene w piśmie (lata 1976–1978) pod pseudonimem Aleph krytyk redagował rubrykę *Odpowiedzi literackie*. Zamieszczał w niej, notuje teraz Mirosława Szott, komentarze do wierszy „odrzuconych”, oceniał je czasami kategorycznie, innym razem z półuśmiechem, ironią. Podejmując grę z piszącymi i czytelnikami, wchodził w rolę starca, który rzekomo debiutował w Dwudziestolecu, namówiony przez „Mistrza” – Kazimierza Brzeskiego (to przedstawiciel futurystycznej „ligi terenowej” z grupy Katarynka Warszawska), wskazywał mielizny poezjotwórstwa i możliwości nowych rozwiązań.

Piszę o awangardowym badaczu, krytyku i poecie, a Helena Głogowska oraz Andrzej Chodubski przypomnieli w tomie zainteresowania, pomysły oraz działania Waśkiewicza związane z mniejszościami narodowymi, etnicznymi, doświadczeniem wielokulturowości. Zainicjował on powstanie Pracowni Tożsamości Kulturowej Gdańska i Pomorza, brał udział w konferencjach, pisał o kwestii wyróżniającej samoświadomości, roli języka w cyklicznych obiegach oraz literaturze – tej zamkniętej w ścisłym kręgu etni, i tej wchodzącej w krwiobieg narodowy. Chodubski docenił wpływ Waśkiewicza na budowanie relacji „pomiedzy” przedstawicielami społeczności ka-

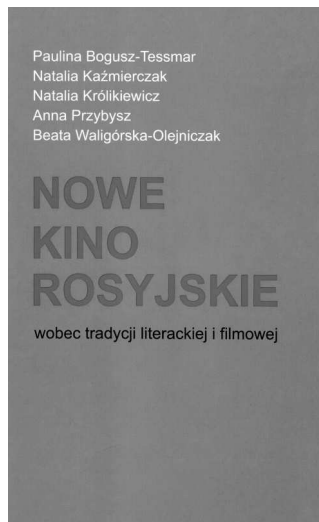
szubskiej, białoruskiej, litewskiej, estońskiej, ukraińskiej, rosyjskiej, niemieckiej, holenderskiej, żydowskiej, lemkońskiej, ormiańskiej, karaimeńskiej, tatarskiej, kosznajderskiej.

Swoje retrospektywne zapisy zestawia teraz 61 przyjaciół i znajomych, m.in. Janusz Koniusz (*Do zobaczenia*), Eugeniusz Kurzawa (*Andrzej, Ciebie nie ma?! – warto też sięgnąć po książkę tego autora Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone*, 2012), Zbigniew Chojnowski (*Waśkiewicz*), Leszek Żuliński (*Andrzej – mój Mistrz!*), Jan Kurowicki (*Mój bliźni z nisy*), Józef Bachórz (*Waśkiewicz z mojej oddali (coś na kształt wspomnienia)*), Andrzej Żurowski (*Pasmo pozornych odległości*). Kazimierz Sobiecki, brat Anny, jak zapewne wiele osób, zastanawiał się „Czy Andrzej miał czas wolny?”. Córka Olena opowiada: „To był Tata zabierający nas na spacer nad stawy i do lasu [...]. Znający jadalne i lecznicze rośliny, zbierający grzyby, przyrządzający nalewki i domowe wina, konfitury z róży...”, przypomina tatrzańskie i bieszczadzkie wędrowki z mapami i kompasem, biwakowe gotowanie. Syn Adam pamięta, że „spacer na stary kolejowy nasyp [...] był wyprawą na cały dzień”. Dzieci piszą o jego życzliwości, wyrozumiałości, tolerancji, znajomości i współpracownicy – o erudycji i skromności. Córka przypomniała, że gdy pracował, jego pokój zamieniał się w więź z kości słoniowej, ale jednocześnie miał wymiar wielofunkcyjny: „w zależności od potrzeb służył jako oświetlona jadalnia, salon i biblioteka”; syn Marcin utrwalił wieczorny klimat: „[...] jest ciemno już, cicho, słychać stukot maszyny do pisania zza zamkniętych drzwi do pracowni – i to daje poczucie bezpieczeństwa”. We wspomnieniach najbliższych i znajomych kilkakrotnie pojawia się obraz „Andrzeja rządzącego w kuchni”. Syn Krzysztof powiada, że ojciec zwykle gotował obiady, „upieczenie indyka w całości czy zrobienie ciasta francuskiego” nie sprawiało mu kłopotu, były ryby, kalmary. Henryka Thiele, przyjaciółka rodziny, w kulinarnych eksperymentach Waśkiewicza dostrzegła rolę „analitycznego umysłu” (zresztą o „kuchennym czarodzieju” przeczytamy w felietonowo-pogadankowym zbiorze Waśkiewicza *Jedzenie jest niezdrowe. Ale przyjemne...*).

Rozdział *Dedykacje* zawiera 40 wierszy z różnych lat, m.in. Jerzego Leszina, Janusza Żernickiego, Krzysztofa Gąsiorowkiego, Wojciecha Kawińskiego (zamykający całość wiersz Krystyny Koneckiej dedykowany jest Annie Sobieckiej). Pośród wpisanych w indywidualne poetyki tekstów odnajdziemy refleksy metalirycznych zamyśleń i utrwalone znaki pozegnania.

Marian Kisiel, przez lata uważnie obserwujący twórcze działania autora *Suwerennego państwa obłoków*, podkreśla: „Andrzej K. Waśkiewicz czytał literaturę i życie literackie. Zachłannie. Jednakowo uważnie, by nie prześlępić żadnej formy aktywności artystycznej. Był w tych lekturach – równocześnie dokumentalistą i interpretatorem. Kolekcjonerem papieru i egzegietą sensów ukrytych”. Nie było w tym przygodności doświadczenia, istniała konsekwencja, badawczy upór, docieklivość. Anna Sobiecka napisała, że zawarte w książce teksty współtworzą portret, pokazują Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza wielostronnie. Temu portretowi trzeba przyglądać się wielokrotnie.

**Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach. Zebrała i oprac. A. Sobiecka. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. J. Conrada-Korzeniowskiego, Gdańsk 2017, s. 426+2 nlb.**



# Nowe kino rosyjskie

KSIAŻKI

MIROŚLAWA MICHALSKA-SUCHANEK

Rosyjskie produkcje filmowe rzadko pojawiają się na ekranach polskich kin. Polskiemu widzowi dostępne są właściwie tylko podczas festiwalu dedykowanemu filmowi rosyjskiemu, który od roku 2007 corocznie organizowany jest pod nazwą Sputnik nad Polską. Rosja tymczasem stanowi kinematograficzną potęgę, choćby ze względu na niebywałe szczęście do gigantów kina formatu Andrieja Tarkowskiego. Obecnie nie ma reżysera, który cieszyłby się aż taką estymą, jak twórca *Nostalgii* i *Andrieja Rublowa*, niemniej bez trudu można wymienić kilku reżyserów o naprawdę mocnej pozycji, których filmowe premiery stawały się międzynarodowymi wydarzeniami. Nikita Michalkow, Andriej Konczalowski, Andriej Zwiagincew, Aleksiej Uczitiel, Aleksiej Bałabanow, Aleksandr Sokurow – listę można by wydłużyć.

Zagadnienia rosyjskiej kinematografii, a zwłaszcza współczesnej rosyjskiej sztuki filmowej, niestety również polska nauka traktuje po macoszemu. Wciąż brakuje opracowań, które stanowiłyby zwartą i pełną charakterystykę rosyjskiej tradycji filmowej oraz współczesnego kina. Rozproszone publikacje nie są w stanie ich zastąpić. Wieloautorska monografia *Nowe kino rosyjskie wobec tradycji literackiej i filmowej* w jakimś sensie próbuje przetrzeć szlaki. To pozycja objętościowo niewielka, jej wartość jednak jest nie do przecenienia. Autorki postawiły przed sobą zadanie naszkicowania obrazu mocno niejednorodnego współczesnego kina rosyjskiego. Każdy z pięciu rozdziałów książki poświęcony jest analizie jednego filmu. Filmy są różne, starannie wyselekcjonowane i jako modelowe obrazy określonych nurtów (poetyk) odsłaniają tendencje panujące w – zapowiadany w tytule – nowym rosyjskim kinie. Wszystkie poddawane analizie obrazy wpisują się jednocześnie w dialog z tradycją literacką oraz filmową – a także szerzej – z kulturą, przy tym nie tylko rosyjską.

Jakby na potwierdzenie tezy o – podkreślonym w monografii – literaturocentrycznym nacechowaniu rosyjskiej kultury, pierwsze trzy rozdziały książki podejmują zagadnienie przekodowywania dzieła literackiego na język filmu. Analizie poddano trzy filmy: *Ragina* (2004) Kirylla Sieriebriennikowa – adaptację słynnej *Sali nr 6* Antona Czechowa, koprodukcję amerykańsko-polsko-rosyjską *Crime & Punishment* (2002), będącą adaptacją *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego, w reżyserii nieżyjącego już Izraelczyka polskiego pochodzenia – Menahema Golana, a także *Rzekę* (2002) – adaptację noweli polskiego pisarza Wacława Sieroszewskiego pt. *Dno między* – obraz, który uznano za najwybitniejsze dzieło zmarłego w 2013 roku Aleksieja Bałabanowa.

Prezentowane analizy i interpretacje wskazują na sygnalizowaną wyżej niejednorodność nowego kina rosyjskiego. Jest w nim miejsce zarówno na postmodernistyczną wizję, opartą na kolażowym widzeniu świata i nawarstwiającej się symbolice, w fuzji z estetyką naturalizmu (*Ragin*); na pełną aktualizację dziewiętnastowiecznej kultowej powieści poprzez modelowanie znakowo-semiotycznej warstwy filmowego przekazu (*Crime & Punishment*); jak i na wykorzystanie tradycji filmu etnograficznego, z wykorzystaniem języka jakuckiego, rekonstrukcją codziennego życia narodu północy, jego zwyczajów i folkloru (*Rzeka*).

Następne rozdziały prezentują dwie kolejne odsłony rosyjskiego kina. *Powrót* (2003) kontrowersyjnego reżysera – Andrieja Zwiagincewa – jest psychodramą, układającą się w religijną przypowieść o ofierze, natomiast *Ostatnia Bajka Rity* (2012) w reżyserii Renaty Litwinowej – cenionej w Europie twórczyni filmów fabularnych i dokumentalnych, scenarzystki oraz producentki – ujawnia poetykę surrealizmu, odwołania do logiki karnawału oraz estetykę kojarzoną z rosyjską odśloną stylu *glamour*.

Co cenne – w sferze zainteresowań autorek pozostają również środki strukturujące film. Zapoznają czytelnika ze strategiami artystycznymi stosowanymi w konstrukcji filmu, technikami filmowania (np. operowania kadrem, długością ujęć itd.) i rozwiązaniami montażowymi. Wskazują, w jaki sposób określone chwytby budują semantykę obrazu poprzez odsyłanie do znaczeń spoza przestrzeni filmowej. Rozsementowanie ujęć analizowanych filmów odsłania bogactwo kodów umocowanych w strukturze dzieła, które otwierają nowe pola sensów. Sporo miejsca w monografii zajmuje opis metod twórczych przywoływanych reżyserów. Ot na przykład do głównych składowych warsztatu Zwiagincewa – jak czytamy – należą: epatowanie prostotą, oszczędność słów, długie zastrygłe w bezruchu ujęcia oraz klamry ideowe i kompozycyjne; każda ze scen podlega rizomatycznej dynamice, nawiązując do innych elementów filmowej fabuły, i stanowi jednoczesną realizację co najmniej kilku chwytów artystycznych, z których każdy uaktywnia – nadbudowane nad warstwą fabularną – symboliczno-mityczno-religijne kody. Natomiast *Ostatnia Bajka Rity* ujawnia wykorzystywane przez Litwinową w obrazie filmowym metafory śmierci, symbole-lejtmotywy, a także określające jej metodę twórczą – teatralizację i rytualizację zachowań bohaterów.

Zrekapitulujmy – *Nowe kino rosyjskie wobec tradycji literackiej i filmowej* jest książką ważną z trzech względów.

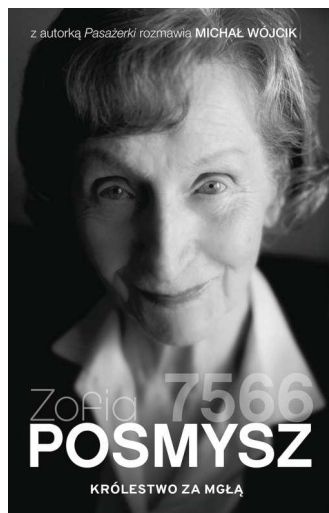
Po pierwsze – w sposób przeglądowy prezentuje obraz nowego kina rosyjskiego, opisuje najważniejsze obecne w nim tendencje, a także kreśli sylwetki reżyserów, którzy owe tendencje wyznaczają. A wszystko to z odniesieniem do historii rosyjskiej kinematografii, co daje czytelnikowi wyobrażenie o genezie i kierunkach rozwoju rosyjskiego kina od jego początków.

Po drugie – dyskurs cechuje staranność terminologiczna, a rzecz to niebywale cenna dla efektywności czytelniczego odbioru. Stosowane pojęcia są definiowane oraz opisywane – i to zarówno te rudymentalne, dotyczące sposobów przekodowania języka literatury na język filmu, jak i związane z przebiegiem procesu twórczego oraz zagadnieniami *stricte* warsztatowymi.

Po trzecie – monografia zapoznaje odbiorcę (potencjalnego widza) z instrumentami niezbędnymi do świadomego odbioru obrazu filmowego, któremu winna towarzyszyć refleksja nad znaczeniem elementów składowych filmu jako czynników aktywizujących szerokie pola semantyczne, a także – w przypadku ekranizacji czy adaptacji – wskazuje sposoby modelowania tworzywa filmowego, dzięki czemu powstaje unikalny obraz, będący swoistą interpretacją tekstu literackiego.

Książka łączy charakter badawczy z dużym potencjałem poznawczym, z pewnością więc zainteresuje badaczy, zajmujących się rosyjską kinematografią, ale także tzw. szerokiego odbiorcę zaciekawionego filmem rosyjskim.

**Paulina Bogusz-Tessmar, Natalia Kaźmierczak, Natalia Królikiewicz, Anna Przybysz, Beata Waligórska-Olejniczak: *Nowe kino rosyjskie wobec tradycji literackiej i filmowej*. Uniwersytet Adama Mickiewicza, Poznań 2017, s. 120.**



## Wszystkie znaki spełniają się w smudze

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

**K**rólestwo za mgłą... należy do przeżywanego w ostatnich latach renesans gatunku – wywiadu-rzeki. Wywodzi się on z dziennikarstwa prasowego, wymaga nie tylko aktywnego uczestnictwa w procesie gromadzenia i porządkowania faktów, ale również zaspokojenia ciekawości czytelników, przy jednoczesnym wycofaniu i stałej ekspozycji interlokutora; wywiady z byłymi więźniami obozów koncentracyjnych okazują się jednak niespójne i niekoherentne ze względu na brak wspólnoty doświadczeń rozmówców. Wielokrotnie powraca w nich refleksja nad niewyraźnością doświadczenia granicznego i warunków obozowych (Zofia Posmysz wspomina o rzeczowych błędach związanych z obozową egzystencją, które popełnił Wiktor Woroszyński przygotowujący narrację z offu do *Pasażerki* Andrzeja Munka) oraz literackiego przetwarzania traumy. Posmysz wspomina: „Wiele moich przyjaciółek tak naprawdę z tego obozu nie wyszło. Mnie się udało. Może dlatego, że zaczęłam o tym pisać, oczyszczać się w ten sposób. Wylewać tę toksynę na papier” (s. 385).

Spotkania pisarki i Wójcika polegają na mediacji wiedzy i pamięci, które okazują się niezbędne. Wójcik staje na straży faktów, zaś Posmysz zdaje sobie sprawę z kruchości ludzkiej pamięci, niemożności odtworzenia biegu wydarzeń i szczegółów (o czym świadczy zestawienie wspomnień Seweryny Szmaglewskiej i Posmysz o pościgu motocyklowym za uciekającym z rampy chłopcem, s. 301). Pisarka traktuje pobyt w Auschwitz jako doświadczenie przekształcające i, paradoksalnie, wzbogacające (ze względu na przyjaźnię tam zawarte i możliwość edukowania młodzieży tłumnie przybywającej na spotkania z nią).

Obozowe doświadczenie pozostaje jednak dla słuchaczy wciąż nieuchwytnie, ze względu na zasady Auschwitz i postawy

więźniów, którzy determinowani przez wiarę w przeżycie stawali się nieczuli na śmierć współwięźniów. Wspomnienia Posmysz sytuują się na antypodach aktu konsolacyjnego; autorka zdaje sobie sprawę z symbiotycznej zależności jaka zaszła między nią a Auschwitz (wspomina o niemożności posiadania dzieci na skutek eksperymentów pesudomedycznych) oraz destrukcji humanistycznego mitu. Biodetale narracji i pamięć przechowująca wstydlive zdarzenia stają się dla młodego pokolenia wyznacznikami nowej formy obcowania z holocaustowym świadectwem, którego nie cechuje teleologiczny zamysł ani cel objaśniający i tłumaczący odczuta boleśnie rzeczywistość, ani również wiara w przekładalność doświadczenia Auschwitz na język zdolny je wchłonąć i wyartykułować przykładając do niego miarę bólu i cierpienia znaną słuchaczom i czytelnikom.

Wójcik prowadzi rozmowę w sposób mistrzowski, okazuje się świetnym partnerem porządkującym wywód. Posmysz, opowiadając o pobycie w Auschwitz własnymi tekstami literackimi i ujawniając ich genezę, szafuje cytatami, popada w „szaleństwo katalogowania”, zaś Wójcik oczekuje od rozmówczyni złamania literackiego szyfru i wybicia jej z rytmu reprodukcji doświadczenia w kolejnych literackich odsłonach. Kilkakrotnie mu się to udaje, dzięki czemu pisarka opowiada o pewnych kwestiach po raz pierwszy, bo została do tego sprowokowana. Podjęcie gry z Posmysz służy nie tyle oddzieleniu fikcji od prawdy, kreacji od świadectwa, co podkreśleniu prawa wybiórczej pamięci i braku jednej, skonsolidowanej pamięci, która nie podlegałaby procesom atrofii. O wielu wydarzeniach (np. związanych z Anneliese Franz, mordercą na francuskich Żydówkach lub esesmańskich reakcjach) dowiaduje się właśnie od Wójcika, na wiele pytań i sugestii odpo-

wiada „Mogło tak być, nie wiem” lub „Może, nie widziałam”. Nawet zestawianie świadectwa Posmysz z innymi relacjami ujawnia nieścisłości i gwarantuje suwerenność indywidualnej pamięci, która mogła ulec odkształceniu, lecz nie dąży do uchwycenia panoramy obozu oraz wszystkich jego ekscesów i zdarzeń, stąd pojawianie się wielu kolidujących wspomnień lub brak pokrycia kilku wersji wydarzeń, których istnienie świadczy o „tekstowych wykładniach fikcji” – będących poręczeniem autorskiej, jedynej wersji, na którą wpływ miała erozja pamięci.

Wywiad-rzeka z Posmysz okazuje się zatem na tle literatury obozowej oryginalny nie tylko ze względu na podejmowaną problematykę (finezjną grą prowadzoną między więźniarką i esesmanką oraz homoseksualny związek nadzorczyni ujawniony w drugiej obozowej powieści – *Wakacje nad Adriatykiem*), ale również próbę weryfikacji postaci krwiożerczego, brutalnego esesmana i bezwzględnej kobiety-kata (Posmysz wspomina bestialstwo Irmy Grese, która jawi się jako wyjątek). Skomplikowana relacja łącząca Posmysz z Franz odczytywana była przez Konrada Eberhardta (oraz Teodora Toeplitza) przez pryzmat fascynacji erotycznej, jednak sama pisarka, nie bez nuty goryczy, wspomina: „[...] ona mnie uratowała, dając mi posadę w magazynie żywności. [...] To, jak się zachowywała wobec mnie, mogę nazwać dobrodziejstwem. Przecież wielokrotnie mogła mnie zniszczyć” (s. 197).

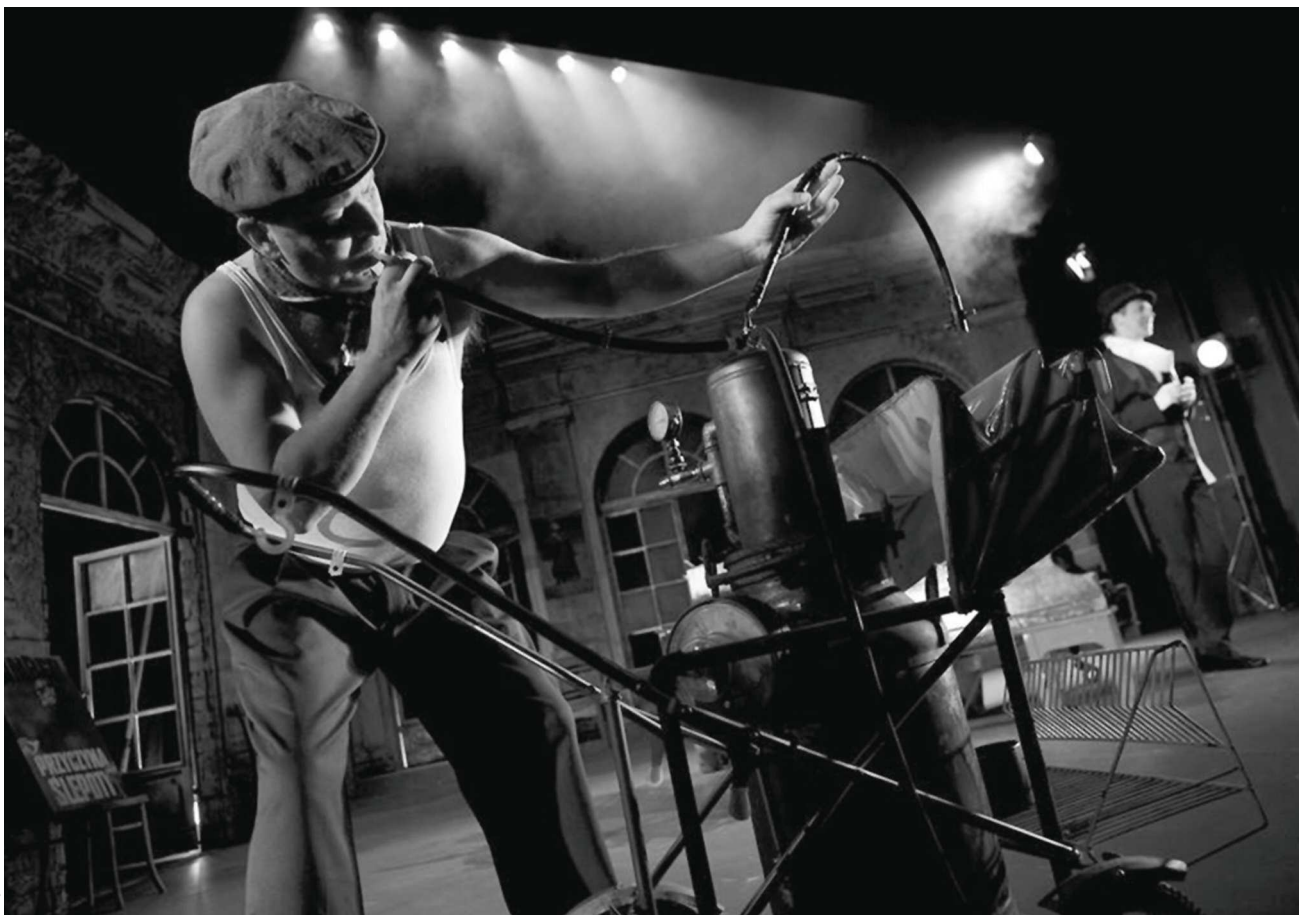
Wywiad z Posmysz jest unikatowy z powodu zniesienia barier między więźniami i esesman (k) ami oraz dostrzeżenia „szarej strefy” (wspomniane nagminnie „kradzieże kradzionego”) oraz zaprezentowania „pojedynku” między katem i ofiarą, który rozgrywa się w przyzwoitych warunkach. Uprzywilejowana pozycja nie wpłynęła na korpus zasad Posmysz, wprawdzie, jak sama przyznaje, mogła zaszkodzić kucharkom szmulującym żupę, ale: „Wiedziałam, że kradzież żupy odczują więźniarki pracujące gdzieś w polu. Te wykończone, zmaltretowane kobiety. Takie same jak ja kiedyś. Ale... nie reagowałam. Nigdy. One przecież kradły tę żupę, to gęste, dla równie potrzebujących. Może niosły to na rewir?” (s. 183). Sama też przyznaje, że otarła się o stan bliski zmułmanienia, jednak dzięki pomocy Franz mogła spojrzeć na wiele spraw z szerszej perspektywy, dzięki zaspokojeniu podstawowych potrzeb.

Jej opowieść zrywa z męskocentrycznym, heroicznym wzorem narracji, której stawką była kreacja więźnia niezłomnego, dzielnego i odpornego na przemoc i dookólną śmierć. Posmysz wspomina także o objawach syndromu KZ: „Wie pan, po raz pierwszy się do tego przyznam, po wojnie... przez kilka lat... miałam obozowe nawyki. Odkładałam chleb. [...] Wie pan, ja wciąż myślałam, że będzie wojna” (s. 385). Wojna, jak twierdzi Posmysz, pozostała dla niej najważniejszym punktem odniesienia w relacjach międzyludzkich i problemach dnia powszedniego, stąd wysoka poznawcza wartość wywiadu dla zrozumienia psychiki ocalałych i ich rytuałów.

Zofia Posmysz: *Królestwo za mgłą. Z autorką „Pasażerki” rozmawia Michał Wójcik*. Kraków 2017, s. 414.



Zdjęcia ze zbiorów Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie; autor: Piotr Dłubak



# Czechowem o teatrze

JOANNA WAROŃSKA

**Od** 10 marca 2018 roku w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie można obejrzeć spektakl *Czechow: żarty z życia*, złożony z jednoaktówek rosyjskiego autora. Poprzednio, w 2003 roku, był to *Wujaszek Wania* z Markiem Perepeczką w roli głównej, w reżyserii Bogusława Semiotuka.

Przedstawienie złożone z *Niedźwiedzia*, *Oświadczyń*, *Jubileuszu* oraz monologu *O szkodliwości palenia tytoniu* (taki układ to już niemal klasyka) przygotował Andrzej Bubień, absolwent aktorstwa i reżyserii w Petersburgu, a potem dyrektor artystyczny w tamtejszym Teatrze na Wasijewskiej. Jak ważna jest dla niego literatura rosyjska, przekonywał już polskiego widza m.in. w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu, Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu oraz w Teatrze 6. Piętro w Warszawie. Drobne utwory poprzedziły najbardziej znane sztuki Czechowa. Ujawniały jego hu-

mor, bazujący przede wszystkim na niejednoznaczności postaci, które co innego myślą, a co innego robią.

Tym razem spektakl zbudowany z utworów rosyjskiego autora to zaproszenie do zabawy z poszczególnymi elementami teatru. Reżyser zafascynowany teorią Piny Bausch, tancerki i choreografki, szukał prawdy aktora w jego ciele. Z tego powodu wspomagali go choreograf Jarosław Staniek i Katarzyna Zielonka, absolwentka szkoły baletowej w Bytomiu. W ostatniej jednoaktówce na scenie pojawiają się tancerze z Częstochowskiego Teatru Tańca Włodzimierza Kucy. W jednako-nych garniturach z pomalowanymi na sino twarzami, wykonują jednoro-odne gesty, eksponując automatyzację pracowników biurowych. Ale również w pozostałych scenkach ruch jest jednym z ważniejszych elementów charak-teryzujących postacie.

Scenografia Anity Bojarskiej jest stopniowo przekształcana tak, by

od XIX-wiecznego pałacu, przez PGR, stała się współczesnym bankiem. Zmiany rekwizytów wprowadzają inny ustrój polityczny, ale przede wszystkim sposób definiowania teatru. Przeprowadzane są przez aktorów i personel techniczny przy podniesionej kurtynie, wygaszonym świetle i dźwiękach współczesnej muzyki. Wiele drzwi ułatwia wnoszenie i wynoszenie rekwizytów, ale odwołuje się również do gatunku farsy, eksponującego ruch. Dym potęguje tajemniczość, a także zwraca uwagę na konwencjonalność teatru.

Tak powstały wariacje na temat Czechowa, wykorzystujące rozmaite rozwiązania i techniki, od realizmu, przez konwencjonalne gesty, aż do niemal pretekstowości, gdy utwór podporządkowano współczesnym dyskursom, od kameralności do widowiska. Kwestie rosyjskiego dramatopisarza wypowiadają aktorzy w kostiumach skrojonych według różnych mód, wykonujący od-

mienne gesty, ale przecież wciąż napędzani przez te same emocje. Mimo zewnętrznych różnic ludzie niewiele się zmienili. Nadal kierują nimi te same motywy i namiętności – miłość, pieniądze; nawet monolog o szkodliwości palenia brzmi dość współcześnie, choć na przełomie XIX i XX wieku interpretowano go pewnie nieco inaczej. Dialog z tradycją odbywa się na wielu poziomach – tekstu, technik aktorskich, scenografii, kostiumów.

W kolejnych jednoaktówkach pojawiają się inni aktorzy. Łącznikiem okazuje się Michał Kula i to on wyrasta na głównego bohatera przedstawienia. Wygłasza monolog, a w dwóch innych scenkach gra role charakterystyczne. Odslona pierwsza, czyli cham w zubożałym salonie. Wdowa, Helena Popowa (Teresa Dzielska), przynależy do kultury wysokiej i postrzega świat w sposób tragiczny. Jest gotowa pojedynkować się w obronie dobrego imienia męża, nawet jeśli wcześniej nie trzymała pistoletu w ręku. Jej przeżywanie żałoby nie wynika jednak z miłości do małżonka. To raczej chęć udowodnienia sobie i innym, że można mu być wierną mimo jego rozrzutności i popełnionych zrad. On – wierzyciel, Grigory Smimow (Adam Hutyrta), nieokrzesany gbur, który klóci się, jedząc i opluwając wszystko przeżuwanym jedzeniem. Jest cierpliwy i nieugięty. Między tak kontrastowo różnymi osobami uczucie zdaje się niemożliwe. A jednak. Towarzyszy im dwoje służących – Kula i Iwona Chołuj. Każda postać zbudowana jest wokół określonego gestu lub frazy.

Następna scenka – elegant w garkuchni. Tym razem w przestrzeni zbudowanej wokół niskiego paradygmatu kultury, przy dźwiękach przebojów *Modern Talking* i z *Niewolnicą Isaurą* w tle, pojawia się postać jakby z innego świata – Iwan Łomow (Sebastian Banaszczyk), hipochondryk w surducie – by oświadczyć się Natalii (Sylwia Bartnikowska). Ona w codziennym ubraniu zdaje się jednym z babiszonów, silna, chwilami wulgarna, realizująca model kobiety na traktory. Ale i ona tęskni za miłością. Oboje oscylują między jazgotem kłótni a lirycznym patosem. Ich nieszczęście polega na tym, że nie potrafią odciąć się od wdrukowanych im przez rodziny historii, by mimo różnic w ocenie dawnych zdarzeń stworzyć wspólną opowieść. Kibicuje im Stiepan Czubukow, ojciec Natalii (Antoni Rot).

Monolog Iwana Niuchina, „męża swojej żony”, zatrudnionego w prowadzonej przez nią szkole, to popis Kuli. Przykuwa uwagę widza tonem głosu, gestami i mimiką. Tu nie ma groteski i przesady, to przede wszystkim przeżywanie roli. Ów dyrektor pionu technicznego, ale także nauczyciel niemal wszystkich przedmiotów postanawia za-



miast odczytu na cele dobroczynne wypowiedzieć siebie, być może po raz pierwszy. To typowy pantoflarz, ujawniający los mężczyzny w społeczeństwie patriarchalnym, który nie potrafi sprostać obowiązkowi utrzymania swoich kobiet, żony i córek.

Wreszcie przestrzeń publiczna, czyli bank. Nowoczesność sygnalizuje już neon w kształcie fortepianu, będący swego rodzaju nawiązaniem do kultury salonu. Upolityczniona wtórnie jednoaktówka o jubileuszu diagnozuje współczesne podziały ideologiczne, stając się orężem w aktualnych sporach. Nastazia Mierczutkina (Małgorzata Marciniak), kobieta starsza i religijna, o czym świadczy choćby ochraniacze na kolanach z motywem krzyża, nazywa księgowego zbokiem i wegetarianinem (Kuźma Chiryn – Kula). To ona okazuje się głównym motorem zamieszania, a pokazany konflikt rozgrywa się

na kilku poziomach; księgowy to przecież także mizogin bijący żonę.

Zmiany w tekście są zauważalne i dotyczą przede wszystkim Andrieja Szypuczyna (Adam Machalica). Dawny układ o potencjale komicznym: starszy mąż – młoda żona (Tatiana – Marta Honzatko), zastąpiono innym: młody prezes – starszy i wykorzystywany przez niego współpracownik. Być może z tego powodu dolegliwości prezesa straciły swoją wiarygodność. Ważna staje się automatyzacja, marionetkowość, brak panowania nad sytuacją. Głos rozbrzmiewający z głośników przypomina o Wielkim Bracie, o tym, że jesteśmy nieustannie obserwowani i kontrolowani. O tancerzach w roli urzędników bankowych już pisałam. Warto jednak wspomnieć, że potęgują oni widowiskowość tej części.

Brak jednorodnej akcji spektaklu albo raczej jej pretekstowość sprawiła, że najważniejszym bohaterem stał się teatr. W korowodzie aktorów, postaci, strojów (męskie zdają się bardziej ponadczasowe), dekoracji, gry świateł, rytmów, sposobów czytania, sprawdzano wydolność tekstów Czechowa. Okazały się one na tyle pojemne, by objąć kolejne pokolenia teatralne. Diagnozy świata i ludzi stawiane przez pisarza są przecież wciąż aktualne. Przedstawienie przypomina, że Czechow, wytrwale walczący z kłamstwem w relacjach międzyludzkich, został włączony w komunikację teatralną, gdzie również czają się nieporozumienia czy uproszczenia wynikające z nastawienia konkretnych realizatorów. Bo teatr jest przecież spotkaniem wielu podmiotów, skupionych wokół tekstu. Czy zbuduje przedstawienie z Czechowem czy przeciw Czechowowi, to kwestia wyboru. Nie zmieni to jednak pozycji autora, którego sztuki przetrwały wiele pomysłów.





„Siła Rzeczy” technika mieszana, 190 cm x 220 cm

# Adrian Zert

## MALARSTWO

Przedstawić Adriana Zerta jako studenta III-go roku malarstwa na katowickiej ASP to jak na pytanie „kim jest człowiek” odpowiedzieć „zawodem jaki wykonuje”.

W przypadku Adriana unikałabym różnie dzisiaj rozumianego i niejednokrotnie zdewaluowanego słowa „student” – można przecież studiować jakiś kierunek po to, żeby ładnie wyglądał w CV, nie mając o nim zielonego pojęcia... albo dlatego, że PKP czy KZK GOP mają korzystne zniżki dla posiadaczy legitymacji studenckich... Oczywiście są też studenci, którzy poważnie podchodzą do swoich studiów, studenci z pasją, świadomi i dojrzały. Studenci, którzy nie pracują dla wpisu w indeksie. Studenci, którzy pracują dla siebie i to nie po to, żeby coś sobie [komuś?] udowodnić. Pracują, poszukują, myślą się, odnajdują z potrzeby ciągłego rozwijania się i poszerzania własnych horyzontów – brzmi dosyć utopijnie w kontekście dzisiejszych realiów, prawda?

Niezależnie od tego jak to brzmi, właśnie do takiego gatunku studentów należy Adrian Zert, ale zarezerwowałabym dla nich słowo „poszukiwacze”.

Już drugi rok mam okazję obserwować pełny proces powstawania obrazów Adriana. Zaczyna się zawsze od postawienia problemu i usłania podłogi w pracowni masą różnorodnych szkiców i rozwiązań, żeby później trawić formę malarską tak długo, aż autor będzie potrafił zaakceptować to, czego dowiedział się podczas pracy zarówno o obrazie, jak i o sobie samym. Adrian jak sam mówi bardzo męczy się przy malowaniu. Jest to materia, która stawia mu opór nie z powodu nieopanowania warsztatu, ale z powodu naturalnej trudności malarskiego, artystycznego zagadnienia, jakie autor sobie postawił. Wybór środków wyrazu kojarzonych na pierwszy rzut oka z amatorszczyzną przez twórcę warsztatowo biegłego wiele mówi o jego dojrzałości. Adrian śladami pozornie niewystudiowanymi, a dzięki temu autentycznymi buduje na zewnątrz wewnętrzny świat emocji, ale emocji wynikających z dialogu świadomego autora z nieświadomymi dążeniami... Adrian walcząc z materią obrazu tak naprawdę uczy się z nią współpracować. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest sytuacja, w której odnalezienie odpowiedniego śladu na obrazie czasem zajmuje mu długie tygodnie... Pytanie, które nachodzi mnie za każdym razem, kiedy oglądam prace kolegi z pracowni, brzmi: czego za pośrednictwem tych z trudem odnawianych śladów szuka Adrian Zert?





Portret ks. Johannes Chrząszcza autorstwa Lukasa Mrzygloda

Wystawa pod patronatem „Śląska”

# Ks. dr Johannes Chrząszcz – górnośląski kapłan i historyk

**Kardynał Adolf Bertram w mowie wygłoszonej po jego śmierci powiedział: „Kiedy ks. Chrząszcz przemawiał, to tak jakby ktoś na wiosnę otworzył okno i wpadło przez nie światło, powietrze i słońce”.**

**Pyskowicki proboszcz, jeden z założycieli Muzeum Górnośląskiego w Gliwicach, społecznik, a przede wszystkim znakomity śląski historyk. Ks. dr Johannes Chrząszcz był jedną z tych postaci, które na przełomie XIX i XX w. zasłużyły się dla rozwoju kultury umysłowej Śląska. Doskonale łączył obowiązki duszpasterskie z działalnością badawczą przeszłości regionu.**

Jego wieloletnie badania naukowe zaowocowały wydaniem wielu pozycji historycznych dotyczących przeszłości lokalnych społeczności i wspólnot. Dzieła te są szczególnie cenne, ponieważ wiele źródeł, z których korzystał ks. Chrząszcz, uległo zniszczeniu w czasie ostatniej wojny. Otwartość ks. Chrząszcza na wszechstronny rozwój kultury na Górnym Śląsku zaowocowała zasiadaniem w licznych towarzystwach naukowych i popularno-naukowych, których gremiom niejednokrotnie przewodził. Założone przez niego wspólnie z tajnym radcą Arthurem Schillerem w 1905 r. Muzeum Górnośląskie w Gliwicach (Oberschlesische Museum in Gleiwitz), dziś, jako Muzeum w Gliwicach, jest najstarszą placówką muzealną na Górnym Śląsku. Przygotowana w Willi Caro, głównej siedzibie Muzeum wystawa *Ks. dr Johannes Chrząszcz – górnośląski kapłan i historyk* przybliży i upamiętni postać tego zasłużonego nie tylko dla Gliwic i Pyskowic, ale dla całego regionu duchownego. Kuratorami ekspozycji są Anna Kulczyk, historyk Muzeum w Gliwicach i Bogusław Małusecki, kierownik gliwickiego oddziału Archiwum Państwowego w Katowicach. Wystawie towarzyszy najnowsza publikacja Muzeum w Gliwicach – *Dzieła wybrane* ks. Johannes Chrząszcza w tłumaczeniu i opracowaniu dr. Sebastiana Rosenbauma.

Na wystawie znajdują się rękopisy ks. Chrząszcza, jego dzieła wydane drukiem, oraz książeczki w językach polskim i niemieckim, zachęcające wiernych do różnych form pobożności, w zależności od stanów, do których należeli. Całość uzupełniają nieznanne i nigdy dotąd nie publikowane archiwalne fotografie przedstawiające ks. dr. Johannes Chrząszcza wykonane z okazji różnych ważnych dla pyskowskiej parafii uroczystości.

Ekspozycja jest dostępna dla zwiedzających do 26 sierpnia 2018 r.

\*

Ks. Johannes Chrząszcz pochodził z rodziny chłopskiej, urodził się 27 kwietnia 1857 r. w Mionowie k. Prudnika. Szkołę podstawową ukończył w Wierzchu. Od 1871 r. uczył się w gimnazjum w Głubczycach, a od roku 1873 w Niższym Seminarium Duchownym we Wrocławiu i równocześnie w Gimnazjum św. Macieja. W 1875 r., wraz z nastaniem tzw. kulturkampfu, seminarium zostało zamknięte, wobec czego Chrząszcz kontynuował naukę w gimnazjum w Opolu, gdzie zdał maturę 27 lipca 1877 r.

Po zakończeniu edukacji w gimnazjum wrócił do Wrocławia i rozpoczął trzyletnie studia teologiczne na Universitas litterarum Vratislaviensis, znanym od 1911 r. jako Schlesische Friedrich-Wilhelm-Universität. Jednocześnie na własną rękę studiował historię Śląska. Po zamknięciu kierunku teologii katolickiej w wyniku trwającego kulturkampfu Chrząszcz udał się do Pragi, gdzie 5 października 1880 r. ponownie zaczął studia teologiczne.

15 lipca 1881 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk praskiego biskupa sufragana Průcha.

1 stycznia 1883 r. objął funkcję nauczyciela w Królewskim Katolickim Gimnazjum w Gliwicach, gdzie był katechetą, a później również nauczycielem języka polskiego. W tym też okresie związał się bliżej z innymi duchownymi pracującymi w Gliwicach, a także z władzami miasta. Przyczynił się również w znaczący sposób do założenia Konwiktu św. Józefa dla chłopców pobierających nauki w gliwickim gimnazjum. W 1888 r. Johannes Chrząszcz otrzymał stopień doktora na Uniwersytecie Wrocławskim.

Od 25 listopada 1890 r., dzięki poparciu właściciela dóbr w Toszku Hugo Guradzego, młody kapłan pełnił funkcję proboszcza w parafii św. Mikołaja w Pyskowicach. W mieście tym pozostał do końca życia. To właśnie jemu kościół, plebania i probostwo zawdzięczają gruntowny remont na przełomie wieków.

Ks. Chrząszcz był także długoletnim członkiem Rady Miasta Pyskowice, wspierał tamtejsze Królewskie Seminarium Nauczycielskie oraz działał na rzecz budowy nowej szkoły powszechnej. Za całokształt działalności społeczno-kulturalnej ks. Johannes Chrząszcz otrzymał od władz miasta tytuł honorowego obywatela Pyskowic.

W 1905 r. stał się inicjatorem założenia Muzeum Górnośląskiego w Gliwicach, którego pierwszym dyrektorem został Artur Schiller.

Największą pasją ks. Johannes Chrząszcza była historia Górnego Śląska. W 1904 r. ks. Chrząszcz brał udział w opracowywaniu statutu Górnośląskiego Towarzystwa Historycznego (Oberschlesischer Geschichtsverein) z siedzibą w Opolu. Towarzystwo rozpoczęło działalność w tym samym roku, wtedy też zaczęto wydawać pismo „Oberschlesische Heimat”, w którym Chrząszcz był najpierw zastępcą redaktora naczelnego, potem, od 1913 r. (po śmierci redaktora naczelnego – Oscara Wilperta), redaktorem naczelnym. Równocześnie objął funkcję prezesa Towarzystwa. Z obu tych stanowisk zrezygnował dopiero w podeszłym wieku.

Ks. dr Johannes Chrząszcz publikował bardzo wiele, zarówno w piśmie przez siebie redagowanym, jak i w innych, takich jak „Oberschlesien” czy „Misjonarz Polski”. Był autorem historii wielu kościołów i klasztorów.

Napisał też historie wielu miejscowości na Górnym Śląsku, m.in. Prudnika, Krapkowic, Pyskowic, Toszka. Spośród publikacji poświęconych Gliwicom na szczególną uwagę zasługują: *Gleiwitz vor 100 Jahren (Gliwice przed 100 laty, 1907)* oraz *Das schwarze Buch von Gleiwitz (Czarna Księga z Gliwic, 1927)*.

Należy wspomnieć, że ks. Chrząszcz dobrze znał języki: niemiecki, polski, czeski, hebrajski, łaciński i grecki. W języku niemieckim publikował prace naukowe skierowane głównie do śląskiego środowiska naukowego, zaś w języku polskim wydawał modlitewniki, broszury etc., z których korzystali głównie wierni.

Jego osiągnięcia w badaniu przeszłości regionu były tak znaczące, że nawet Uniwersytet Wrocławski zaproponował wiejskiemu proboszczowi wykłady, ten jednak nigdy nie skorzystał z propozycji.

Był wyjątkowo skromnym, pracowitym, bezinteresownym, bardzo lubianym i szanowanym człowiekiem. Kardynał Adolf Bertram w mowie wygłoszonej po jego śmierci powiedział: „Kiedy ks. Chrząszcz przemawiał, to tak jakby ktoś na wiosnę otworzył okno i wpadło przez nie światło, powietrze i słońce”. Ks. Johannes Chrząszcz zmarł 26 lutego 1928 r. w Pyskowicach. Został pochowany 1 marca na tamtejszym cmentarzu przy kaplicy św. Stanisława.

(Oprac. wk na podst. tekstów

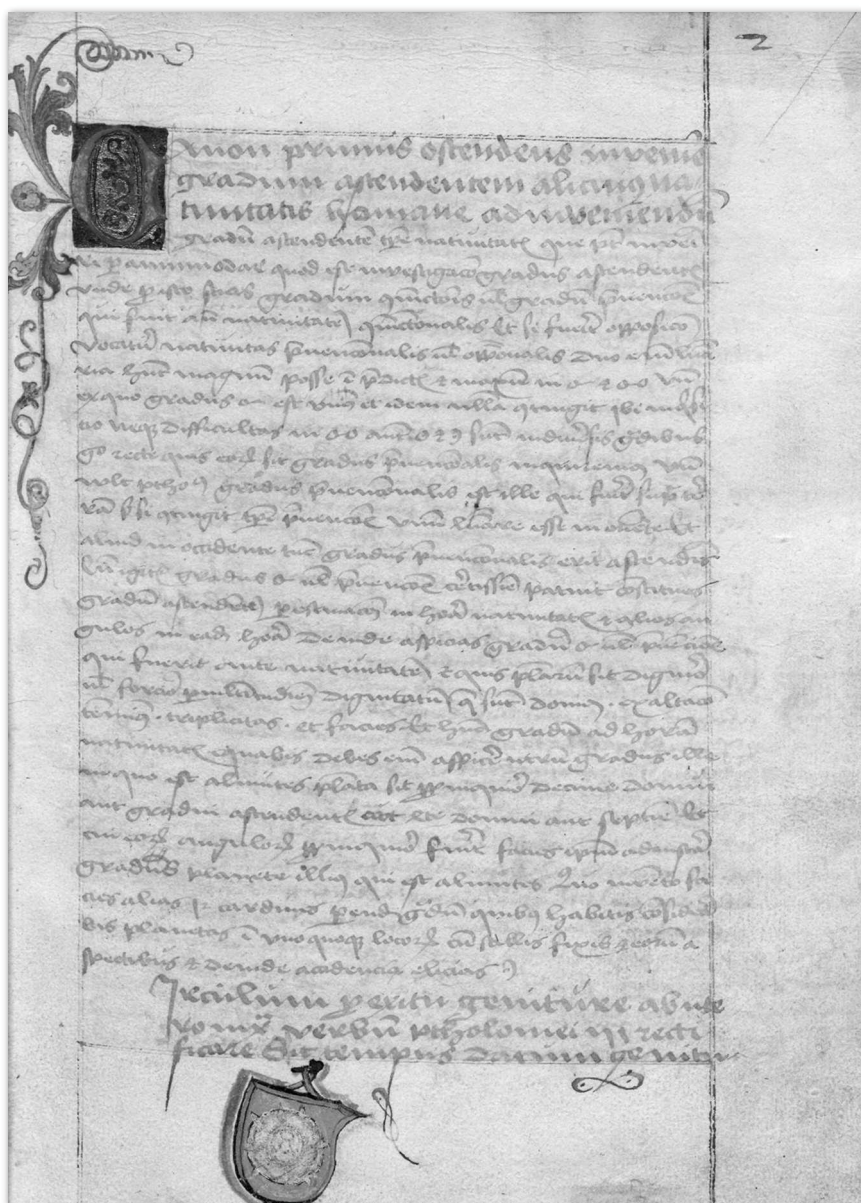
Anny Kulczyk

– pracownika Muzeum w Gliwicach

i kuratorki wystawy

oraz Bogusława Małuseckiego

– pracownika Archiwum Państwowe w Katowicach Oddział w Gliwicach)



# Średniowieczny podręcznik alchemicznego wtajemniczania

JAN MALICKI

Dokładnie osiemdziesiąt lat temu Biblioteka – wówczas jeszcze nienazywana Śląską – zakupiła w Wiedniu, w antykwariacie Gilhofer und Rauschburg niezwykle rękopis o zaciękającym tytule: *Miscellanea astrologica et alchymica*. Był to oryginalny, różnorodny, jednak wyrazisty, a zarazem wysmakowany zbiór traktatów – zdawać by się mogło – z różnych dziedzin: astronomii, astrologii, alchemii i meteorologii. Wyjaśnijmy: dla czasów, w których on powstał, wiele z tych dziedzin wzajemnie się dopełniało, współtworząc uniwersalny system wiedzy matematyczno-przyrodniczej. A powstał on około 1493 roku w środowisku uniwersyteckim, jak tego dowodzi dobór tekstów. Zapewne w krakowskim, choć także mógł służyć uczonym wiedeńskim, wykładającym na młodszym o rok uniwersytecie w jakże atrakcyjnym dla humanistów mieście nad Dunajem. Szczególnie w czasach, gdy wciąż jeszcze żywa była pamięć o Eneasz Sylwiuszu Piccolominim, przyszłym papieżu Piusie II, wybitnym humaniście, obracającym w niwecz wszelkie narodowe mity państw europejskich o chwalebnych ich początkach, ale także środowiska naukowego, literackiego, skupionego wokół Macieja Korwina.

O krakowskiej proveniencji świadczą wpisane weń nazwiska uczonych; nade wszystko Wojciecha z Brudzewa, nauczyciela i wychowawcy kilku wybitnych astronomów i humanistów, by jedynie przypomnieć nazwiska Mikołaja Kopernika i Wawrzyńca Korwina, człowieka, który poprzez swoją działalność edukacyjną oswoił Wrocław z prądami humanistycznymi, nie zapominając przy tym o swoich krakowskich kontaktach.

Drugim uczonym, równie ciekawym i ważnym dla krakowskich badań matematyczno-astronomicznych, którego tekst znajduje się w zbiorze, był Jan z Głogowa, wielka, legendarna postać piętnastowiecznego Krakowa, autor wielu traktatów naukowych, ale i rozlicznych prognostyków, któremu przypisuje się słowa: „niebawem pojawi się na świecie »czarny zakonnik«” (*Polski Słownik Biograficzny*). On to doprowadzi do ogromnego chaosu i zamieszania w całym chrześcijaństwie. Jan z Głogowa miał to rzez niemal na dwadzieścia lat przed sławetnym wystąpieniem Marcina Lutra.

Kraków ostatnich dwóch dekad XV wieku jawi się nam więc dość

skomplikowanie; historyk zwróci uwagę na wojnę celną między Wrocławem a Krakowem, na zarazy raz po raz trapiące mieszkańców, może na tumulty antyżydowskie, no i pożary. Zwłaszcza w 1492 roku, kiedy jeden z nich strawił Collegium Maius, by dwa lata później szczęśliwcy odnaleźli tam skarb – monety, biżuterię, kosztowności.

Dla bibliofila ważne stało się to, że już wówczas przebywali w Krakowie drukarze: Jan Kriger i Jan Pepelaw, a Szwejnpolt Fiol w 1483 roku zaczął wydawać druki cyryliczne. Zresztą niedługo, bo już w 1492 roku prymas zakazał ich publikacji. Prawdziwy bibliofil z pewnością też przypomni księgarnię Jana Hallera. Historyk sztuki zaś – budowany w latach 1477–1489 w Kościele Mariackim wielki ołtarz, którego twórcą był Wit Stwosch. Historyk literatury jeszcze inaczej spojrzysz na ten okres. Połączy go bowiem z czasem wielkiej edukacji humanistycznej elit, które coraz częściej i chętniej uczą się języka Cicerona, Wergiliusza i Horacego, ale też świadomie imitują utwory według norm, reguł i wzorów starożytnych. Czynią to poza akademią, u przybyłego ok. 1488/1489 Konrada Celtisa, owianego sławą poety, uwieńczonego miłośnika Muz, ale i szlachetnej wiedzy matematyczno-astronomicznej. Studiując u Wojciecha z Brudzewa, razem z Filipem Kallimachem stworzą Sodalitas Vistulana, gdzie spotykała się niemal cała elita Krakowa na czele z Mircą, Wojciechem z Brudzewa. W tym też kręgu znaleźli się i Ślązacy: Wawrzyniec Korwin i Fusilius – Zygmunt Gossinger, wierny towarzysz Celtisa w wędrówce do Wiednia. Trudno było bowiem odmówić takiej oto prośbie:

*Na Akademię (Si quis rhetoricam Ciceronis utramque requirat)*

Jeśli ktoś dwie z Cicerona retoryk bada, co ojcem

Mowy łacińskiej się stał, jak powiadają to w krąg –

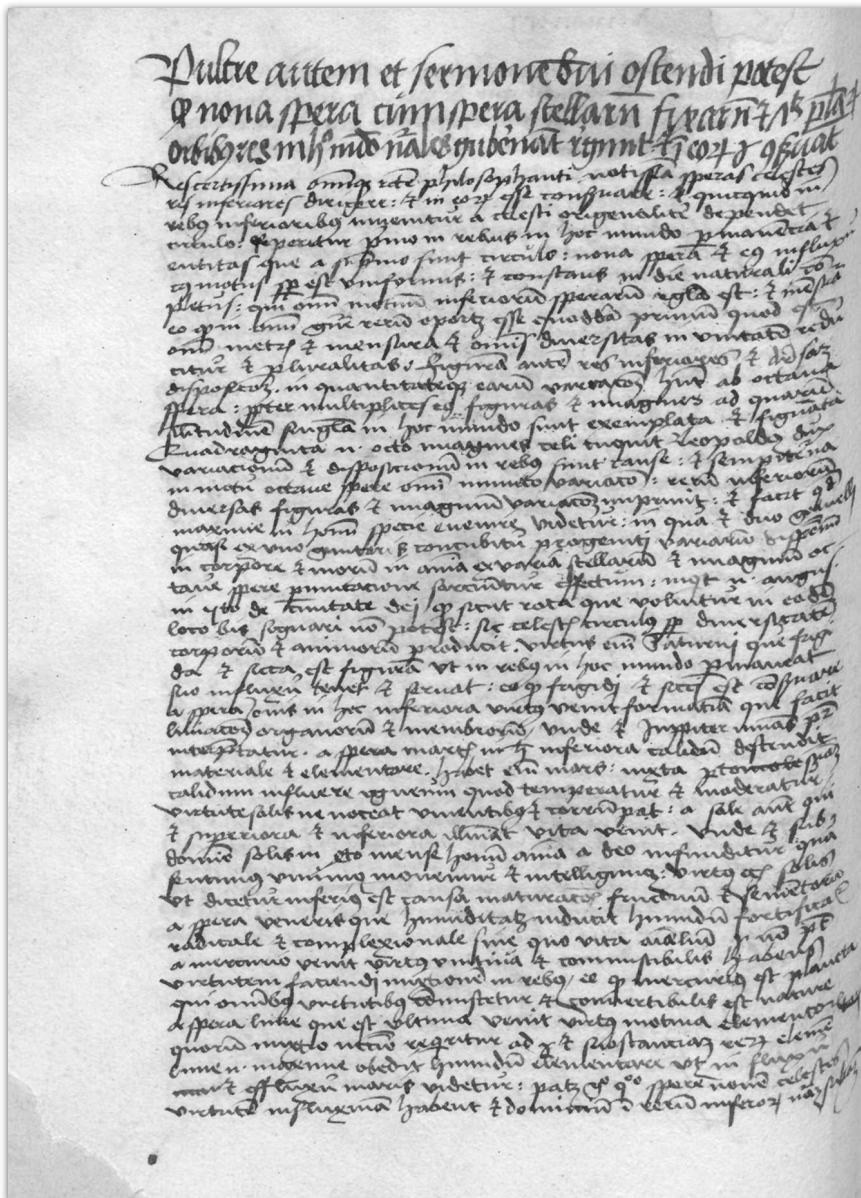
Jeśli ktoś liścik napisać pragnie z artyzmem prawdziwym,

Jeśli wartością swych dzieł sztukę chce tworzyć, co trwa –

Ten do Konrada Celtisa białego domu niech przyjdzie

Jutro, gdy będzie już bił ósmą godzinę młot.

(*Antologia poezji polsko-łacińskiej 1470 do 1543*, Szczecin 1985, s. 98)



A przecież tradycję i atrakcyjność Krakowa współtworzyli i to na lata będą jeszcze profesorowie: Marcin Król z Żurawicy, Marcin Bylica z Olkusza, współpracownik J. Regiomontana, Marcin Biem i wielu ich następców, by przypomnieć choćby krakowski krąg Jerzego Joachima Retyka i Stanisława Grzebskiego, autora *Geometryj albo miernickiej nauki* z 1566 roku.

Nic dziwnego, że Kraków i jego akademia przyciągały żaków i uczonych z całej niemal Europy, od Hiszpanii, przez Szwajcarię, Łużyce, po Śląsk, skąd wywodziła się najliczniejsza zapewne rzesza studentów, licząca nawet do 2 tysięcy osób. W Krakowie mieli studiować m.in.: Rudolf Agricola młodszy, który opatrywać będzie swoimi tekstami przedruki Jana z Głogowa, Walenty Eck, aktywny uczestnik spotkań u Konrada Celtisa, a swoją wiedzę tajemną właśnie tu miał posiąść Johann Faust, bohater Marlowe'a,

Goethego, wędrującego jego szlakiem po Krakowie czy naszego Józefa Lompy, tłumaczącego jeszcze w połowie XIX stulecia popularną wersję jego wędrówek na język polski. Wszak wśród uczniów krakowskich astronomów Wojciecha z Brudzewa i Jana z Głogowa zwracają uwagę dwaj uczeni, którzy z czasem wrócą do Wiednia i wykładać będą w tamtejszym uniwersytecie; to Erazm Höritz i Stefan Röslein. Odegrają oni szczególną rolę, gdy jeden z ich mistrzów Jan z Głogowa będzie się starać o wiekańską katedrę uniwersytecką, w okresie – przypomnijmy – niebywałego rozkwitu miasta, skupiającego i przyciągającego wędrownych humanistów z całej Europy.

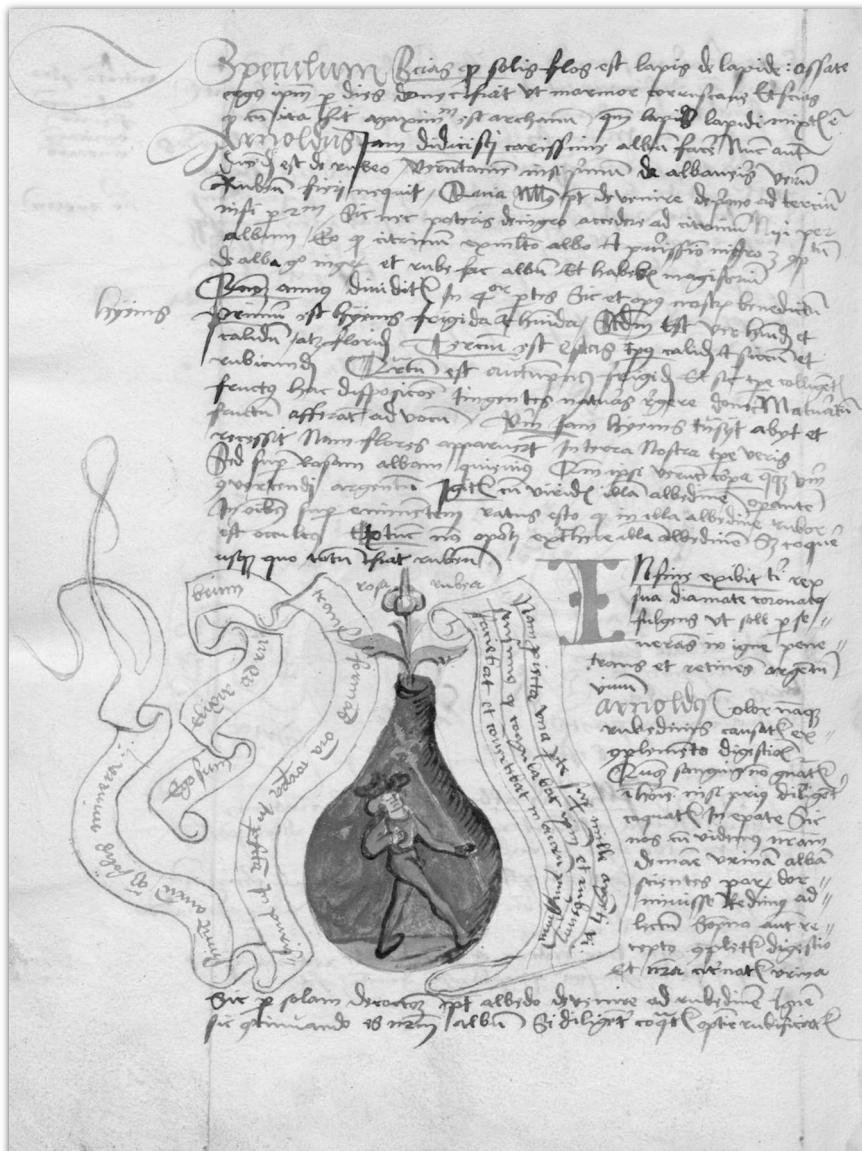
I znowu, jak w czasach krakowskich, duchem opiekuńczym stanie się Konrad Celtis, mieszkający w Wiedniu już do śmierci, do 1508 roku. Stworzy jednak kolejne stowarzyszenie „Collegium poetarum et mathe-



maticorum”. Dodajmy przy okazji, iż właśnie z Wiedniem łączą się też tragiczne losy innego znakomitego śląskiego poety Kaspra Ursinusa Veliusa, liryka, uchodzącego za jednego z najciekawszych łacińskich poetów humanistycznych młodszego pokolenia.

Kupując zatem w Wiedniu osiemdziesiąt lat temu cenny manuskrypt, wiadano, że już w tym momencie Biblioteka zyskuje najstarszy silesiak, szczególnie iż w nim znajdował się tekst w interpretacji Jana z Głogowa, wygłoszony zapewne i spisany w 1493 roku. Był to – dodajmy – komentarz do Almanachu Johanesa Regiomontana z tablicami i diagramami. To niezwykle ważna informacja, gdyż nadaje tekstowi Głogowczyka inny jeszcze wymiar; nie dość, że odnosi się do dzieła stosunkowo – jak na tamte czasy – nowego (bo zaledwie 17 lat po śmierci biskupa Ratzynby), ale też podejmuje zagadnienia niezwykle aktualne. Johannes Müller Regiomontanus był bowiem znakomitym matematykiem i astronomem. Pozostawił swoim następcom doktrynę – a jakże – ptolemejską, wzbogaconą o osiągnięcia astronomów arabskich. Być może to wyjaśnia przywołanie przez twórcę *Miscellaneów* prac alchemicznych słynnego XII-wiecznego uczonego arabskiego Gebera (Abu Muhammad Jabir ibn Aflah, ok. 1100–1160) czy wyciągów z ksiąg Abrahama Ben Meir ibn Ezra (ok. 1092–1167). Dodajmy na marginesie, że Regiomontanus miał bardzo dobre kontakty ze środowiskiem krakowskich akademików. Z innym bowiem profesorem Marcinem Bylicą z Olkusza ogłosił rozprawę pod jakże wymownym tytułem *Disputationis inter Viennensem et Cracoviensem super Cremonensia in planetarum theoriae deliramenta*. Była to krytyka przestarzałego podręcznika astronomii wydanego w Kremonie.

Ale też znajdują się tu alchemiczne komentarze do dzieł wielkich klasyków Kościoła, choćby tradycji dominikańskiej, by przywołać dwie monumentalne postaci Alberta Wielkiego i jego ucznia Tomasza z Akwinu, współtworzących nowy, wielki, atrakcyjny dla następnych pokoleń model naukowy i religijny systematyki scholastycznej. Nie mogło też zabraknąć magicznego Pseudo-Albertowego traktatu o alchemii. Jednak wśród wielu tekstów wzrok przyciąga postać Hermesa Trismegistosa, „Hermesa Po Trzykroć Wielkiego”, definiowanego we wszystkich encyklopediach



jako symbol jedności religii, nauki i sztuki; symbol wiedzy tajemnej. Tabula Smaragdina i Corpus Hermeticum są podstawą i wskazaniem dla pokoleń alchemików. Warto też pamiętać, że właśnie przełom Średniowiecza i Renesansu, zwłaszcza we Włoszech, począwszy od boskiej Florencji, przyniósł odrodzenie i popularność Hermesa Trismegistosa, a jego dzieła są przedmiotem poczynań badawczych właściwie po dzień dzisiejszy.

Jaka zatem jest wartość owego manuskryptu? Z uśmiechem mógłbym rzec: bezcenna. Bo jedyna, niepowtarzalna w tej postaci. Lecz wartość *Miscellaneów* polega na czymś zupełnie innym, ważniejszym, zwłaszcza gdy z oddalenia przeszło pięciuset lat rekonstruujemy rzeczywistość tamtych czasów, tworzymy wiedzę o ich intelektualnym świecie, ich poglądach, wyobrażeniach i ogromnej erudycji. Ona też budzi wielki szacunek.

Zbiór ten pozwala zrekonstruować i wyobrazić sobie, jak wyglądały

wówczas wykłady akademickie w Krakowie A. D. 1493. Pewnie tak, jak obecnie. Więc, jak to się stało, iż swoje miejsce znalazł w Wiedniu? Możemy przypuszczać, że przed 1505 rokiem, kiedy to wpadł w ręce Austriaka z Karyntii Leopolda Lieppharta. Zapewne uczonego, opatrującego notą z 1524 roku wykład Jana z Głogowa, a potem na końcu piszącego: „Finit per Leopoldum Liepphart in die S [anti] Vincentii [6. VI] anno. etc. 1524”. Koniec – dopowiedzmy – wykładów w uniwersytecie wiedeńskim? Być może, iż jest to podręcznik samego Jana z Głogowa, z którym tu przybył do Wiednia, wszak w latach 1497–1498 wykladał w Wiedniu. Niedługo jednak Jan z Głogowa wrócił do kraju. Do Krakowa. Tu też zmarł w 1507 roku. Rok później umiera w Wiedniu Konrad Celtis.

*Miscellanea astrologica et alchymica* pozostały tam aż do 1938 roku.



Autor materiału i tłumaczka Eva Fleischerowa w Pszczynie

**B**irkenau jest piękne, choć przeklęte. Listopadowe pochmurne przedpołudnie. Nagle zza chmur wychodzi słońce i krajobraz wydaje się jakiś niezemski... Mimo tłumów jest pusto. Wrażenie, że stoimy w miejscu, gdzie była Olga jest piorunujące. Nie sądziłem, że Birkenau wyrze na mnie takie wrażenie, w tym momencie – a przecież bywałem już tu i w innych przeklętych fabrykach śmierci. Tylko czemu na Boga ten obóz mnie tak zachwyił? Bo listopadowe słońce złoci nawet brzozy – o których pisze Olga (Eva mi to przypomniała)? Czemu to przeklęte miejsce musi być tak piękne?

Za dużo, za szybko. Mam wrażenie, że chcę przekazać Evie za dużo... Namawiam ją, żeby przyjechała do moich rodzinnych Brzeźc koło Pszczyny dotknąć historii, miejsc, w których była Olga, by poczuć ich smak, kontekst. Tak jak w reportażu – żeby był mięsisty, reporter musi go przeżyć. A tłumacz nie może zamykać się na słowa zawarte w książce. Musi wybiec dalej, zahaczając o ich odbiór, konteksty... Przecież – zresztą – Eva i tak to robi. Pisze o Oldze po Auschwitz. A żeby to zrozumieć, trzeba przyjechać do Brzeźc, gdzie – jak sama Olga stwierdziła – narodziła się po raz drugi.

#### Anioł z Brna

**L**at temu kilkanaście, w 2002 roku, byłem w Nowym Jorku, gdzie Olga Lengyel założyła fundację i muzeum. Bezskutecznie. Nic z tego się nie narodziło – jej kontynuatorzy nie byli zainteresowani współpracą z potomkami rodzin Paszków i Godzków, które uratowały Olę i jej dwie przyjaciółki. Nikt nie chciał wydać pełnej wersji wspomnień Olgi, z pełny-

# Eva, Olga i obóz zagłady

GRZEGORZ SZTOLER

**Birkenau, miejsce śmierci tysięcy, miejsce przeklęte. A jednak – piękne. Eva Fleischerowa pokazuje mi obozową aleję, przy której – no właśnie jak to ująć – żyła, przebywała, była więziona Olga Lengyel (1908–2001). Olga napisała książkę *Five Chimneys*, wydaną w Stanach w 1947 roku. Teraz czeskie tłumaczenie przygotowuje Eva, z pełnym kontekstem – bo dotąd wieś, w której uratowano z marszu śmierci Olę i jej przyjaciółki Magdę i Luizę była bezimienna. Podobnie jak wybawcy węgierskich Żydów – rodziny Paszków i Godzków.**

mi nazwiskami jej wybawców. Po prostu. Pozostało mi dokumentowanie wszystkiego we własnym zakresie – by wspomnieć *Ścieżki śląskie, czy Dom trzech pokoleń* i kilka tekstów zamieszczonych w miesięczniku „Śląsk”, „Dzienniku Zachodnim” czy Interneecie. Dokumentowanie i bycie dumnym z postawy moich przodków, bezimiennych bohaterów. Ta rodzinna historia ma swój wkład w wielką historię Holocaustu – jako jedna z pierwszych opisywała obozowe mechanizmy i pseudomedyczne eksperymenty doktora Mengele. Wreszcie wspomnienia Olgi posłużyły Wiliamowi Styronowi za kanwę scenariusza do filmu *Wybór Zofii* (1982 rok, reżyser Alan Pakula) z genialną rolą Meryl Streep, za którą uhonorowano ją Oscarem...

I kiedy już straciłem nadzieję, że cokolwiek w sprawie wspomnień Olgi się ruszy, pojawiła się ona – Eva Fleischerowa z Brna, tłumaczka książki Olgi na czeski. Pamiętam, że ponad rok korespondowałem, mężczyłem mnie pytaniami, zresztą nie tylko mnie – i mojego przyjaciela, z muzeum holocaustu, który anonimowo konsultował jej wiele rzeczy natury powiedźmy, historyczno-propagandowej. Przesłałem pani Evie wszelkie materiały, jakie wytworzyłem, łącznie z filmem *Olga z marszu śmierci* z 2010 roku. Ale pytań nie ubyło.

15 września ubiegłego roku spotkaliśmy się w czeskim Kromieryżu, urokliwym miasteczku zwanym perłą Moraw, z panią Evą i wydawcą czeskiej edycji wspomnień Olgi, który akurat wracał z wysta-



wy z Włoch. Zgłębiałiśmy szczegóły biografii Olgi, śledzieliśmy różnice między francuską wersją książki Olgi z 1946 roku pt. *Souvenirs de l'au-delà* z autografem Olgi (rarytas!), którą Eva przyniosła z sobą, a tą amerykańską z 1947 roku zatytułowaną *Five Chimneys* – czyli tłumacząc na polski „Pięć kominów” (tam dodano rozdział o uratowaniu Olgi w bezimiennej polskiej wiosce), która stała się podstawą dalszych wznowień i tłumaczeń m.in. na japoński, włoski, hiszpański, angielski, rumuński... Fedrowaliśmy tak aż do późnej nocy w gospodzie „Pod Czarnym Orłem” przy rynku. Przekazałem Evie kilka egzemplarzy *Domu trzech pokoleń*. I zachęciłem do zamieszczenia w czeskiej edycji zdjęć rodziny Godźków i Paszków z wizyty Olgi w Brzeźcach w 1981 roku – jako dopowiedzenie historii więźniarki, bo przecież ona dalej się toczy. Dzięki niej spotykamy się w Kromieryżu, korespondujemy ze sobą. Czytelnik lubi przecież „widzieć” bohaterów książki, wiedzieć o kim mowa. Więc czemu nie?

Do Evy dotarły więc zdjęcia z wizyty Olgi u Godźków i Fyrlów. Jej następna wizyta nastąpiła dwa miesiące później, 25 listopada. Odebrałem ją przed południem, najpierw podeszliśmy do Birkenau. Tam wskazała mi miejsce, gdzie Olga przebywała – po prawej stronie patrząc od bramy, za Żydówkami czeskimi z Terezina, w osobnym bloku umieszczono Żydówki węgierskie. Eva chciała dokładnie zobaczyć obóz, bo przewodnik oprowadził jej wycieczkę zbyt pobieżnie – mówiła. Więc rampa – zdjęcie aparatem analogowym. Tam gdzie selekcja wstępna i tatuáže – zdjęcie. Pomnik – foto. Krematorium I a zwłaszcza III – foto. Czas biegnie. Zastanawiamy się wracając w kierunku rampy, gdzie była Olga, znajdujemy, więc

znowuż – foto. Czas biegnie – ruszamy do Brzeźc, gdzie jesteśmy kwadrans po czternastej. Po drodze oczywiście deliberujemy o Oldze, Instytucie po niej powstałym, współpracy z nimi – jeśli książka się pokaże. Wątpię, ale mam nadzieję... Termin druku upływa za kilka dni, Eva żali się na współpracę z graficzką, która się nie odzywa. Obiecuje, że się przyłoży, choć przypisów, odsyłaczy i dokumentacji ciągle jej przybywa. Ale ma ambicję wytropić wszystkie błędy (te dotyczące odległości, to podstawa), nieścisłości w książce Olgi. Dochodzimy do wniosku, że najlepiej byłoby dotrzeć do rękopisu. Tylko gdzie go szukać? W Paryżu? Eva obiecuje napisać zapytanie do TOLI, jak zwie się teraz dawne Memorial Library Olgi z NY, Nowego Jorku.

W Brzeźcach odwiedzamy cmentarz, zapalamy świece, kolejno na wspólnym grobie Zofii i Augustyna Godźków, moich pradiadków oraz Jadwigi i Jana Lazarów – moich dziadków, mogile więźniów oświęcimskich, grobie czeskiego lotnika Michała Minki. Z cmentarza idziemy do rodzinnego domu Paszków, niedaleko szkoły i kościoła, zastanawiając się skąd uciekała Olga. Napotykamy Janka Paszka wychodzącego ze stodoły. Rozmawiamy, pokazuje nam zdjęcie starej drewnianej stodoły, gdzie ukrywały się Żydówki i miejsce gdzie stała. Potem jedziemy do *Domu Trzech Pokoleń* przy ul. Pokoju, z którego pochodzę i gdzie ukrywała się Olga z przyjaciółkami po przewiezieniu jej tu w wozie z sianem z gospodarstwa Paszków. Tu czekają na nas ciotki z koloczem i opowieści o Oldze, babce i prof. Stanisławie Leszczyńskim. Mam to nagrane, może się przyda. Eva przywiozła trzy rodzaje słodkiego, ciasta, które Olga piekla mojej babce Jadwidze, domyślam się, że chodzi o trdel-

nik. Mnie smakował ten z cynamonem. Zwiedzamy jeszcze stodołę, wejście, pamiątkowa foto przed, i piwnicę, gdzie Eva pyta ciotkę Małgosię o epizod z pierzem, do którego wpadła Olga strasząc skutecznie domowników. Ciotka przypomina sobie ten moment. Na godz. 17 zawożę Evę na autobus, którym wraca do Brna. Czy zdąży z tą książką do końca roku?

### Śniła jej się Olga

Siedzimy z Ewą w PTTK-owskim hotelu, w Pszczynie, przy piwie. Wesołkowaty kucharz z wąsem proponuje bigos, ja przekonuję ją do zestawu śląskiego – z modrom kapustom, kluskami i koniecznie roladą, ale Eva już nie może, za dużo słodczy, słodkiego dzisiaj. Za dużo przeżyć. Piwo wystarczy. I spowiedź, taka publicystyczna, o książce którą ją pochłonęła. I Oldze, w którą weszła.

Bo najpierw jej wydawca z Brna chciał wydać coś o Holokauście. To był grudzień 2014 roku. I Eva znalazła mu książkę Olgi właśnie, *Five Chimneys*. Uznali, że będzie dobra. Eva, amatorsko zupełnie, rozpoczęła tłumaczenie książki rok później, w grudniu 2015 roku. I kiedy miała je już ukończone w Internecie na youtube pojawiła się relacja Olgi nagrana pod koniec jej życia przez amerykańską żydowską fundację Soah. Pięć godzin żmudnego słuchania, a potem miesiące wertowania kolejnych książek o Holokauście. Eva zmuszona była rozszerzyć książkę Olgi o część dotyczącą jej powojennych losów. Do tego dochodziła obszerna korespondencja z bibliotekami, muzeami, archiwami, znawcami tematu – bo każdą wątpliwość chciała wyjaśnić. Dość powiedzieć, że połowa książki, która pokazała



się drukiem w Czechach pod koniec grudnia 2017 roku – to dzieło Ewy, przypisy, uzupełnienia, indeksy, rzecz o życiu Olgi przed i po Holokauście, o pobycie w obozie, wreszcie o wizycie w Brzeźcach w latach 80. ubiegłego wieku. Połowa z czterystu stron. Reszta to pamiętnik Olgi, który przedtem wszyscy wydawali bez kontekstu, bez rozwijania wątków, o którą „polish village” chodzi, jakie nazwiska nosili wybawcy Olgi. Ponieważ nikt tego nie zgłębiał, a Eva owszem, chciała wiedzieć. Natrafiła na końcu na mój link zamieszczony pod relacją Olgi. To był dokładnie 2016 rok. Eva miała wtedy gotowe tłumaczenie wspomnień Olgi na czeski, miała też zaczęta pracę nad wszystkimi indeksami, uzupełnieniami. I miała mnóstwo pytań. Teraz tu, w PTTK-owskim hotelu w Pszczynie mówi mi, że ta historia zupełnie ją pochłonęła, że była jej życiem. Jest nadal. Że cieszy się, że tak się stało, że mogła głębiej i głębiej sięgać, że to było wspaniałe uczucie. Że się cieszy, że mogła poznać historię Olgi i nas, dokładniej, rodziny, potomków Godźków i Paszków, następców tych co ratowali Olę. A stało się to dzięki kilku linkom, które zamieściłem pod opowieścią Olgi w internecie. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek ktokolwiek bezinteresownie – poza mną – pokusi się jeszcze o wyjaśnienie, zgłębienie tej historii Holokaustu, jednej z wielu, a jednak niezwykłej. Nie wierzyłem. Myliłem się.

Na reakcję, a raczej anioła czekałem kilka lat. Pięć, siedem – jakie to ma znaczenie. Na początku, nie wierzyłem, bo Eva odezwała się przez facebooka – a nie mogłem jej zlokalizować, uwiarygodnić. Nie miała żadnego zdjęcia, biografii, znajomych, lajków, a zadawała pytania mi bliskie, poruszające – pytała o historię uratowania Olgi mówiąc, że pisze o niej książkę. Początkowo nie chciałem w to uwierzyć. Ale wysłałem jej materiały, które posiadałem, rodzinne fotografie, fragmenty książek, artykuły w postaci elektronicznej. I myślałem, że to wystarczy, nie – nie wystarczyło. Eva miała coraz więcej pytań, czasem bardzo szczegółowych. Wchodziła w temat, co ja mówię, plotę, ona weszła w temat głębiej ode mnie. Pytała już o szczegóły, które rozstrzygnąć mogła jedynie moja śp. babka

Jadwiga Lazar, która pomagała Olę ukryć i przyjaźniła się z nią. Jak choćby o ten numer, który wiele by wyjaśniał. Jak był? Nigdy mi nie przyszło do głowy zapytać o to babkę, nawet nie pamiętam specjalnie, czy miało to miejsce. Przecież było tyle innych momentów rodzinnej historii – jak choćby ostatnia wojna – o których rozmawialiśmy, Olga była jednym z momentów rodzinnej historii, jednym z ważniejszych, ale jednym z...

Więc pisaliśmy z Ewą mejle, jeden za drugim, przez półtora roku. Czasem po kilka dniennie, obszernych szczegółowych. Po pewnym czasie poleciłem jej specjalistę z Holocaustu, mojego przyjaciela, który odpowiedział Evie na kilkanaście (kilkadziesiąt?) dodatkowych, bardziej szczegółowych pytań dotyczących jej obozowej historii. I to chyba nawet nie wystarczyło, wiem że szukała dalej...

– Żyłam tą historią, wychodziłam na spacer z moim psem, i dalej o tym myślałam – przyznaje mi tu, w PTTK-owskim hotelu. Po dniu pełnym wrażeń. Bo dzisiaj Eva przywoziła książki, świeże książki dla rodziny. O Oldzie i historii jej ocalenia.

W parku – po zwiedzeniu zamku – karmiliśmy kaczki, dziesiątki kaczek (dawno ich tyle nie było) na moście przed Herbaciarnią. Przeleciał helikopter. Wyjrzało słońce. Zupełnie wtedy, jak w Birkenau, w listopadzie, kiedy byłem tam z Ewą...

Ewie bardzo spodobał się zamek i park, w stylu angielskim, romantyczny – zupełnie taki, jak Kromieryż, gdzie spotkaliśmy się we wrześnie. Wspomnienia...

W Dolce Vita, kawiarni przy pszczyńskim rynku, Renata Botor-Pławecka, dziennikarka „Nowego Info” z Tychów, czeka na opowieść o Oldzie i czeskiej edycji jej wspomnień. Eva cierpliwie tłumaczy życiorys Olgi, od początku, przez pobyt w obozie w Birkenau, po marsz śmierci i jej cudowne ocalenie w styczniu 1945 roku i powrót do Brzeźca w latach 80. ubiegłego już wieku. Mówi też o inspiracji moimi publikacjami i w ogóle o tym, jak książka ta powstała. Godzina szybko przelatuje. Śpieszymy się na włoski obiad do Międzyrzecza (przygotowany przez moją żonę Ulę), a potem do Brzeźca z książkami. Renata robi nam zdjęcia z książką, i pyta – tak samo jak

my – dlaczego nie było dotąd polskiej edycji tej publikacji tak monumentalnej dla historii Holokaustu?

Do Brzeźca przyjeżdżamy po czwartej po południu, ponownie – byliśmy tu już całkiem niedawno, w listopadzie. I teraz już z książką... Ale ten czas leci. U ciotki Marysi Wuzikowej zostawiamy stos książek – dla ciotki Małgosi Waleczek, wujka Kazika Lazar z pszczyńskiej Starej Wsi, dla rodziny Paszek (dwie). Eva wypisuje też przy zastawionym stole kolejne – dla mnie, mojej mamy Zofii i specjalisty z historii Holokaustu, który jej bardzo pomógł. Jest bardzo rodzinnie. Gospodarze są serdeczni. Pojawia się wino domowej roboty. Dzień babki dopiero jutro (w Czechach go nie ma, więc Eva jest zdziwiona), a tu już tłumy. Naszej rozmowie o historii przysłuchuje się milcząco jeden z wnuków Marysi i Staśka. Niech słuha, to do następnych pokoleń należeć będzie poprowadzenie tej historii dalej. My dokumentujemy to wszystko dla nich.

Przy choince Eva wręcza ciotce Marysi podpisany egzemplarz książki. Ciotka jest wzruszona. Mówi, że jej mama, Jadwiga, córka Augustyna Godźka, by się naprawdę cieszyła. Widać, że to przeżywa. I odwzajemnia się albumem o pszczyńskim zamku, który Evie przypadł do serca. Eva podkreśla, że cieszy się z tego, iż mogła nas poznać, wejść w nasze rodziny, poczuć to wszystko – tą serdeczność z którą spotkała się i Olga. Robię pamiątkowe zdjęcie ze zdjęciami przodków, Zofii i Augustyna Godziek, babki Jadwigi Lazarowej i Zofii Wuzikowej. Wujek jest zaczytany, wertuje stronę po stronie czeską publikację wspomnień Olgi...

I jesteśmy znowu w PTTK-owskim hotelu. Czas spotkania się kończy... Najważniejsze, że rzecz, piękne dzieło zostało doprowadzone do końca, to zaowocuje. Pozostaje tylko czekać, cierpliwie czekać.

Wczoraj pisała mi Eva, że śniła jej się Olga. Była ze mną w Beskidach, spacerowaliśmy. Tam właśnie nas spotkała. Piękny sen... Eva nie mogła nam jakoś przerwać...

Szerzej o historii ocalenia Żydówki Olgi Lengyel przez rodziny Paszków i Godźków można przeczytać m.in. na stronie Muzeum Historii Żydów Polskich <https://sprawiedliwi.org.pl/pl/historie-pomocy/historia-pomocy-rodzina-godzkw>

Czeska edycja wspomnień Olgi pt. „Pět komínů – Příběh z Auschwitz” wydana została pod koniec 2017 roku przez czeskie wydawnictwa Ergo Brauner, s. r. o. oraz Kartuziánské nakladatelství. Jest dostępna w wersji papierowej i elektronicznej.

<https://qanew.kosmas.cz/knihy/239938/pet-kominu-pribeh-z-aw-schwitz/#pos=1140>

O poszukiwaniach śladów Olgi przez autora tego reportażu przeczytać można również w książce *Ścieżki śląskie* (rozdział Olga z Auschwitz s. 16-29) dostępnej bezpłatnie on-line <https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/29693/edition/26678/content?ref=desc>



## ZAPROSILI NAS

■ Ks. dr Leszek Makówka, dyrektor Galerii Sztuki Współczesnej „Fra Angelico” przy ul. Jordana 39 w Katowicach, zaprosił nas na wystawę malarstwa pt. „Z natury rzeczy”, prezentującą dorobek twórczy Katarzyny Makieli-Organisty. Artystka urodziła się w 1984 roku w Hrubieszowie. W 2012 roku uzyskała tytuł doktora sztuk plastycznych w dyscyplinie sztuki piękne. Od 2009 roku pracuje w macierzystej uczelni, obecnie na stanowisku adiunkta w pracowni malarstwa dr hab. Janusza Matuszewskiego, prof. ASP. Wernisaż wystawy miał miejsce 12 kwietnia. Prace artystki podziwiać można do 19 maja.

■ Aleksandra Matuszczyk, dyrektor Muzeum Miejskiego w Tychach, zaprosiła nas na wystawę pt. „Archiwum nowych miast. Tychy i Nowa Huta”. Wystawa prezentuje fotografie autorstwa Zygmunta Kubskiego, Henryka Makarewicza i Wiktora Pentala. Prace fotografików można oglądać w Dawnej Młotowni przy ul. Katowickiej 9 w Tychach. Wystawa prezentowana będzie do 30 czerwca.

Fot. Wiktor Pental, zbiory Fundacji-Imago Mundi



*Budowa osiedla Hutniczego, 1956 r.*

■ Związek Polskich Artystów Plastyków (okręg w Katowicach) zaprosił nas na wernisaż wystawy malarstwa Marka Kamińskiego, zatytułowanej „Pan P. S. i jego krąg”. Otwarcie wystawy miało miejsce 10 kwietnia w Galerii ArtNova2 w Katowicach przy ul. Dworcowej 13.

■ Galeria Bielska BWA przy ul. 3 Maja 11 w Bielsku-Białej zaprosiła nas na Wystawę malarstwa Stefana Gierowskiego, wybitnego przedstawiciela współczesnej awangardy malarskiej, określanego mianem klasyki polskiej nowoczesności.

– Stefan Gierowski tworzy nieustannie od lat 50. XX wieku; uznawany jest za jednego z najwybitniejszych twórców nurtu abstrakcji w Polsce – wyjaśnia Karolina Jezierska-Pomorska, kurator wystawy. – Na wystawie zaprezentujemy kilkadziesiąt prac artysty, powstałych od lat 60. XX wieku aż po pierwszą dekadę XXI. Wystawa malarstwa Stefana Gierowskiego pokazuje jeden ze szczególnych aspektów zainteresowania malarza – linię. Linia przez wiele lat towarzyszy rozważaniom artysty na temat malarstwa abstrakcyjnego – niesie w sobie zarówno spokój, jak i emocje; linia może poruszać przestrzeń, ale także ją uspokajać. Może być elementem zamykającym kompozycję bądź otwierać ją na inną przestrzeń. Linia określa kontury kształtów, stanowi granicę między plamami barwnymi. Obrazy prezentowane w Galerii Bielskiej BWA

pokazują, jak przez lata na płótnach artysty zmienia się jej charakter i znaczenie. Wystawa prac Gierowskiego czynna będzie do 13 maja.

■ Maciej Kluss, dyrektor Muzeum Zamkowego w Pszczynie zaprosił nas na uroczyste otwarcie wystawy pt. „Orzeł czarny. Orzeł biały. Ziemia Pszczyńska 1914 – 1922”. Wystawa historyczna ma miejsce z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Ekspozycję w Stajniach Książących w Pszczynie można oglądać od 26 kwietnia.

■ Dyrekcja Galerii Szyb Wilson przy ul. Oswobodzenia 1 w Katowicach zaprosiła nas na II Przegląd Sztuki Współczesnej „Nowa Awangarda”. Wernisaż wystawy miał miejsce 9 marca. Na przegląd wpłynęło 630 zgłoszeń. Z tej liczby jury zakwalifikowało prace 206 artystów o różnorodnym dorobku artystycznym, tworzących w różnych technikach. Dzięki temu zaprezentowano każdą z dziedzin sztuki – od tradycyjnego malarstwa przez asamblaże, rzeźbę, digital art, fotografię, grafikę tradycyjną, aż po wzornictwo, tkaninę artystyczną, video art, książki artystyczne czy performance. Jak przyznają organizatorzy, całemu przedsięwzięciu towarzyszy jedno założenie – liczy się oryginalność i nowatorskość pomysłów, przy czym prace charakteryzują się jednocześnie wysokim poziomem artystycznym.

■ Agata Smalcerz, dyrektor Galerii Bielska BWA przy ul. 3 Maja 11 w Bielsku-Białej zaprosiła nas na otwarcie wystawy fotografii pt. „Żywy album przyrody”. Wernisaż wystawy odbył się 6 kwietnia. Organizatorem wystawy jest Okręg Śląski Związku Polskich Fotografów Przyrody. Wystawa to ponad 100 fotografii przedstawiających piękno dzikiej przyrody i różnorodność przyrodniczą świata i Polski, a zwłaszcza regionu Śląska, który jest przedstawiany w największej ilości prac. Wśród nich są piękne fotografie wykonane w zielonych zakątkach Śląska, m.in. w rezerwach przyrody „Las Murckowski” czy też „Łęczok” w powiecie raciborskim, oraz w Zespole przyrodniczo-krajobrazowym Żabie Doły na granicy Bytomia, Chorzowa i Piekar Śląskich.

Tytuł wystawy „Żywy album przyrody” nie jest przypadkowy; użyta w tytule gra słów jest celowa i informuje o tym, że wszystkie prezentowane sceny są rejestracją naturalnych momentów życia przyrody. Ujęcia te ukazują piękno przyrody, zachęcając do częstszego i świadomego z nią kontaktu, ale także do szanowania jej praw, a podczas fotografowania – do etycznego zachowania. Wystawa trwa od 7 kwietnia do 13 maja 2018 roku. Wstęp na wystawę jest bezpłatny.

Zebrał: Tomasz Bienek



*Bielik*

Fot. Lesław Kostkiewicz



Zanim pojawiła się empetrójka – płyty analogowe, pocztówki, kasety

## „Inter Libros” – propozycje edukacyjne Biblioteki Śląskiej

MARTA KASPROWSKA-JARCZYK



Miniaturowe książeczki, olbrzymie i ciężkie tomy oprawione w deski i skórę, książki mające postać harmonijki, dawne podręczniki i elementarze, dokumenty pergaminowe, autografy władców i wybitnych pisarzy, ale również płyty szelakowe, pocztówki dźwiękowe i zabytkowy fortepian to tylko wybrane obiekty, które można podziwiać podczas zajęć z cyklu „Inter Libros”. Od kilku lat w Czytelni Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej odbywają się spotkania edukacyjne, na które zapraszamy uczniów, studentów kierunków humanistycznych, słuchaczy Uniwersytetów Trzeciego Wieku oraz wszystkich pragnących poznać tajemnice bibliotecznych zasobów.

Największą popularnością wśród grup odwiedzających Bibliotekę Śląską w ramach zajęć z cyklu „Inter Libros” cieszą się dwa tematy: „Najmniejsze i największe – od miniaturowej książki do olbrzymiego tomu” oraz „Zanim pojawiła się empetrójka – płyty analogowe, pocztówki, kasety”. Podczas pierwszego ze wspomnianych pokazów można zobaczyć miniaturowe dzieła o rozmiarach zaledwie kilku milimetrów wykonane przez Zygmunta Szkocnego, który w 1976 roku został wpisany do *Księgi rekordów Guinnessa* jako autor najmniejszej wówczas książki na świecie. Z kolei największy tom prezentowany w czasie tych zajęć to przepięknie ilustrowana ornitologiczna praca Johna Jamesa Audubona *The Birds of America* (Lipsk 1972). Ten olbrzymi tom, mający wymiary 99 x 66 centymetrów, zawiera rysunki i opisy naukowe ptaków żyjących na terenie Stanów Zjednoczonych w XIX wieku. Pokaz „Zanim pojawiła się empetrójka...” ma charakter muzyczny, uczestnicy mają okazję posłuchać dawnych nagrań z czarnych płyt i poznać historię pocztówek dźwiękowych, które odtwarzane są na gramofonie Bambino.

W roku jubileuszu odzyskania przez Polskę niepodległości namawiamy do uczestnictwa w pokazie „Przenieśmy się w czasie...”, podczas którego będzie można zobaczyć unikatowe dokumenty i archiwalne fotografie pochodzące z lat 1914–1922. W czasie tego spotkania prezentujemy pamiątki związane z udziałem Górnślązaków w I wojnie światowej, przebiegiem trzech powstań śląskich, organizacją plebiscytu na Górnym Śląsku i kształtowaniem się polskich władz samorządowych i administracyjnych w województwie śląskim.

Zajęcia „Inter Libros” umożliwiają młodym ludziom kontakt z książką tradycyjną, drukowaną na papierze. W czasie spotkań staramy się przybliżyć historię książki i pokazać, w jaki sposób przez wieki zmieniała się sztuka drukarska (m.in. tematy „Kronika świata Hartmana Schedla i inne inkunabuły Biblioteki Śląskiej”, „Stare druki – książki pełne tajemnic”, „Książka dla dzieci i młodzieży od XVI do XX wieku” oraz „Zanim powstała Wikipedia – słowniki



Zdjęcia: Weronika Pawłowicz (Biblioteka Śląska)

Biblioteka Teatru Lwowskiego – unikatowa kolekcja

i encyklopedie wczoraj i dziś”). Podczas prelekcji „Książka nie tylko z papieru” pokazujemy dokumenty pergaminowe, książki wykonane z płótna i jedwabiu, a także pisane alfabetem Braille’a. Dopelnieniem pokazu są druki wyróżniające się unikatowymi i luksusowymi oprawami ze skóry, aksamitu czy pergaminu, nierzadko ozdobiane tłoczeniami, kością słoniową, okuciami i klamrami. Temat „Z czego uczyli się nasi pradziadkowie” przenosi uczestników do dawnej szkoły. W czasie tych zajęć pokazujemy nie tylko podręczniki i elementarze, których używali nasi przodkowie, ale też świadectwa szkolne, pochodzące nawet sprzed stu lat czy zeszyty z wypracowaniami dawnych uczniów. Naszym gościom prezentujemy również nowoczesne narzędzia, jakie proponuje biblioteka. Są to przede wszystkim platformy cyfrowe, umożliwiające korzystanie online ze zdigitalizowanych zbiorów (pokaz: „Bi-

blioteki cyfrowe – skarbica wiedzy dla wtajemniczonych”).

Różnorodne kolekcje biblioteczne – takie jak rękopisy, ikonografia (pocztówki, fotografie, grafika) i kartografia – są wykorzystywane jako materiał ilustracyjny w czasie pokazów o wybitnych postaciach czy konkretnych śląskich miejscowościach. Zainteresowaniem cieszą się zajęcia poświęcone życiu i twórczości patronów szkół (m.in. Henryk Sienkiewicz i Jarosław Iwaszkiewicz) czy postaciom historycznym (m.in. Józef Piłsudski). Umożliwiamy również zapoznanie się ze spuściznami rękopiśmiennymi zgromadzonymi w zbiorach katowickiej księżnicy oraz egzemplarzami teatralnymi pochodzącymi z unikatowej kolekcji Biblioteki Teatru Lwowskiego.

Serdecznie zapraszamy wszystkich zainteresowanych do odwiedzenia Biblioteki Śląskiej, poznania jej historii

i zwiedzenia gmachu przy placu Rady Europy. Grupy uczestniczące w zajęciach poznają biblioteczny system komputerowy, katalogi tradycyjne i zasady korzystania ze zbiorów zdigitalizowanych udostępnianych w Śląskiej Bibliotece Cyfrowej. Podczas zwiedzania budynku jest okazja, by zapoznać się z funkcjonującym w bibliotece systemem transportu książek i sposobami gromadzenia zbiorów (m.in. w Magazynie Wysokiego Składowania). Nasi goście mają także szansę obejrzyć wystawy aktualnie prezentowane w holu głównym biblioteki. Spotkania z cyklu „Inter Libros” to niepowtarzalna okazja, by zobaczyć i poznać unikatowe zbiory Śląsianki. Zajęcia są bezpłatne, prosimy o wcześniejszą rezerwację terminu. Kontakt telefoniczny: 32 20 83 883 lub pod adresem e-mail: [edukacja@bs.katowice.pl](mailto:edukacja@bs.katowice.pl).



Najmniejsze i największe – od miniaturowej książki do olbrzymiego tomu

# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:  
Anna Gaitoer  
Jan Picheta  
Joanna Kotkowska  
Janusz Ireneusz Wójcik

**KATOWICE.** Katowice rozpoczynają obchody 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Aby uczcić tę wyjątkową rocznicę miasto we współpracy z licznymi partnerami przygotowało bogaty program wydarzeń i projektów. Program uwzględnia regionalną specyfikę procesu, który rozpoczął się 11 listopada 1918 roku, ale w przypadku Katowic i Górnego Śląska trwał do roku 1922, gdy region został oficjalnie objęty w posiadanie przez młode państwo polskie.

Dlatego też, w dłuższej perspektywie, program będzie obejmować rocznice Powstań Śląskich oraz setną rocznicę przyłączenia Górnego Śląska do Polski, a także koncentrował się na osobach, które do tego się przyczyniły.

Program został stworzony przy udziale miejskich instytucji kultury, ze szczególnym uwzględnieniem **Katowice Miasto Ogrodów** i **Muzeum Historii Katowic** oraz w partnerstwie z takimi podmiotami jak **Śląskie Centrum Wolności i Solidarności** czy katowicki oddział **Instytutu Pamięci Narodowej**.

Aby włączyć mieszkańców do wspólnego świętowania, program obejmuje projekty o charakterze edukacyjnym, partycypacyjnym, kulturalnym, a nawet sportowym.

**KATOWICE.** 22 marca w Studiu Koncertowym Radia Katowice odbył się pierwszy koncert rozpoczynający całą serię muzycznych wydarzeń zatytułowanych „**Co mi w duszy gra? Muzyka polska**”, dedykowanych 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Anna Szabelka i Piotr Banasik to znani ze swoich osiągnięć i intensywnej działalności artystycznej, wybitni śląscy wykonawcy. Do swojego występu w Radiu Katowice zaproponowali zróżnicowany repertuar, w którym znalazły się znane dzieła najwybitniejszych polskich kompozytorów – Fryderyka Chopina, Henryka Wieniawskiego, Karola Szymanowskiego, Grażyny Bacewicz. Szczególną, symboliczną wymowę w tym programie ma obecność słynnej, ekspresyjnej „Melodii” Ignacego Jana Pade-

rewskiego, która została przedstawiona w skrzypcowej transkrypcji Stanisława Barcewicza. Piotr Banasik włączył do swojego solowego występu poloneza Xavera Scharwenki, urodzonego w Szamotułach polsko-niemieckiego pianisty i kompozytora, którego twórczość ujawnia inspirację motywami polskimi i polską muzyką taneczną.

**KATOWICE.** 25 marca upłynęła 100. rocznica śmierci wybitnego przedstawiciela muzycznego impresjonizmu **Claude’a Debussy’ego**. Jego słynne „Światło księżycy” wciąż pozostaje jednym z największych muzycznych przebojów. Można je było usłyszeć podczas koncertu w Miejskim Domu Kultury „Kosztutka” zorganizowanego przez **Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”** w oryginalnej fortepianowej wersji oraz w klawietowej transkrypcji. „Światło księżycy” to również tytuł jednej z pieśni napisanej do strof poety impresjonisty Paula Verlaine’a. Znana śląska wokalistka Anna Ogińska zaśpiewała cały zestaw pieśni Debussy’ego zainspirowanych wierszami słynnych francuskich poetów – Paula Verlaine’a i Theodore’a de Banville’a.

**KATOWICE.** W dniach pomiędzy 26-30 kwietnia **Katowice Miasto Ogrodów** – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek oferuje mieszkańcom Śląska wyjątkowo dynamiczną odsłonę **7 Katowice JazzArt** Festiwalu, który w tym roku organizuje wraz z Muzeum Śląskim. Po raz pierwszy gościć będzie na JazzArtcie artystów z Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Po raz pierwszy stworzony został program mający na względzie udział kobiet w jazzie, głównie instrumentalistek (inicjatywa Keychange). Inicjatywy społeczne, dyskusje, instalacje artystyczne w przestrzeni miejskiej, łączenie sztuk, które inspirują jazz i są inspirowane jazzem – to także tematyka tego festiwalu.

**KATOWICE.** W dniu 23 marca odbyło się spotkanie z **Alicją Knast, Dyrektorką Muzeum Śląskiego**, która zaprezentowała koncepcje planowanych inwestycji budowlanych w Bogucicach w bezpośrednim sąsiedztwie Strefy Kultury.

Nie negując faktu, iż dalsze inwestycje w okolicach Strefy Kultury są potrzebne i nieuniknione, Pani Dyrektorka zwróciła uwagę, że powinny być one planowane i przeprowadzane w sposób zrównoważony oraz w duchu poszanowania krajobrazu, który w tym miejscu ma szczególne znaczenie, wyraziła także sprzeciw wobec działań mogących osłabić przykłady postindustrialnego krajobrazu. Podczas spotkania zaprezentowany został perspektywiczny wpływ planowanych inwestycji na przestrzeń i krajobraz Strefy Kultury i dzielnicy Bogucice.

**KATOWICE.** **Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego** w Katowicach zaprasza debiutujących artystów do udziału w Konkursie o Nagrodę



Zdjęcia: z arch. Muzeum w Gliwicach

Scenograficzną im. Jerzego Moskala 2018. Konkurs jest kierowany do szerokiego grona absolwentów uczelni artystycznych, którzy w swoich debiutanckich działaniach wykorzystują warsztat scenograficzny. Towarzyszyć będzie mu wystawa „Wymiary scenografii” eksponująca prace nominowane do nagrody głównej.

Celem konkursu i wystawy jest promocja potencjału młodych artystów wykorzystujących w swoich działaniach warsztat scenograficzny. Spotkanie ma stworzyć możliwość prezentacji debiutów przed gronem mistrzów kształtujących współczesny repertuar teatru. Konkurs będzie okazją do refleksji na temat kierunków rozwoju współczesnej scenografii będącej konsekwencją idei poprzedników, których dzieła znajdują się w kolekcji Centrum Scenografii Polskiej.

Zgłoszenia do konkursu będzie można nadsyłać w dniach 1.06–31.08.2018 r.

**Katowice.** Najnowszy spektakl i zarazem ostatnia w tym sezonie premiera **Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum**, „*Piaskowy Wilk*” pojawiła się na afiszu zaraz po świętach, 7 kwietnia. Sceniczna wersja opowiadań popularnej szwedzkiej pisarki, Åsy Lind (przetłumaczonych przez Agnieszkę Stróżyk), powstała na zamówienie katowickiego teatru; inscenizacja w reżyserii Zuzanny Mukoid – równocześnie autorki adaptacji – jest polską prapremierą sztuki.

Urokliwe, niezwykle zabawne i pełne fantazji przygody bohaterki Karusi i wymyślonego przez nią przyjaciela – Piaskowego Wilka, który w mądry, pozbawiony moralizatorstwa sposób pomaga dziewczynce odkrywać świat – adresowane są do widzów w wieku szkolnym, ale powinni je obejrzyć również rodzice. Ta rodzinna propozycja pozwala bowiem przypomnieć sobie własne dorastanie i związane z nim rozterki. Przede wszystkim jednak, zwracając uwagę na odmienność postrzegania świata przez dzieci i dorosłych, podkreśla konieczność podejmowania prób wzajemnego zrozumienia się i porozumienia.

## Szkło artystyczne lat 60. i 70. XX wieku

**GLIWICE.** Wystawa „Barwny świat wielu form – szkło artystyczne i użytkowe z huty w Ząbkowicach”, otwarta zostanie w Willi Caro 27 kwietnia br.

W latach 60. i 70. XX wieku w hutach szkła Zagłębia Dąbrowskiego, wśród których huta ząbkowicka odegrała znaczącą rolę – swoje nowatorskie projekty realizowali Eryka Trzewik-Drost, Jan Sylwester Drost, Ludwik Fiedorowicz, Bogdan Kupczyk, Ryszard Serwicki i Izabela Szklaniarz. Dziś ich prace, które zaprezentowane zostaną w ramach ekspozycji – to klasyka polskiego wzornictwa. W nasyconych

kolorem, czystych, a równocześnie syntetycznych formach tkwi zakłęty fenomen polskiej awangardy. Wystawa „Barwny świat wielu form...” jest szczególnie również dlatego, że zaprezentowane na niej zbiory Muzeum w Gliwicach – z bogatej kolekcji szkła współczesnego pochodzącego z huty w Ząbkowicach – udostępnione zostaną publiczności po raz pierwszy od 1975 roku. To wyjątkowe wydarzenie dla koneserów polskiego szkła, wzornictwa tudzież dizajnu.

Na wystawie znajdują się także zabytki wypożyczone z wiodących w tej dziedzinie kolekcji muzealnych: Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Narodowego w Krakowie, Centrum Szkła i Ceramiki w Krakowie oraz z Muzeum w Sosnowcu, które posiada zasobny Dział Szkła, a jego podstawę stanowi szkło produkowane po 1945 r. z hut Zagłębia Dąbrowskiego. Eryka Trzewik-Drost, Jan Sylwester Drost, Ludwik Fiedorowicz, Ryszard Serwicki, Bogdan Kupczyk, Izabela Szkleniarz studiowali w uczelniach artystycznych, spośród których wyróżniała się Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych we Wrocławiu (od 1994 r. Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Geperta we Wrocławiu), a szczególnie jej Wydział Ceramiki i Szkła, w którym wybitną rolę odegrał Stanisław Dawski, artysta, malarz, grafik, projektant, promotor prac dyplomowych Eryki Trzewik-Drost (dyplom 1957 r.) i jej męża Jana Sylwestra Drosta (dyplom 1958 r.).

Kuratorem wystawy jest historyk sztuki Jolanta Wnuk z Działu Sztuki i Rzemiosła Artystycznego Muzeum w Gliwicach. Wystawa dostępna będzie do 30 września 2018 roku.

---

## Wspominanie Jerzego Dudy-Gracza

**CZĘSTOCHOWA.** 20 marca z okazji 77 urodzin artysty Muzeum Częstochowskie zaprosiło mieszkańców na specjalny wieczór. W Sali Reprezentacyjnej ozdobionej na tę okazję zdjęciami autorstwa Jerzego Peteckiego i Jolanty Goli o zmarłym w 2003 roku artyście rozmawiali jego przyjaciele: Sabina Lonty, Zdzisław Sowiński oraz Janusz Mielczarek. Moderatorem był Tadeusz Piersiak, od 1 stycznia br. dyrektor Muzeum.

Spotkanie rozpoczęła Katarzyna Sucharkiewicz, kierownik Działu Sztuki, prezentacją biografii Dudy-Gracza oraz jego obrazów ze zbiorów Muzeum. To wczesne prace, zapowiadające jednak typowe motywy i rozwiązania. Następnie wyświetlono dokument z lat dziewięćdziesiątych, opowieść artysty o mieście i o Śląsku, *Jerzy Duda-Gracz – częstochowskie wyznania*.

Przyjaciele artysty opowiadali o jego życiu, przyzwyczajeniach, pomysłach artystycznych, ogromnej pracowitości, wspólnych plenerach z miejscowym od-

ziałem ZPAP. Podkreślali muzykalność zapisaną w obrazach, przedstawiali relacje z rodzinnym miastem i klasztorem, w tym kulisy realizacji *Golgoty Jasnogórskiej*.

Był to pierwszy wieczór wspomnieniowy z planowanego cyklu spotkań poświęconych zmarłym częstochowianom.

---

## Uczestnicy i animatorzy kultury

**CZĘSTOCHOWA.** 7 marca 2018 roku częstochowski oddział Towarzystwa Historycznego im. Szembeków zorganizował w Sali Wystawienniczej Biblioteki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie spotkanie z Władysławem Ryszardem Szelągiem, częstochowianinem, animatorem kultury działającym od lat w różnych miastach Polski.

Wystawa *Stąd nasz ród* prezentowała aktywność towarzystwa, istniejącego od 1990 roku, wcześniej Szeląg założył Klub Miłośników im. Marii z Fredrów hrabiny Szembekowej, oraz materiały zgromadzone przez prezesa na temat rodzin Szembeków i Fredrów, oraz historii ich posiadłości. Patronat nad wydarzeniem objęli JM Rektor AJD w Częstochowie, prof. dr hab. Anna Wypych-Gawrońska, oraz Senator RP Artur Warzocha.

Jako prezes Towarzystwa Historycznego im. Szembeków Szeląg inicjuje działania interdyscyplinarne, nawiązując kontakty z wieloma polskimi i zagranicznymi partnerami. Ze szczególnym upodobaniem popularyzuje wśród młodzieży twórczość Aleksandra Fredry. Zorganizował m.in. wystawy w Teatrze Dramatycznym w Częstochowie (1994) i w Teatrze Polskim (1996), Festiwal Fredrowski „Mocium Panie”, konkurs plastyczny. Przez lata przypominał także twórczość poetów wywodzących się z Częstochowy i okolic – Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta i Haliny Poświatowskiej.

---

## Piękno trzepoczących skrzydeł

**CZĘSTOCHOWA.** Od 16 lutego w Ratuszu – Muzeum Częstochowskim po raz kolejny można oglądać wystawę *Najpiękniejsze owady świata*. Do końca kwietnia można zobaczyć piękne pазie, bielinki, danaidy, akreje, rusałki, oczenice. W zakupionym w 2000 roku od częstochowskiego kolekcjonera, Jana Bienkowskiego zbiorze znajduje się około 1000 okazów motyli (dziennych i nocnych) i chrząszczy z Australii, Malezji, Chin, Nowej Gwinei, Filipin, Afryki oraz Ameryki Południowej i Środkowej. Stamtąd pochodzą przecież najbardziej egzotyczne gatunki, które zachwycają rozmiarem skrzydeł (*Atacus atlas*), ich ubarwieniem i kształtem. Są tu okazy niczym pomalowane fluorescencyjnymi farbami,



niebieską i zieloną, ciemny motyl szkarłatny *Papilio rumanzovia* z Azji Południowej oraz jeden z najszybszych, *Charaxes brutus*.

Pożyскиwanie najrzadszych okazów było kiedyś sposobem zarobkowania. Obecnie handel egzotycznych zwierząt, którym grozi wyginięcie, reguluje konwencja waszyngtońska.

## Malowanie metaforą

**CZĘSTOCHOWA.** W Galerii Dobrej Sztuki do 23 marca można było zwiedzać wystawę prac Bogumiły Malec z domu Zbiróg *Każde moje obrazowanie wizją to metafora*. Była to pierwsza prezentacja jej prac od 40 lat. Przed II wojną światową autorka studiowała w Akademiach Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie, a także w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie. W tym czasie zaprzyjaźniła się z członkami Grupy Krakowskiej (m.in. Tadeuszem Kantorem oraz Erną Rosenstein) i teatru Cricot. Po odzyskaniu niepodległości była animatorką kultury w Częstochowie. Należała do grona założycieli liceum plastycznego, uczyła rysunku w Szkole Pedagogicznej. Zajmowała się malarstwem, rysunkiem, filmodrukiem, tkaniną artystyczną, pisała poezję. Zmarła w 1987 roku.

Bogumiła Malec chętnie posługiwała się formami abstrakcyjnymi. Na wystawie znalazły się kompozycje metaforyczne, surrealistyczne, fantastyczne, o precyzyjnie dobranych barwach. Obrazki wykonane na cieniutkim papierze przykuwają uwagę, wciągając w labiryntowy i niepokojący świat. Pokazano również kompozycje wzorowane na motywach egipskich, akwarele, gwasze, tzw. wydzieranki, ilustracje do poezji Czesława Miłosza i prace z cyklu jurajskiego. Jedną z niezrealizowanych marzeń artystki była kompozycja rzeźbiarska w skale wapiennej w Złotym Potoku.

## Pamięć o Kresach

**CZĘSTOCHOWA.** Już po raz piąty, 9–11 marca, w Muzeum Monet i Medalii im. Jana Pawła II odbył się Przegląd Filmów Dokumentalnych Niepoprawnie Prawdziwych, w tym roku pod nazwą *W 100-lecie Niepodległości dla pamięci o Polsce Kresowej*. Organizatorami było Muzeum, Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarzy oraz Częstochowski Klub „Gazety Polskiej”.

W piątek dla młodzieży szkolnej wyświetlono: *Podwójne korzenie* Mariusza Jankowskiego, *Katyń – historia wciąż żywa* Michała Sylwestra Patera oraz *Dzieci granicy* Anny T. Pietraszek. Pokazy dla dorosłych podzielono na trzy grupy tematyczne: Wołyń, Sybe-



Fot. materiały własne

ria i Katyń. Poza wskazanymi powyżej tytułami zaprezentowano także filmy: *Pani Maria – od Syberii do Puszczykowa* Antoniego Wojtkowiaka, *Sługa Boży, ks. Aleksander „Wujek” Zienkiewicz* Krzysztofa Kunerta i Tomasza Piechnika, *Pasterz. Kazimierz Kardynał Świętek* Pawła Woldana, *Serce Polski* Tomasza Stali, *Nasza Dziesiątka* Anny Gordijewskiej, *Kościół na górcie* Eugeniusza Sały i Jarosława Krasnodębskiego.

Gośćmi honorowymi byli: Sybiraczka Krystyna Lubieniecka-Baraniak, autorka wielu książek, ks. Andrzej Dziełak z diecezji wrocławskiej, wspomagający represjonowanych w latach 70. i 80. XX wieku, ks. Józef Kowalów, założyciel i redaktor „Wołania z Wołynia”. Wręczono im medale „Custos Veritatis” (przyznawane od 2016 roku).

## KRÓTKO

### CZĘSTOCHOWA

■ Zagrali: Browar Czenstochovia – Sir Francis Drake z grupą Za Horyzontem; Filharmonia – Anna Maria Jopek oraz Grupa Kroke, Kayah; klub Rura – Łąki Łan; OPK Gaude Mater – Marc Parrenoud Trio, NSI Quartet oraz Dominik Wania;

■ Wystawiali: OPK Gaude Mater – Małgorzata Sętowska; Konduktorownia – Katarzyna Bielec, Krystyna Grzybek, Ewa Latkowska-Żychska, Maria Matyja-Rozpara, Ewa Mróz, Barbara Pierzgalska-Grams, Jolanta Rudzka-Habisiak, Maria Węgrzyniak-Szczepkowska w ramach prezentacji *8 kobiet*;

■ 8 marca w Ratuszu odbyła się debata na temat feminizacji języka polskiego. Wzięli w niej udział: profesor Jerzy Bralczyk, dr hab. Katarzyna Kłosińska, dr Sylwia Spurek, dr Zbigniew Wieczorek, Agata Wierny.



## KATARZYNA POPCZYK

Od dwóch lat zajmuję się amatorsko fotografią. Wyprawy z psem Białym Owczarkiem Szwajcarskim i aparatem Pentax-k 50, to moje hobby i sposób na życie. Spaceruję głównie w okolicach Katowic i Chorzowa. Tereny te obfitują w urokliwe miejsca pod względem przyrody o każdej porze roku.

Kiedy chcę zrobić zdjęcie zaczynam inaczej patrzeć i widzieć otaczający mnie świat. Wchodzę na drogę wśród drzew, idę aleją, na której rządzą prawa światła i koloru, dostrzegam to, czego nie widziałam wcześniej: rozmycia, cienie i odbicia. Jednocześnie czas płynie, wszystko ciągle się zmienia niczym wiatr, czy zwykła kaczka na wodzie. Szukam, układam kadry z moim psem, który nauczył się zastygać w bezruchu jak modelka. Poznałam zasady poprawnej fotografii, ale wtedy słucham już tylko intuicji nie do końca przewidując efekt końcowy zdjęcia i to jest najbardziej fascynujące, amatorskie, bo wychodzi fotografia, która nie każdemu będzie się podobać. Ona jest moja, ja ją czuję i rozumiem i to jest najważniejsze.

